

ROZLICZENIA NA PRAWICY

Janusz Korwin-Mikke ostro odcina się
krytykom z Konfederacji



TYGODNIK LISICKIEGO

NR 47/554 20-26 LISTOPADA 2023
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

DO RZECZY

Czy PiS może istnieć
bez Kaczyńskiego
– analizuje Semka

**DODATEK
SPECJALNY:**
POLSKA KONTRA
IMPERIUM LGBT



Kulisy powstania
izraelskiej
bomby atomowej

Porzucony

**PREZYDENT UKRAINY
TRACI SOJUSZNIKÓW**



ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288 829



Nakład: 52 000 egzemplarzy

Przyszłość. Już dziś

Najbardziej regulowana giełda kryptowalutowa w tym regionie Europy,
która od 2014 roku łączy świat tradycji z cyfrową przyszłością



**Dumny sponsor strategiczny
Rakowa Częstochowa**

zondacrypto



zondacrypto

Trade tomorrow, today

eprasa.pl 280906106d

zondacrypto.com



PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Tak mi dopomóż Bóg?

Lewicowe media triumfują. Okazało się bowiem, że w tym roku mniej posłów złożyło w Sejmie ślubowanie, odwołując się do Pana Boga, niż w latach wcześniejszych. Tak wyniki ocenił portal OKO.press: „W całym Sejmie Pana Boga wewzwało na pomoc aż 318 osób ślubujących, a tylko 141 ograniczyło się do świeckich treści przysięgi (Narodu, Ojczyzny i Konstytucji). Odsetek manifestacji religijności (69 proc.) robi wrażenie, jakby Polska była państwem wyznaniowym, ale jest on i tak o 10 punktów procentowych mniejszy niż w ślubowaniu 12 listopada 2019 roku, po tamtych wyborach, które przyniosły triumf PiS”. Dodatkowo, co też spotkało się z uznaniem medialnej jaczejki postępu, do Pana Boga odwoływali się częściej mężczyźni niż kobiety. „Pan Bóg wyraźnie bardziej potrzebny jest dziś posłom (wzywa go 69 proc.) niż posłankom (53 proc.)”.

Z tych danych można wyprowadzić różne wnioski, wszystkie smutne.

Po pierwsze, wbrew temu, co mogą uważać lewicowi i liberalni komentatorzy, odwołanie się do Boga nie ma nic wspólnego z państwem wyznaniowym. Kto wypisuje takie rzeczy, pokazuje swoją ignorancję lub, co wydaje mi się ze wszech miar bardziej słuszne, złą wolę. Taką możliwość – odwołania się do Pana Boga – daje przecież konstytucja z 1997 r., przygotowana jeszcze przez postkomunistyczną większość. Nawet ona wtedy jeszcze była, okazuje się, bardziej wrażliwa na polską pamięć historyczną niż jej dzisiejsi następcy, w pełni poddani polityczno-polprawnej urawniłowce. Wspierana przez Unię demokracja liberalna szybciej niszczy chrześcijaństwo w Polsce, niż potrafili to zrobić

dawniej komuniści. Gdy Polacy przez wieki odwoływali się do hasła „Bóg, Honor, Ojczyzna”, stawiając zawsze Boga na pierwszym miejscu, robili to nie dlatego, że chcieli budować państwo wyznaniowe, ale dlatego, że doskonale rozumieli, iż pomyślność i niepodległość ojczyzny i narodu zależą od Boga, źródła praw i zasad. To chroniło ich przed popadnięciem, z jednej strony, w szowinizm i nacjonalizm, z drugiej – w relatywizm. Kto myśli o niepodległości Polski, odwołania się do Boga wyrzec się nie może. Ulega wtedy narodowemu nihilizmowi i gubi sens polskości.

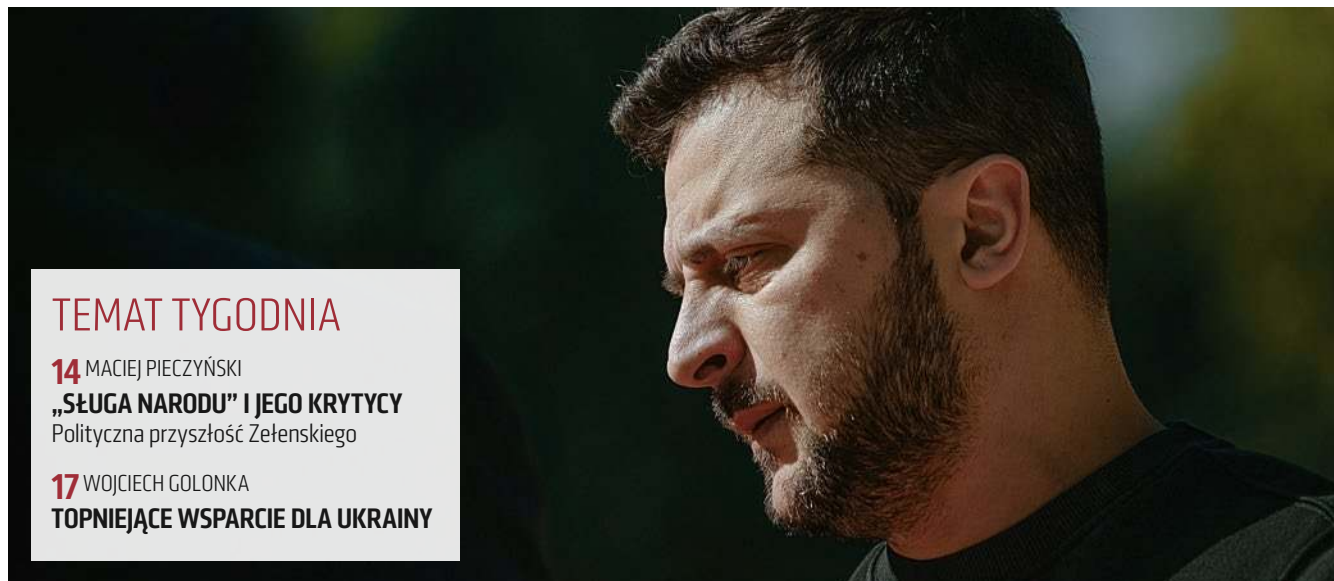
Po drugie, to kolejny morał, przez wieki to Polki, to kobiety były oparciem dla chrześcijaństwa. To matki dbały o wykształcenie religijne dzieci, to kobiety przekazywały tradycję katolicką, uczyły modlitw i pilnowały, by polski idiom kulturowy był przekazywany z pokolenia na pokolenie. Ślubowania w Sejmie są niebezpieczną oznaką, że się to zmieniło. Polki, najwyraźniej, ulegają feministycznemu praniu mózgu. Dały sobie wmówić, że istnieje sprzeczność między kobiecością i wiarą. To efekt stałej i skutecznej proaborcyjnej propagandy.

Po trzecie, swego rodzaju symbolem, co się tyczy ślubowania, stało się zachowanie Donalda Tuska, który tym razem o Panu Bogu zapomniał. Tusk przez lata pozował na umiarkowanego konserwatystę, a gdy służyło to jego celom politycznym, nie wahał się nawet przyznawać do religijnej ostentacji. A to ślub kościelny zawarł, a to chleb zegnął – wszystko pod czujnym okiem tabloidów. Kilka lat pobytu w Brukseli nauczyło go, że katolicyzm stanowi obciążenie. Swoją drogą to dość groteskowe, że swego chrześcijaństwa wyrzekł się (przynajmniej

publicznie), pełniąc funkcję przewodniczącego największej partii chadeckiej w Parlamencie Europejskim, Europejskiej Partii Ludowej.

Zresztą przyznać mu trzeba jedno: pomijając słowa „Tak mi dopomóż Bóg”, przynajmniej nie udawał. Okazał się prawdziwym unijczykiem, czyli politykiem bez korzeni, bez tradycji, dla którego to, co narodowe, ma zostać przezwyciężone, ewentualnie odesłane do cepelii. Nie wiem, co lepsze: jasna deklaracja odejścia czy dwulicowe ślubowania tych posłów KO, którzy nim dostali się na listę, musieli uznać, że będą głosować za dopuszczeniem aborcji do trzeciego miesiąca życia dziecka w łonie matki. Potrafili się pod tym bezbożnym aktem podpisać i jednocześnie wzywać Boga na świadka. Brrr.

Spadek liczby ślubowań religijnych jest znakiem postępującej sekularyzacji. W praktyce oznacza to coraz większą podatność polskiego społeczeństwa na przychodzące z Zachodu lewackie ideologie. Muszą one prowadzić do zerwania ciągłości narodowej i do, można być pewnym, coraz ostrzejszych ataków na polskie dziedzictwo. Współczesna liberalna lewica jest, jeśli chodzi o walkę z Kościołem, bezkompromisowa, zajadła i barbarzyńska. W tym samym czasie, kiedy zebrał się Sejm, „GW” opublikowała wywiad ze Stanisławem Obirkim, byłym księdzem, w którym ten wzywa do zdjęcia krzyża w Sejmie i opowiada się za zerwaniem konkordatu. Dokument podpisano, notabene, w 1993 r. i uznawano w nim wagę i doniosłość katolicyzmu dla polskiej niepodległości. Dziś byłoby to, obawiam się, niemożliwe. Polityczna wojna o religię dopiero się zaczyna. ©©



TEMAT TYGODNIA

14 MACIEJ PIECZYŃSKI
„SŁUGA NARODU” I JEGO KRYTYCY
 Polityczna przyszłość Zełenskiego

17 WOJCIECH GOŁONKA
TOPNIEJĄCE WSPARCIE DLA UKRAINY

KRAJ

20 ŁUKASZ WARZECHA
UMOWA PEŁNA POBOŻNYCH ŻYCZEŃ
 Co koalicjantów łączy, a co dzieli?

24 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
GRA W POLARYZOWANEGO

26 PIOTR SEMKA
**CZY PIS MOŻE ISTNIEĆ
 BEZ KACZYŃSKIEGO**

30 PAWEŁ CHMIELEWSKI
KOALICJA ANTYEUROPEJSKA

32 ROZMOWA Z RAFAŁEM PIECHEM
TU CHODZI O POLSKĘ

34 ŁUKASZ ZBORALSKI
Z ARESZTU DO BRUKSELI

36 ZUZANNA DĄBROWSKA
CO SIĘ DZIEJE W DRAMATYCZNYM?

KULTURA

38 PIOTR GOCIEK
PRAWDA, CZYLI FIKCJA
 Pożegnanie mistrza powieści szpiegowskiej

NIE PRZEGAP

40 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA



DODATEK SPECJALNY

47
WOLNOŚĆ SUMIENIA I IDEOLOGIA LGBT

OPINIE

64 JANUSZ KORWIN-MIKKE
**DOPASOWAĆ SIĘ DO ŚWIATA
 CZY GO ZMIENIAĆ?**
 Analiza błędów Konfederacji

67 DARIUSZ WIEROMIEJCZYK
ATAK W SAMOOBRONIE

70 ROZMOWA Z MONIKĄ JABŁOŃSKĄ
ŚWIADEK NADZIEI

HISTORIA

72 PIOTR SEMKA
PRUSY NA CZARNO
 Między rasizmem, stereotypem i przesadą

76 PIOTR WŁOCZYK
TAJEMNICE „NIEWIDZIALNEJ KOPUŁY”

ŚWIAT

78 JACEK PRZYBYLSKI
TRUMP 2.0 CORAZ BLIŻEJ
 Ofensywa byłego prezydenta

82 WITOLD REPETOWICZ
SEN KARA MUSTAFY SIĘ NIE SPEŁNI

EKONOMIA

88 JAKUB WOZINSKI
DZIURA MORAWIECKIEGO?
 Polityka ponad stan



ADRES: TYGODNIK DO RZECZY

 Batory Office Building II
 Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 529 12 00, fax: +48 22 529 12 01
 e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.pl

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
 Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
SEKRETARIAT REDAKCJI: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji),
Łukasz Zboralski (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**
KOLEGIUM KOMENTATORÓW:
Cezary Gmyz, Piotr Godiek, Krzysztof Masłowski, Piotr Semka,
Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemięwicz
STALI WSPÓŁPRACOWNICY I FELIETONIŚCI:
Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski,
Wiesław Chelminiak, Dominika Ćosić (Buksele),
Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Łukasz Czarniecki,
Wojciech Golonka, Ryszard Gromadzki, Piotr Gursztyn, Marek Jurek,
Jerzy Karwelis, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalcuk (Rzym),
Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk,
Monika Małkowska, Gabriel Michalik, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński,
Katarzyna Pinkosz, Jan Pospieszalski, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz,
Wojciech Roszkowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta,
Błażej Torański, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Dariusz Wieromiejczyk,
Jakub Wozniński, Tomasz Wróblewski, Tomasz Zbigniew Zapert
PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zuzanna Dąbrowska,**
Anna Szczepańska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk,
Grzegorz Grzymowicz, Dawid Sierkowski, Łukasz Zygańdo
STUDIO GRAFICZNE: **Wojciech Niedziółko** (kierownik studia),
Marta Michałowska, Jakub Taniś (skład),
Jacek Nadratowski (obrobka zdjęć)
 Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
 Korekta: **Anna Zalewska, Magda Zubrycka-Wernerowska,**
Agata Błaszczak-Stefaniak
RYSOWNICY: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**

 Okładka: **Ed Ram/The Washington Post/Getty Images, Adobe Stock**
WYDAWCA: Orle Pióro sp. z o.o.

 Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
 tel.: +48 22 347 50 00, fax: +48 22 347 50 01

 Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy
 Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW


Zarząd PMPG Polskie Media SA:

Katarzyna Gintrowska, Jolanta Kloc

Zarząd Spółki Orle Pióro:

Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki
MARKETING: **Piotr Pech** tel.: +48 500 112 377, marketing@dorzeczy.pl

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel.: 500 112 386

PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmppg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza),
 prenumerata@pmppg.pl; tel.: 539 953 631; **Joanna Gosek**, tel.: 508 040 664,
 pon-pt w godz. 10.00-16.00

ISSN nakładu podstawowego 2299-8500
Nr indeksu 288 829, Nakład 52 000 egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE

 Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna
 ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA: Prenumerata realizowana przez RUCH SA:

 Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można
 składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres

 e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi
 Klienta „RUCH” pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne
 w dni robocze w godzinach 7-17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

 Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów
 niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji
 tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa
 autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie
 materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy” jest zabronione.

 © © Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem
 autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie
 artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania
 materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin

Drodzy Czytelnicy!

Dziękujemy za wszystkie Państwa listy i e-maile. Przypominamy, by korespondencję elektroniczną kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Czyżby stracona szansa?

W chwili, gdy piszę ten e-mail, doszło do podpisania umowy koalicyjnej między „przegrzanymi” partiami. Ale parafrazując Baregę, z PiS-em przegrać to jak wygrać!

Ale do rzeczy. Jestem zdumiony postępowaniem polityków TD – Kosiniaka-Kamysza i Hołowni. Szli pod hasłem właśnie trzeciej drogi, a weszli do koalicji – „żeby było tak, jak było”. Od razu postawili się w pozycji petenta Tuska, zamiast odegrać teraz swoje historyczne role. Mając 65 posłów, otrzymali od narodu „pakiet kontrolny”. Żadna koalicja nie powstałaby bez ich udziału! PiS z 194 posłami oraz KO + NL razem z 183 posłami – **NIE BYLIBY W STANIE UTWORZYĆ WIĘKSZOŚCIOWEGO RZĄDU!** Aż prosiło się o rozegranie tego na ich warunkach – utworzenia rządu zgody narodowej (RZN) (nie piszę frontu jednności narodowej, bo to źle się kojarzy).

Należało zwrócić się do obu stron sceny politycznej (pomijam Konfederację, której politycy z góry odrzucali poparcie każdego rządu) z następującą propozycją – właśnie trzeciej drogi:

1. Tworzymy RZN – premier Kosiniak-Kamysz; dwóch wicepremierów, jeden z PiS, drugi z KO; Hołownia na marszałka Sejmu;

2. Tworzymy wspólny program w punktach, które są strategiczne: gospodarka, ochrona zdrowia, obronność, oświata, rolnictwo oraz sprawiedliwość.

Na czele ministrowie z TD z dwoma zastępcami z każdej partii (PiS i KO). Reszta resortów obsadzana kandydatami uzgodnionymi przez wszystkich koalicjantów. Taki rząd miałby tylko dwa zadania: kontynuować to, co dobre za PiS, i poprawić to, co złe, oraz wytyczyć strategię rozwoju na następne lata – w Unii lub poza nią.

Odrzucenie propozycji utworzenia takiego rządu przez PiS i KO+NL skutkowałoby potrzebą zorganizowania nowych wyborów. Ale tutaj TD zyskuje dodatkowe bonusy – głosy ludzi środka z obu stron sceny politycznej. I po następnych wyborach mogłoby się okazać, że ma większość w Sejmie nawet na stworzenie samodzielnego rządu.

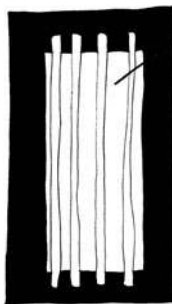
Obie strony obecnego konfliktu – PiS i KO+NL – postawiłyby się w trudnej sytuacji wyłumaczenia swoim wyborcom decyzji odrzucenia poparcia dla stworzenia takiego rządu.

Ale do takiej zagrywki trzeba mieć cojones, a tych niestety nie mają ani Kosiniak-Kamysz, ani Hołownia. Czekają na nas kolejne bicie piany, rozliczeń i następne kilka miesięcy nawalania się obu stron (bo ten rząd pod starym Tuskiem nie przetrwa czterech lat).

W obecnej sytuacji światowej opatrność daje nam szansę zjednoczenia narodu pod zgodnym rządem popieranym przez prawie 80 proc. Polaków. Drugiej takiej szansy nie będziemy już mieli, a po latach żeby nie okazało się, że Kosiniak-Kamysz mając buławę marszałkowską, wołał być kapralem u Tuska.

Serdecznie pozdrawiam całą Redakcję.

wierny czytelnik
Józef Bobis z Ciechanowa



Ze co? Kąpińskiego do PE? To przyslijcie w zamian chorągiewki jakichsi europosłów PiS...

ceza + y k + 7 2 7 0 r 2



PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Gdański płomyk wolności

Odeszła Małgorzata Fechner-Puternicka. Dziennikarka, publicystka, aktywistka Solidarności, pisarka, scenarzystka, menedżerka. Po prawej stronie Internetu była lepiej znana jak blogerka 1maud na portalu Salon.24.pl. W Gdańsku ostatnich dwóch dekad była człowiekiem instytucją. Należała do tej garstki, która nie pozwalała, by miasto nad Motławą było jednomyślnym platformerskim folwarkiem.

Nigdy nie zapomnę naszej przygody z 2010 r., kiedy z okazji 30. rocznicy Sierpnia 1980 r. zainteresowaliśmy się, czy ktoś z tej okazji uczci troje gdańskich ofiar niedawnej wtedy katastrofy smoleńskiej – Lecha Kaczyńskiego, Macieja Płażyńskiego i Annę Walentynowicz. NSZZ „Solidarność” zorganizowała w Gdyni XXIV zjazd związku. Zaproponowaliśmy z Małgosią, aby na podium zjazdu umieścić duże portrety Kaczyńskiego, Walentynowicz i Płażyńskiego. Małgosia zorganizowała w 24 godziny z własnej kieszeni wydruk zdjęć, uzyskała zgody od posiadaczy praw autorskich. Nasz pomysł

związkowcy przyjęli chłodno. Na zjeździe miał być Donald Tusk, a szefowie związku mieli coś do załatwienia z liderem PO. Nie chciano prowokować ówczesnego premiera. Portretów nie wpuszczono na zjazd.

Zabolał nas ten zimny realizm, ale ustaliliśmy z Małgosią, że nie odpuścimy. Portrety ustawimy pod trzema krzyżami stocznioowymi na mszy z okazji 30. rocznicy Sierpnia. Kuria gdańska i ksiądz, który odprawił mszę, wyrazili zgodę. Ale znów zderzyliśmy się ze ścianą. Portrety kazał usunąć w odległe miejsce za ołtarzem szef nadzoru bezpieczeństwa imprezy reprezentujący gdański magistrat prezydenta Pawła Adamowicza. Tak do pamięci o ofiarach Smoleńska podchodzili wtedy ludzie prezydenta z PO.

Małgosia miała łzy w oczach. Mówiła: „W Gdańsku, z okazji okrągłej rocznicy Sierpnia, portrety Lecha Kaczyńskiego, Anny Walentynowicz i Macieja Płażyńskiego traktowane są jak coś prawie nielegalnego”. Nie mogła zrozumieć, jak można je traktować jako podejrzany symbol, który trzeba zabrać z widoku. Gdyby nie litościwy ope-

rator kamery TVP, który na naszą prośbę w czasie transmisji ze mszy na żywo wyłowił okiem kamery portrety przeniesione za ołtarz polowy, nikt by się nie dowiedział, że w ogóle takie były. Małgosia, która dobrze знаła i przyjaźniła się z panią Anią Walentynowicz, była w szoku. Nie potrafiła zaakceptować, jak bardzo zmienił się oficjalny klimat jej ukochanego Gdańska.

Do ostatnich tygodni życia komentowała politykę w Polsce i w Gdańsku na antenach Radia Gdańsk, Radia Wnet i w Telewizji Polskiej. Walczyła o powstanie w Gdańsku pomnika Dzieci Tułacznych. Wydała dwie książki: „Magnum” oraz „Perełki PRL”. W 2010 r. zainicjowała i sfinansowała z własnych pieniędzy tłumaczenie publikacji na temat kłamstw rosyjskiego raportu MAK o katastrofie smoleńskiej. Rozpowszechniała go w wielu organizacjach na całym świecie zajmujących się badaniem wypadków lotniczych.

Odeszła 11 listopada. Trudno o bardziej symboliczną datę. Odpoczywaj, Małgosiu, w pokoju. ©©



FOT. RADIO GDAŃSK



FOT. RADEK PIETRUSZKA/PAP

KRZYSZTOF MASŁOŃ Z NAGRODĄ MEDIÓW PUBLICZNYCH

Krzysztof Masłoń – autor książek, krytyk literacki, publicysta tygodnika „Do Rzeczy” – w ubiegłym tygodniu został laureatem Nagrody Mediów Publicznych w kategorii Słowo, do której nominację otrzymali także Ernest Bryll oraz Antoni Libera. Nagroda ufundowana przez Polską Agencję Prasową została wręczona jeszcze w trzech kategoriach: Obraz, Muzyka oraz Idea. (jap) ©©

**TRE
MONTI**
RESORT

Kup apartament lub dom
u podnóża Karpacza
w zrewitalizowanej starej Papierni

2 pokoje od **496 000 zł netto**
z wykończeniem i wyposażeniem

ZARABIAJ
na
WYNAJMIE!

**ZAPYTAJ
BEZPOŚREDNIO**



tremontiresort.pl
+48 222 645 260



RAFAŁ A.
ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Odlot powrotu

Uwielbiam, kiedy ludzie składają samokrytyki, a już szczególnie, kiedy odczytują je z kartki. Taką właśnie samokrytykę z kartki odczytał przed kamerami TVN24 jeden z jej pracowników – Andrzej Morozowski. Wypsnęło mu się bowiem parę słów prawdy, że PiS nigdy nie złamał konstytucji, owszem, naciągał ją, obchodził, naginał, ale nie zrobił nic, co by ją naruszało. Po tym nieoczekiwanym przyznaniu, że od ośmiu lat uczestniczył w wielkim kłamstwie, Morozowski został szybko „naprostowany” (jak to się robi, można dowiedzieć się z filmów o domach poprawczych) i odczytał sztywno, co miał odczytać. Słusznie – stara bolszewicka zasada mówi, że od linii partii wolno odejść dopiero

z całą partią, nigdy samemu, i gdzie jak gdzie, ale w głównym organie obozu pomagdałenkowego trzeba to wiedzieć.

Zamiast mędrkować o naginaniu i obchodzeniu Morozowski powinien był brać przykład z Jędrzeja Bieleckiego z „Rzeczpospolitej”. Od dawna śledzę z uwagą oddanie tego człowieka Tuskowi i jego jedynie słusznej partii, tak manifestacyjne, że inni wymiękają (a przecie konkurencja jest naprawdę silna). Bielecki nie zatrzymał się na ogłoszeniu, jak konkurenci, że Polska wraz z powrotem Tuska, choć jeszcze nie wrócił i jeszcze rządzi PiS, „wróciła do Europy” czy też „do rodziny cywilizowanych państw demokratycznych”; komentując dane ekonomiczne, ogłosił, że dzięki

Tuskowi Polska „wróciła na ścieżkę wzrostu gospodarczego”.

Przypomniał mi się artykuł z północnokoreańskiej gazety, którą przynosił kolega przed laty ku ogólnej radości do klubu SF – o pracownikach tamtejszych PGR-ów, którzy domyślali się, że wybiera się do nich Wielki Wódz, bo nagle uprawy zaczynały rosnać bujniej i rodzić większe plony. Przyroda wiedziała, że przyjedzie towarzysz Kim Ir Sen i rozkwitała dla niego – tak samo polska gospodarka rozkwitła na samą tylko wieść, że Donald Tusk niebawem stanie na jej czele.

Jest tylko taki drobiazg, że polska gospodarka rośnie nieprzerwanie od wielu lat, a już za rządów PiS szczególnie szybko. Ale Bieleckiemu tego nie mówcie. ©©



MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Winni się znaleźli!

Sprawa się nareszcie wyjaśniła. Wiadomo już, co spowodowało przegraną PiS w wyborach parlamentarnych. Nie atak na Trybunał Konstytucyjny i zantagonizowanie „kasty sędziowskiej”, przez co dziś jest więcej oburzających wyroków niż dekadę temu. Nie „sortowanie Polaków”, wieloletnia strategia polaryzacji społeczeństwa. Nie jej realizacja aż do intryg i demontażu sprzymierzonego ugrupowania Jarosława Gowina oraz ataków na PSL, nawet kosztem oddawania regionalnej władzy opozycji. Nie stawianie „praw zwierząt” przed potrzebami rolników i hodowców. Również nie buta parlamentarna i zmuszanie marszałek Sejmu do powtarzania najbardziej

nieistotnych przegranych głosowań, byle pozostało jasne, że opozycji nie wolno wygrać żadnego. Nie kopertowa próba przeprowadzenia wyborów bez kampanii wyborczej, co mogło zupełnie podważyć tak potrzebny dziś Polsce prawny mandat prezydenta Rzeczypospolitej. I nawet nie apetyty „tłustych kotów”.

Nie, najbardziej winni są nienarodzeni! Bo – jak zgodnie twierdzą były marszałek Senatu i aktualny premier – wniossek w obronie ich praw „był błędem”. A owszem – był! Pisałem o tym w „100 godzinach samotności” i wcześniej, kto nie wierzy – niech sprawdzi. Błędem była nie obrona nienarodzonych, ale jej brak: zawzięte milczenie o Orzeczeniu Trybunału Konstytu-

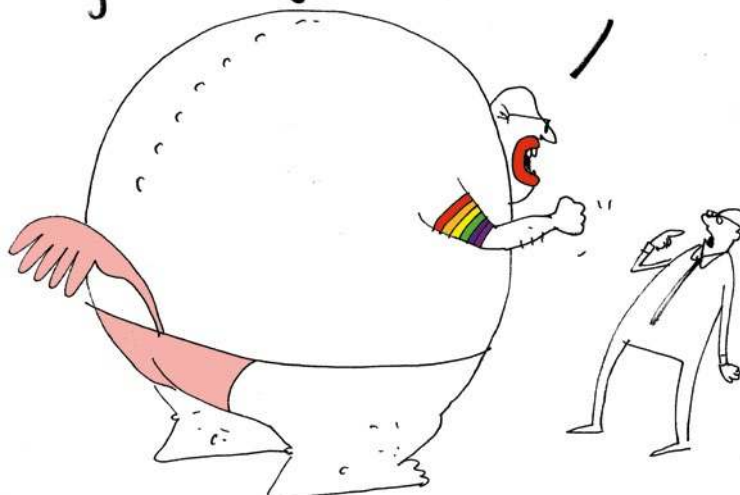
cyjnego z 28 maja 1997 r., zamrażanie debaty w Sejmie, niemyślenie o tym, jak prowadzić nieunikniony spór, niekorzystanie z żadnych rad w tym zakresie. I robienie z Trybunału Konstytucyjnego kanału do pozbycia się kwestii, którą (lider) PiS nie miał ochoty się zajmować.

Tymczasem dla polityków PiS najmniej przegranej winni są oni sami, ich oportunizm i konformizm, bo zapewne „trzeba nie rozumieć polityki”, by oczekiwać, że będą przeciwstawiać się przywódcy, gdy ten politykę największego ugrupowania w Polsce podporządkowuje swym prywatnym emocjom.

Jeśli tak Panowie uważają, to niech się Panowie opamiętają! Póki jest jeszcze czas. ©©

RYSUJE CEZARY KRYSZTOPA

Stul pysk i nawet nie waz się
użyć mowy nienawiści !!!



cezary krysztopa



PIOTR KOWALCZYK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

O praniu mózgów

Dwudziestoletni Federico Manetti, syn znanego reżysera, to lider strajku okupacyjnego na uniwersytecie La Sapienza w Rzymie pod hasłem „Przeciw ludobójstwu narodu palestyńskiego”. W wywiadzie dla „Corriere della Sera” młodzian twierdził, że „palestyński ruch oporu Hamas zaatakował Izrael w akcie samoobrony”. Wymordowanie ponad 200 swoich rówieśników, uczestników rave party, nazwał „operacją wojskową ruchu oporu w ramach toczącej się od lat wojny”. A zakładnicy? „Wzięci zostali w obronie własnej”.

Podobne jeżące włos na głowie rzeczy wygadują i wypisują organizatorzy strajków okupacyjnych na innych sześciu włoskich uniwersytetach i w wielu liceach. W Neapolu w zorganizowanej

przez okupujących konferencji dzięki internetowemu połączeniu udział wzięła palestyńska terrorystka Leila Khaled. Co porażające, nie dzieje się to u ruskich albo w Korei Północnej, tylko w demokratycznym kraju z dostępem do informacji wszelkiej.

Ale dziwić się trudno. List protestacyjny, pełen identycznych kretynizmów, podpisało ponad 4 tys. włoskich nauczycieli i wykładowców uniwersyteckich. Jeszcze dalej poszła pochodząca z Libanu Hanane Hammoud, nauczająca matematyki w międzynarodowej szkole H-Farm w Roncade pod Treviso. Napisała na Instagramie: „Idźcie do piekła! Co do was, Żydów, Hitler miał rację” (minister oświaty niewiastę chwilowo zawiesił).

Idee te podziela przytłaczająca większość mieszkających we Włoszech muzułmanów (2,7 mln, 5 proc. populacji). Z sondażu Włoskiej Rady Islamskiej wynika, że blisko 80 proc. uważa Hamas za palestyński ruch wyzwolenia narodowego. Ale łączenie ataku Hamasu z kwestią palestyńską jest hipotezą ryzykowną. 7 października bojownicy Hamasu, mordując, nie krzyczeli: „Wolna Palestyna”. Wyli: „Allah akbar”, najwyraźniej powołując się na islam, jak dobrze wszystkim wiadomo – religię pokoju.

Notabene z sondażu przeprowadzonego wśród włoskiej społeczności muzułmańskiej kilka lat temu wynika, że 60 proc. nie wydałoby w ręce policji islamskiego terrorysty. ©©

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.



ZUZANNA
DĄBROWSKA

GWIAZDOBZDUR

ZDRADA TO FAJNA RZECZ

Celebryci wynoszą kult „self-love” na wyżyny absurdu. Praktykowaniem miłości do samego siebie potrafią usprawiedliwić lub uzasadnić niemal każdy naganny czyn. Prezentka Anna Wendzikowska postanowiła potraktować w ten sposób temat zdrady w związku. – Zdrada nigdy nie była czymś, czego się obawiałam. Mój tata był wpatrzony w moją mamę jak w obrazek. I ja wiedziałam taką miłość, uwielbienie, taką relację, że ja nigdy nie wybierałam partnerów w typie playboya i zdradzających – wyznała w podcaście Żurnalisty. – Jak ja tylko wiedziałam sygnał, że ktoś się zachowuje nie okej, to ja nie wchodziłam w taką relację, więc nawet w mojej ostatniej relacji, w której się dowiedziałam, że byłam zdradzana, nigdy w życiu bym nie przypuszczała, nigdy nie podejrzewałam, nigdy nie sprawdzałam, bo było to dla mnie coś niewiarygodnego. I nawet jak się dowiedziałam długo po rozstaniu, to powiem Ci, że też mi było w to trudno uwierzyć, dopiero jak zdjęcia zobaczyłam, to gdzieś tam to do mnie dotarło. To nadal nie jest coś, czego ja się obawiam [...]. Ja nie mam tego z dzieciństwa – podkreśliła Wendzikowska. Co ciekawe, choć gwiazda

obawia się zdrady, sama nie jest w tym temacie bez skazy. – Ale też w tej naszej poprzedniej rozmowie powiedziałaś, że zdradzałaś, i zastanawiało mnie, czy to też jest proces, masz wyrzuty sumienia, musisz sobie wybaczyć, jak to wyglądało u Ciebie – zauważył Żurnalista. – Na szczęście ja zawsze miałam w sobie dużo uczciwości. Niestety, miałam taki schemat, że potrzebowałam udowadniać sobie swoją atrakcyjność, więc stąd się brały moje zdrady. Natomiast jak już zdradzałam czy też poznawałam kogoś innego, to odchodziłam, więc jakiś element takiej mojej uczciwości w tym wszystkim był i to mi pewnie pomogło potem to przepracować. Ale to jest bardzo ważny moment w takim procesie pokochania siebie – podkreśliła prezentka. Tłumacząc z celebryckiego na ludzkie, zdrada nie jest zła, a nawet może być czymś fajnym dla samorozwoju, jeżeli się do niej przynasz. Brak słów.

BLOKADA I JUŻ

Za nami uroczystość Wszystkich Świętych i Narodowe Święto Niepodległości, no więc świat komercyjno-showbiznesowy już zaczyna zalewać nas bożonarodzeniowymi gadżetami. Kasa musi się zgadzać. W ten „święteczny” klimat wpisał się wokalista Andrzej Piaseczny z nową płytą „Jeszcze zanim święta”. Piosenkarz aktywnie promuje krążek w mediach społecznościowych. Choć większość komentujących jest pozytywnie nastawiona do jego twórczości, to zdarzają się bardziej krytyczne uwagi. Jeden z internautów wprost skrytykował fragment udostępnionej przez „Piaska” piosenki. „Nienawidzę takich tandetnych klimatów” – napisał. Odpowiedź przyszła niemal natychmiast. „Nienawidzę prowadzi donikąd. Gdyby zechciał pan przyjąć moją radę, proszę sobie znaleźć coś, co pana pozytywnie zajmie. Gdzieś tam” – takiej „rady” udzielił muzyk malkontentowi. To jednak nie koniec. „Drogi panie. Grzecznie informuję, że wszelkie wiadomości, w których obraża się kogokolwiek, będą z mojego profilu usuwane. Proszę nie przekraczać tych granic. Wszystko można powiedzieć

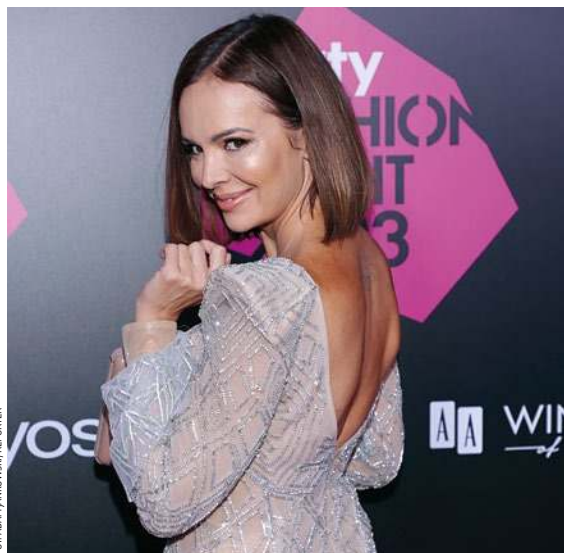
spokojniej. W przypadku powtarzania się takich sytuacji profil pana zostanie zablokowany” – zapowiedział Piaseczny. Strach się bać.

WARUNKI BRZEGOWE ŚWIĘTOWANIA

Jeszcze à propos 11 listopada. Aktor Leszek Lichota wyznał, że nie świętuje tego dnia. Powód? – Przede wszystkim dlatego, że zostało ono zawładnięte przez ludzi, którzy sobie to przywłaszczyli i reprezentują poglądy, które są dalekie od tych, które ja wyznaję. Nie widzę w tym tłumie miejsca dla siebie – przyznał w wywiadzie dla Plejady. – Jeżeli to będzie święto radości, święto rodzinne, gdzie będzie można przyjść z dziećmi, nie obawiając się, że dostanie się z procy albo racą, to wtedy bardzo chętnie wezmę w tym udział – dodał Lichota, przekonując, że „ostatnie lata niestety tylko polaryzowały to wszystko i ten dzień był walką o wpływy polityczne”. Punkt widzenia zależy od punktu siedzenia. Czy jakoś tak.

LEPIEJ MILCZEĆ

Z dużym niesmakiem krótka relacja z uniwersum obłędu. Andrzej Chyra postanowił przypomnieć wszystkim, że brak mu kultury osobistej i fakt bycia cenionym aktorem niczego w tym temacie nie zmienia. Tym razem gwiazdor za cel ataku obrał sobie ministra kultury i dziedzictwa narodowego Piotra Glińskiego. W relacji na Instagramie aktor zamieścił zrzut ekranu przedstawiający artykuł w serwisie OKO.press, zatytułowany: „Piotr Gliński na ostatniej prostej powołuje nowych szefów instytucji kultury”. W tekście czytamy, że „Piotr Gliński w ostatniej chwili postanowił powołać swoich ludzi na wieloletnie kadencje w podlegających mu instytucjach kultury. Nominacje zostały wręczone 10 listopada”. Co na to Chyra? „Ch...k złamany” – napisał o ministrze kultury. Tutaj komentarz jest zbędny. ©



FOT. ADAM JANKOWSKI/REPORTER



MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, ledwo nowy lepszy Sejm wybrał nowego marszałka, a poculiśmy, iż jest to nasza władza, będąca bliżej zwykłych ludzi, lepiej rozumiejąca ich potrzeby. Otóż nie możemy się doczekać, aż osobomarszałek Hołownia odpali swój podcast.

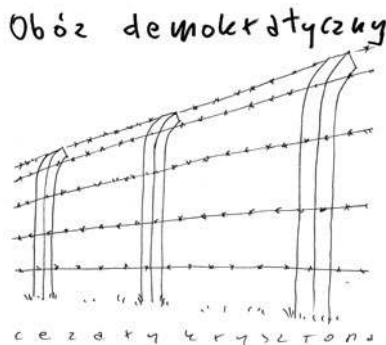
Mamy nadzieję, iż cała koalicja będzie znacznie aktywniejsza w mediach społecznościowych niż wcześniej pis. Ale wiadomo, pis miał takie nowoczesne formy kontaktów z wyborcami w poważaniu. Oni to potrafili jeździć po tym kraju na jakieś wiece, spędzić, zostawiać ślad węglowy i niesmak.

Teraz więc czekamy na Czarastego na TikToku, np. w projektach typu „Pięć rodzajów tańca, które zatrzymają polexit”, albo innych postów lewicy realizujących wyzwania w celu rozdziału Kościoła od państwa.

Of kors mamy nadzieję, iż poszukiwanie nowych, kreatywnych kanałów komunikacji nie sprawi, że politycy przestaną się nawalać na Twitterze albo Fejsie. Jest to co prawda tradycja, ale taka, o której utrzymanie będziemy apelować, iż pozwala nam oderwać się w korpo od pracy i spędzić parę chwil na śledzeniu nowej awantury. Oczekujemy więc, iż w tym zakresie nowa władza w rozsądny sposób będzie łączyła tradycję z nowoczesnością.

W naszym nieregularnym cyklu, w którym rozprawiamy się z polską mentalnością, przyszedł czas na wzięcie na tapet tematu oszczędności.

Przypomnienie: jak wiecie, Polacy używają starych samochodów, mieszkają w małych domach kupionych na wysokie kredyty, jeżdżą na wakacje do Darłówka zamiast na ultra all-inclusive i wciąż stosunkowo rzadko się rozwodzą.



No a teraz do tego możemy dołożyć zjawisko nieoszczędzania. Otóż wyobraźcie sobie, iż przeciętny Polak ma tylko tyle oszczędności, że w razie utraty pracy mógłby za nie przeżyć najwyżej dwa miesiące. Trudno, żeby było inaczej, skoro domowe budżety są wydawane głównie na jedzenie, ogrzewanie, rachunki i jakieś pierdoły dla dzieci.

No cóż, prawdę mówiąc, nie jesteśmy zaskoczeni. Polacy, jak widać, nie potrafią mądrze oszczędzać, dywersyfikować portfela, pewnie mało który z nich próbował kopać bitcoina, a jedyne akcje, o których słyszeli, to te w piłce nożnej.

A największa beka z tego, że ponad 80 proc. Polaków uważa siebie za osoby

oszczędne, pewnie dlatego, iż na typowego majowego grilla zamiast sześcioraka kupują dwa czteropaki na promce xD, of kors po szczegółowej analizie gazetek promocyjnych wszystkich dyskontów.

Pewnie się dziwicie, iż poświęcamy w tym roku tak niewiele miejsca Marszowi Niepodległości, no ale sami pomyślcie – o czym tu pisać i po co robić promocję?

Zresztą prezydent Rafał Trzaskowski powiedział, iż Marsz Niepodległości nie powinien być wydarzeniem cyklicznym, i my się w pełni z takim stanowiskiem utożsamiamy.

Otóż naszym zdaniem Marsz powinien się odbywać tylko w tych latach, w których przypada rocznica odzyskania niepodległości. Jeszcze nie sprawdzaliśmy, ale jeśli w 2024 r. takiej rocznicy nie będzie, to marsz się nie powinien odbywać, proste.

Wówczas zamiast niego można świecować rocznicę zakończenia pierwszej wojny światowej, rocznicę otwarcia linii kolejowej Chełmża – Grudziądz czy premiery „Wywiadu z wampirem”.

A jak przyjdzie rok, w którym przypadnie święto nacjonalistów, to można wtedy pomyśleć nad jakimś wydarzeniem, które łączy, a nie dzieli, można by zrobić takiego zajebistego orla z czekolady, tak tylko sobie głośno myślimy...



**FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI
OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO**

PODSŁUCHANE

Sztuczna inteligencja

Szymon, ja mam świetny pomysł na ten podcast!
Jaki, Rysiu?

Z rozmachem zrobimy. Nie taki, że tylko gadasz do mikrofonu.

Słuchowisko zrobimy.

A ty masz doświadczenie?

Nie mam. Ale jaki to problem? Kto jest bez spodni, niech pierwszy rzuci kamieniem.

Chyba bez winy?

Mniejsza z tym. Weźmiemy sztuczną inteligencję i zrobimy głos Kaczora. O tu mam scenariusz. Zobacz.

„Kaczor: Jestem premierem, jestem premierem, chcę

przemówić!”. „Szymek: Usiądź, podły zabójco demokracji! Niech twoja jadowita twarz zejdzie z mojego wzroku”. Sam to pisałeś?

Sam!

Może pogadamy o tym później, trzeba to trochę przerobić.

Jak chcesz, ale nie rzuca się pereł, zanim nie przeskoczysz. Czy jakoś tak. ©©

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Donald Tusk jest naszym skarbem narodowym”.

JAN KRZYSZTOF BIELECKI, były premier, w programie „Tak jest” w TVN24

Pamiętacie, jak pisaliśmy o liście pań, spośród których wyłoniony zostanie nowy szef Komisji Nadzoru Finansowego? Otóż feminizm prawicy ma swoje granice. Pojawił się bowiem nowy kandydat. Zupełnie poważnie rozważany jest... Mateusz Morawiecki. Problem polega na tym, że szefa KNF, którego kadencja upływa 23 listopada, mianuje prezes Rady Ministrów.

Co do samego KNF, my byśmy brali fuchę w ciemno. Nie wiemy, czy wiecie, że szef KNF zarabia kilka razy więcej niż premier i prezydent razem wzięci. A do tego ma gigantyczną władzę, porównywalną z szefem NIK. No i wcale nie taki mały urząd. Do wyjaśnienia pozostaje jedynie kwestia, czy Mateusz musiałby się zrzec mandatu posła. Nie byłaby to jednak jakaś wielka strata, bo kadencja szefa KNF jest o rok dłuższa niż kadencja Sejmu.

Powyższy pomysł bardzo podoba się wierchuszce PiS, która delikatnie mówiąc, w odróżnieniu od Naczelnika, za Mateuszem nie przepada. I to tak bardzo nie przepada, że jest gotowa nawet zgodzić się na jego wielkie zarobki w nowej roli, byleby zniknął z horyzontu. Najpierw jednak ma spełnić ostatnią misję, czyli zostać zderzakiem w ramach samobójczej misji klecenia nowego rządu.

Odstawienie Mateusza na lukratywną synekurę rozpocznie nowy rozdział wojny o sukcesję, do której wszyscy się przygotowują, ale o której nikt głośno nie mówi. Na razie było tak, że wszyscy się obawiali, iż Naczelnik wyjdzie i ogłosi Mateusza delfinem, a na to w partii za bardzo zgody nie ma. Problem w tym, że w kwestii sukcesji w ogóle nie ma tam ani zgody, ani nawet czegoś, co z oddali mogłoby uszmkowane i ładnie ubrane udawać zgodę. Przewidujemy więc na prawicy długi okres, w którym największą popularność będzie miał znany polityk o imieniu Żaden i nazwisku Z Powyższych.

Żeby nie było: są i tacy, którzy uważają, że żarty z Mateusza tworzącego nowy rząd są na wyrost. Nasze

wiewiórki twierdzą, że niektórzy chłopcy od Hołowni i Kosiniaka-Kamysza nawet nie czekali na telefon, tylko sami zaczęli sondować, na jakie frukta mogliby liczyć. Jednak PiS, pomny historii z Renatą Beger, jest bardzo ostrożny w takich kontaktach.

À propos Hołowni: ludzie zaczadzeni tzw. momentem chwili ukuli frazę, że Szymon Płacziwy ma wreszcie szansę na to, by w nowej roli marszałka Sejmu dorosnąć do wielkości. Zgadza się, ale tylko częściowo. Otóż ma on szansę po prostu dorosnąć.

dwaj panowie g



FOT. ROBERT CAROZINSKI

Ale to się bardzo rzadko zdarza po czterdziestce.

Dla Szymona mamy natomiast ważną radę: uważaj, chłopie, kto cię chwali. Zwłaszcza kiedy ten ktoś mówi o tym, jaką to trampoliną do prezydentury ma być funkcja marszałka Sejmu i związana z nią popularność (samo to ostatnie stwierdzenie zasługuje na krótki komentarz. Oto on: „???”). Wszystko bowiem wskazuje na to, że zostałeś wskazany przez Złego Donalda z Sopotu do roli Andrzeja Leppera nowej koalicji rządzącej. Andrzej też bardzo się cieszył, że dostaje różne nowe funkcje, limuzyny, i był wice-premierem, i wicemarszałkiem, i całkiem poważnym politykiem. I bardzo szybko się zużył, a miał skórę twardszą, bo jeśli już ktoś ronił łzy, to raczej nie on sam, tylko ci, którzy mu weszli w drogę.

Sprawy zagraniczne. Czterech ambasadorów siedzi na walizkach, oczekując na wyjazd na placówkę. Pewnie lada dzień dostaną listy uwierzytelniające, ale niepokój jest. Dla uspokojenia napiszemy, że osoba głowy państwa zapewnia wszem wobec, że nie zgodzi się na odwołanie żadnego przez siebie wysłanego ambasadora. No, może z wyjątkiem jednego, za którym nie przepada.

Drużyna Złego Donalda jednak nie śpi i już knuje, jak się pozbyć niechcianych dyplomatów. Czyszkami w MSZ ma się zająć Tomasz Orłowski, niedysiejszy szef protokołu i wielokrotny ambasador, m.in. w Paryżu. Ma on zostać nowym szefem służby zagranicznej. Ale jest problem. Okazuje się, że większość ludzi na placówkach i w centrali to swojacy, jeszcze z tzw. notesu Geremka. PiS-owska miotła była bowiem w dyplomacji dość łagodna.

Jeśli chodzi o czystki, to rozważane są trzy metody. Pierwsza: likwidacja placówek w mniej znaczących krajach. Taką placówkę zawsze można, w razie czego, powołać na nowo. Ale kiedy indziej. Drugi sposób, już kiedyś ćwiczony, to odbieranie dyplomatom poświadczeń bezpieczeństwa upoważniających do dostępu do informacji niejawnych. Sądy je zwykle przywracają, lecz dopiero po kilku

latach. A któż to wie, co będzie za kilka lat? No i trzecia metoda: zawsze można odwoływać dyplomatów na konsultacje do kraju, co pozbawia ich sporej części dochodów. Grozi jednak oziębieniem stosunków z państwami przyjmującymi.

Skoro już o nowych porządkach. W obiegu pojawiło się nazwisko niejakiego Syguta, jako przyszłego nowego prezesa TVP. Nasze wiewiórki twierdzą jednak, że większe szanse ma Adam Pieczyński, który dla ojczyzny ratowania miałby powrócić z wygnania z Hiszpanii. Nie sam. Jego żona, Justyna Pochanke, miałaby zostać nową Holecą w „Wiadomościach”.

Apropos powrotów z wygnania. Ulu-bieniec naszej rubryki, najdłuższy polski mecenas zwany Romanem Giertuskim, jest już w kraju. Nie był to jednak powrót na białym, notabene, koniu. Mecenas nie zdecydował się też na użycie transportu lotniczego. Ostatecznie przemknął się przez kordony niepostrzeżony, drogą lądową. Szanse na uchylenie immunitetu w obecnym Sejmie są znikome, ale już się cieszymy na przecieki w sprawie nowych zarzutów dla posła adwokata. Podobno jest grubo.

Skoro zwalniamy, to będą przyjmować – mawiał Lejzorek Rojstzwaniec na kartach prozy Erenburga. No więc zanim przyjmą, to będą przymiarki. Nie ukrywamy, że niektóre uważamy za bardzo zabawne. Na przykład wiadomość, że ministrem zdrowia miałaby zostać Leszczyna Izabela. Od razu powiemy hejterom, że są w mylnym błędzie, wołając: „Jak to? Przecież Leszczyna to ekonomistka!”. Otóż nie, Leszczyna to polonistka.

Żeby było konkretnie: filologię polską skończyła na UJ, ale potem się jeszcze dokształcała. Nie, nie w kierunku ekonomii, tylko filozofii i etyki. Uważamy, że polonistka jest w Ministerstwie Zdrowia niezbędna, i dziwimy się, że tak późno ktoś wpadł na ten pomysł. Ktoś musi poprawiać błędy ortograficzne w receptach oraz prowadzić filozoficzne monologi. Na

przykład, gdy lekarze i pielęgniarki przyjdą po kasę, rekomendujemy Senekę Młodszego: „Jesteś bogatszy, niż myślisz”.

Młodszym czytelnikom naszej rubryki, którzy nie pamiętają, jak to było z formowaniem rządu Złego Donalda z Sopotu w roku 2007, a potem 2011, przypominamy, że liczy się jedna zasada: jeśli ktoś się na czymś zna, to na pewno nie będzie prowadził związanego z tym resortu. Taki człowiek mógłby bowiem publicznie udowodnić, że jest coś wart, a w rządzie Donalda może być tylko jedna gwiazda: Donald.

Na dowód prawdziwości powyższej tezy prosimy, by przypomnieć sobie Klicha Bogdana – miał być kiedyś ministrem od kultury, został ministrem od obrony narodowej. Oczywiście w przypadku Leszczyny sprawa jest prostsza. Ona nie jest w stanie niczego udowodnić w żadnym z resortów. Dlatego wszędzie się nadaje.

Tymczasem na ministra szykuje się także Borys Budka, znany tu i ówdzie jako Borysław. Nie będziemy zdradzać, na które stanowisko ministra, ale przecież zawsze mówiliśmy, że taki człowiek to skarb. Sami więc się teraz domyślcie.

Tę ostatnią informację można potraktować jako kolejny dowód na postępującą infantyлизację Rady Ministrów. Pomyślcie, do niedawna ministrem był Buda. A teraz będzie Budka. To jakby zamienić auto na autko.

Jak donoszą media, trwa też pilne poszukiwanie kandydata, który mógłby natychmiast zastąpić rzecznika praw dziecka Mikołaja Pawlaka. Mamy swoją propozycję: Grzegorz Schetyna. Pomyślcie sami – niedysiejszy najpotężniejszy człowiek w PeŁo, który trzymał partię żelazną ręką. Wicepremier. Szef resortu spraw wewnętrznych. Rekin, który miał pożreć Donalda. Dziś szeregowy senator, który znaczy tyle, co dowolny noł nejm w izbie hejtu i glejtu. Grzegorz dał się ograć jak dziecko. Ma więc jakieś kwalifikacje. ©©

„Sługa narodu” i jego krytycy



Maciej Pieczyński

Poparcie dla urzędującego prezydenta Ukrainy spada powoli. Jednak lista zarzutów pod jego adresem się wydłuża. Opozycja coraz rzadziej gryzie się w język i coraz bardziej otwarcie krytykuje Zełenskiego

O dyplomatycznych zgrzytach, wywoływanych przez roszczeniową i arogancką postawę Zełenskiego w relacjach z partnerami zachodnimi, w tym przede wszystkim z Polską, pisaliśmy już wielokrotnie. Od jakiegoś czasu ukraiński prezydent staje się nerwowym i konfliktowym również w polityce wewnętrznej. Coraz bardziej wyraźna jest różnica zdań dzieląca Zełenskiego z gen. Walerijem Załużnym. Brytyjski „Telegraph” pisze wręcz o „rozłamie” pomiędzy politycznymi a wojskowymi władzami na Ukrainie. Tę narrację podchwytyją i rozwijają również media nad Dnieprem. Na początku listopada gen. Załużny w wywiadzie dla „The Economist” przyznał, że działania na froncie przeszły w fazę pozycyjną, „podobnie jak w czasie pierwszej wojny światowej”, oraz że ten impas trudno będzie przełamać. Żeby kontrofensywa miała szansę powodzenia,

armia ukraińska powinna była zdobywać teren z prędkością 30 km dziennie. To się jednak nie udało. Zabrakło przewagi technologicznej nad agresorem.

Szczerość głównodowodzącego poirytowała głowę państwa. Wiceszef biura prezydenta Ihor Żowkwa stwierdził, że wojskowi nie powinni publicznie wypowiadać się na temat sytuacji na froncie. Dał też do zrozumienia, że takie wypowiedzi tylko ułatwiają zadanie agresorowi. Załużnemu odpowiedział też sam Zełenski, zapewniając, że sytuacja wcale nie jest patowa. Następnie biuro prezydenta zwolniło dowódcę Sił Operacji Specjalnych Ukrainy bez zwyczajowych konsultacji ze sztabem generalnym. Według doniesień medialnych Zełenski i jego ludzie obawiają się, że pesymistyczne głosy o impasie na froncie w ustach ukraińskich dowódców sprawią, iż Zachód tym bardziej będzie naciskał na rozmowy pokojowe z Rosją.

Nad Dnieprem głośno spekuluje się o tym, że prezydent rozważa dymisję głównodowodzącego. Nie chodzi nawet tylko o kłopotliwe komentarze dla zachodniej prasy. Ktoś musi odpowiedzieć za porażkę kontrofensywy. Potrzebny jest kozioł ofiarny. Ponadto, pomimo nieciekawej sytuacji na froncie, Załużny wciąż jest w kraju bardzo popularny. Pozbawiony stanowiska, będzie mógł zająć się polityką. A wtedy stanie się bardzo groźnym konkurentem dla Zełenskiego. Współpracownicy prezydenta zapewniają z kolei, że nie ma żadnego konfliktu z Załużnym i że obaj pozostają ze sobą w stałym kontakcie. To jednak najpewniej tylko robienie dobrej miny do złej gry.

GROŹNY KONKURENT

Poparcie dla Zełenskiego powoli spada, ale wciąż utrzymuje się na wysokim poziomie. Według sondażu z września





FOT. BLOOMBERG/GETTY IMAGES

Dziennikarz Ołeh Manczura, komentując spór na szczytach władz, użył historycznego porównania, które w bardzo niekorzystnym świetle stawia obecnego prezydenta. „Żałużny to Juszczenko, a Zełenski to Kuczma” – pisze dziennikarz. Juszczenko do ostatniego momentu upierał się, że nie chce kandydować na prezydenta. Jednak ówczesny prezydent Kuczma i szef jego administracji Medwedczuk usunęli go ze stanowiska premiera. I wtedy zmienił zdanie. Podobnie może być z Żałużnym. Warto przypomnieć, że choć Kuczma prowadził wielowektorową politykę zagraniczną, to bliżej było mu do Rosji. Medwedczuk zaś był otwarcie prorosyjskim politykiem, a do tego przyjacielem Putina. Po 24 lutego 2022 r. aresztowany przez SBU za zdradę. Jego „odpowiednikiem” w analogii, poczynionej przez Manczurę, jest szef biura prezydenta Andrij Jermak, znienawidzony przez opozycję i niejednokrotnie (choć nigdy nie przedstawiono żadnego na to dowodu) oskarżany o związki z Moskwą. Przy czym, patrząc z dystansem na spór nad Dnieprem, trudno uwierzyć, że naczelny wódz armii nie ponosi żadnej odpowiedzialności za niepowodzenia na froncie.

Komentując spór dwóch w zasadzie najważniejszych osób w państwie, założyciel telewizji Espresso i zarazem polityk Solidarności Europejskiej (największej opozycyjnej partii) Mykoła Kniażycki ironizował, że ludziom Zełenskiego nie wystarczy już jego obraz jako „ojca narodu”, który naród ten uratował podczas inwazji. Teraz jeszcze chcą go wykreować na współczesnego Napoleona, który odniósł błyskotliwe zwycięstwa pod Kijowem, Czernihovem, Charkowem i Chersoniem nie dzięki generałom, ale wbrew nim. Jak argumentuje Kniażycki, gdyby „ego Zełenskiego było mniejsze, a fachowość jego doradców większa”, to zrozumiałby, że wypowiedzi Żałużnego były korzystne dla Kijowa, bo unaocznili władzom w USA, czego potrzebuje Ukraina, żeby wygrać.

Poza głównym nurtem medialnym coraz bardziej powszechne jest niezadowolone z rządów obecnej ekipy

Polityk partii Poroszenki nazywa prezydenta nie tylko „Napoleonem”, lecz także „carem”, co w kontekście walki z rosyjską inwazją brzmi dwuznacznie.

Żałużny pośrednio atakowany jest także przez niższych rangą przedstawicieli ekipy Zełenskiego. Deputowana do Rady Najwyższej z ramienia Sługi Narodu Mariana Bezuhła zwróciła się do ministerstwa obrony i głównodowodzącego SZU o wprowadzenie prohibicji dla dowództwa wojskowego w warunkach stanu wojennego, insynuując tym samym problem z alkoholem wśród generałów. Parlamentarzystka znana jest ze specyficznych pomysłów. Jakiś czas temu przeprowadziła w swoich mediach społecznościowych sondę, pytając obserwujących, czy życzą śmierci deputowanym do Rady Najwyższej. Twierdząco odpowiedziało 66 proc. „respondentów”. Kiedy indziej złożyła do parlamentu projekt ustawy, nadający dowódcom prawo rozstrzeliwania podkomendnych za niewykonanie rozkazu. W mediach opozycyjnych Bezuhła uchodzi za personifikację, dość zresztą jaskrawą, populizmu partii Sługa Narodu.

DŁUGA LISTA ZARZUTÓW

To nie koniec problemów ekipy rządzącej w ostatnich tygodniach. Pod koniec października nowym wiceszefem ukraińskiej policji został Dmytro Tyszelek. Ministerstwo spraw wewnętrznych bardzo szybko musiało go jednak zawiesić w obowiązkach. Z dziennikarskiego śledztwa wynika bowiem, że żona i teściowa Tyszleka mają rosyjskie paszporty, a sam Tyszelek jakoby jest powiązany z mafią rosyjską. Jego nominację musieli zatwierdzić szef oraz wiceszef biura prezydenta. W ciągu ponad dwóch tygodni od momentu, gdy Tyszelek stracił stanowisko, policja ani nie potwierdziła, ani nie zaprzeczyła jego związkowi z mafią, a on sam wciąż pozostaje na służbie.

Zdaniem opozycji władza próbuje zamieść sprawę pod dywan. „Prezydent Zełenski powinien odpowiedzieć za haniebne czyny swoich współpracowników, bo nie można ciągle stać w pozie strusia i udawać, że się nie słyszało o wyznaczeniu ludzi mafii na najwyższe posady w organach ścigania [...]. To policzek dla tych uczciwych obywateli, którzy za prawo na Ukrainie każdego dnia oddają życie” – grzmiał znany dziennikarz śledczy Jurij Butusow.

2023 r. ufa mu prawie 75 proc. Ukraińców. Dziesięć procent mniej niż na przełomie lutego i marca. Obecnie sondaże dają Zełenskiemu sporą przewagę nad rywalami, w tym nad Żałużnym (gdyby kandydował), w przypadku wyborów prezydenckich. Trudno jednak o inny wynik w sytuacji, gdy wciąż trwa wojna, a w warunkach pełzającej cenzury największe telewizje prezentują punkt widzenia władzy. Jednak poza głównym nurtem medialnym coraz bardziej powszechne jest niezadowolenie z rządów obecnej ekipy, a co za tym idzie – również przekonanie, że gdyby doszło do wyborczego starcia, Żałużny pokonałby Zełenskiego. Szczególnie że – choć w rankingach polityków obecny prezydent wyprzedza znacznie obecnego głównodowodzącego – w rankingach zaufania Siły Zbrojne Ukrainy stoją wyżej niż głowa państwa.

Obecna władza ukraińska krytykowana jest także za opieszałość na drodze do integracji europejskiej. Niezadowolenie z działań Kijowa na tym polu widoczne jest w badaniach opinii publicznej. W odpowiedzi na pytanie o największą przeszkodę w staraniach Ukrainy o członkostwo w UE tylko 19 proc. respondentów wskazuje na wojnę, a aż 51,7 proc. badanych – na korupcję. „To jest wyrok dla obecnej władzy. Ten wyrok wydał naród ukraiński, bo »pozytywne« informacje podawane w ramach Telemaratonu [czyli połączonej transmisji największych kanałów telewizyjnych, wspólnie nadających oficjalny, rządowy przekaz – przyp. red.] już nie przekonują większości, że białe jest czarne” – komentował politolog Witalij Bała.

Poza korupcją ogromne wątpliwości Zachodu budzi cenzura wojenna. Opozycja narzeka – słusznie zresztą – że sprzyjające jej kanały telewizyjne nie zostały dołączone do Telemaratonu. Trzy telewizje, związane z Poroszenką i jego ludźmi, zostały wyłączone i można je oglądać tylko w Internecie. W 2023 r. ukraińscy podatnicy wydali na Telemaraton 2 mld hrywien (ponad 200 tys. zł). Jak ustalili dziennikarze portalu Glavcom, większość środków trafiła do kieszeni Dmytra Firtasza, Wiktora Pinczuka i Rinata Achmetowa. Czyli oligarchów – właścicieli kanałów, które współtworzą tę oficjalną narrację. Zdaniem polityków opozycji te pieniądze powinny zostać przeznaczone na wsparcie dla armii ukraińskiej. Przy czym trzeba pamiętać, że za opozycją również w dużym stopniu stoją oligarchowie, tyle że inni. Zmiana władzy niekoniecznie musi więc oznaczać zwalczenie obecnych patologii.

„Okres ochronny” dla władzy w czasie wojny się skończył. Jeszcze w pierwszych miesiącach inwazji opozycja powstrzymywała się przed personalną krytyką Zełenskigo. Popularnego na Zachodzie prezydenta, który mógł sporo dla Ukrainy zdziałać na arenie międzynarodowej, nie wypadało atakować w kryzysowej sytuacji. Skupiano się zatem na krytyce jego otoczenia i prezydenckiej partii Sługa Narodu. Z czasem jednak, gdy Zełenski popełniał błąd za błędem w polityce zagranicznej, a sytuacja na froncie była na tyle nieciekawa, że grzechem byłoby nie wykorzystać jej politycznie, ale nie na tyle zła, aby wewnętrzne spory doprowadziły do upadku

Lista zarzutów do Wołodymyra Zełenskigo i jego ludzi jest długa. Przede wszystkim, zdaniem opozycji, prezydent nie przygotował należycie kraju do wojny. Zignorował ostrzeżenia Zachodu, nie ogłosił na czas mobilizacji ani ewakuacji

państwa, niezadowolenie z działań prezydenta wyrażano coraz częściej i chętniej.

Lista zarzutów do „sługi narodu” i jego ludzi jest długa. Przede wszystkim, zdaniem opozycji, Zełenski nie przygotował należycie kraju do wojny. Zignorował ostrzeżenia Zachodu, nie ogłosił na czas mobilizacji ani ewakuacji (jak tłumaczył, chciał uniknąć paniki). Nie zadbał o zaopatrzenie armii (stąd permanentne prośby pod adresem Zachodu o pomoc sprzętową). Jego konto obciążają również szybkie wycofanie się z obwodu chersońskiego, masowe zdrady w SBU (czego skutkiem była dymisja szefa służby, przyjaciela Zełenskigo), wreszcie wspomniana już, tradycyjnie tocząca Ukrainę potężna korupcja (skutkująca m.in. wymuszoną dymisją ministra obrony), z którą jak dotąd władza nie potrafi się rozprawić.

WYBORY W TRAKCIE WOJNY?

Zgodnie z kalendarzem w przyszłym roku Ukraińcy powinni wybierać prezydenta. Prawo zabrania jednak przeprowadzania wyborów w czasie stanu wojennego. Zdaniem części ekspertów byłoby to również sprzeczne z konstytucją. Z tą ostatnią opinią nie zgadza się m.in. przewodniczący Rady Najwyższej Rusłan Stefanczuk z partii Sługa Narodu. Zełenski w czasie kampanii prezydenckiej w 2019 r. obiecywał, że nie będzie kandydować na drugą kadencję. Jakiś czas temu częściowo wycofał się z tej obietnicy. Zadeklarował, że jeśli wybory odbędą się w czasie wojny, to nie zostawi swojego narodu i wystartuje ponownie.

Jednak w sytuacji, gdy walka z agresorem usprawiedliwia państwową cenzurę wojenną, a społeczeństwo skupione jest „wokół flagi”, opozycja w zasadzie miałaby niewielkie szanse na wygraną. Sondaże

dają Zełenskiemu miażdżące zwycięstwo. Dopiero zniesienie stanu wojennego i powrót do normalności w życiu publicznym umożliwiłyby uczciwą walkę polityczną. A wtedy niezadowolenie opozycji mogłoby zyskać większy rozgłos i znacząco wpłynąć na nastroje wyborców, zmęczonych wyniszczającym konfliktem. Dopóki jednak trwa wojna i warunki nie sprzyjają równorzędnej rywalizacji politycznej, dopóty przeciwnicy prezydenta, coraz głośniejsi pomstując na niego w mediach (również społecznościowych), jednocześnie opowiadają się przeciwko przeprowadzeniu wyborów w czasie wojny.

Popularny polityk Solidarności Europejskiej Ołeksij Honczarenko stwierdził niedawno, że według jego informacji Zełenski polecił rozpoczęcie przygotowań do wyborów prezydenckich, które miałyby się odbyć 31 marca 2024 r.

„Teraz jest czas wojny, jest wiele wyzwań i całkowicie nieodpowiedzialne byłoby wrzucanie lekko i wesoło kwestii wyborów w społeczeństwo” – tak te rewelacje skomentował sam zainteresowany. Wiele wskazuje jednak na to, że w otoczeniu prezydenta wciąż rozważany jest scenariusz wyborów w czasie wojny. Przyznał to publicznie szef dyplomacji Dmytro Kułeba. Co istotne, na przeprowadzenie głosowania naciskają zachodni partnerzy Ukrainy. Wybory mają być dowodem, że nad Dnieprem wciąż panuje demokracja.

Prezydent ma więc dodatkowy argument, aby wbrew protestom zorganizować głosowanie, w którym jego szanse na zwycięstwo są ogromne. Jeśli jednak to zrobi, to zdaniem Ołeha Manczury „postawi się w jednym rzędzie z Putinem i Łukaszenką”. Wybory byłyby „równoznaczne z zamachem stanu”. Manczura nie jest w tej opinii odosobniony. Zapewne Zełenski wygrałby w cuglach, ale niezadowolenie sprzeciwiającej się wyborom mniejszości mogłoby nawet doprowadzić do kolejnego Majdanu. Ponadto Rosjanie z pewnością zrobiliby, co w ich mocy, aby zakłócić proces wyborczy. W warunkach, gdy ponad 20 proc. terytorium kraju jest pod okupacją, komisje są ostrzeliwane przez agresora, kilka milionów obywateli uciekło za granicę, a politycy spierają się, czy głosowanie w ogóle jest legalne, zwycięstwo urzędującego prezydenta miałoby raczej gorzki smak.

© All rights reserved

Ukraina obawia się utraty wsparcia wraz z globalnym przestawieniem na wojnę Izraela z Hamasem”, „Ukraina traci sojuszników w Europie Wschodniej”, „Do senatorów: Putin wygra, jeśli USA zredukują wsparcie dla Ukrainy”, „Putin stawia na chwiejność wsparcia dla Ukrainy w wyścigu na czas”, „Ukraińska ofensywa przeciw Rosji jest zbyt wolna w oczach USA, Wielkiej Brytanii i UE”, „Putin chce, aby Zachód odpuścił w kwestii Ukrainy”, „Ukraina traci impet, kiedy uwaga skupia się na linii Izrael – Gaza” – oto przekrój nagłówków z wiodących anglojęzycznych mediów („Financial Times”, CNN, Bloomberg, „The Atlantic”...) z ostatniego miesiąca w kwestii chwiejącego się właśnie poparcia dla Ukrainy. Przy czym jeśli prawdą jest, że wojna w Izraelu radykalnie odwróciła medialną uwagę od wojny na Ukrainie, narzucając także na Zachodzie nowy porządek priorytetów politycznych i militarnych, to proces erozji poparcia dla sprawy ukraińskiej trwał już od dłuższego czasu. Kijów, który do tej pory niejednokrotnie wygrywał swe bitwy PR-owskie, dostał na tym gruncie w ostatnim czasie zadyszki mogącej nawet, jeśli trend ten się utrzyma, przerodzić się w porażkę.

NIE NA POLU BITWY

Wyraźne sygnały studzące entuzjazm wobec perspektyw zwycięstwa Ukrainy wysyłał już rok temu dziś były szef sztabów amerykańskiej armii, gen. Mark Milley. Twierdził on, że wojny rosyjsko-ukraińskiej nie da się rozstrzygnąć na polu bitwy, stąd dawał między wierszami do zrozumienia, że celem przyszłej ukraińskiej kontrofensywy jest zapewnienie Kijowowi silniejszej pozycji przy stole negocjacyjnym przed nadchodzącą zimą 2023–2024 (właśnie mamy ten okres).

Nie tylko on. Świeżo wybrany na urząd prezydenta Czech gen. Petr Pavel mówił na wiosnę, że nadchodząca ukraińska kontrofensywa jest w najbliższym czasie ostatnim okienkiem szansy dla Ukrainy, ponieważ w przypadku jej niepowodzenia nie będzie motywacji do dalszego dozbrajania Ukrainy w dotychczasowym tempie ani nawet zdolności produkcyjnych zachodniego przemysłu zbrojeniowego.

Na te ostatnie ograniczenia wskazywali z kolei sekretarz generalny NATO

Jens Stoltenberg, apelując o zwiększanie produkcji w Europie, a także głównodowodzący NATO w Europie, gen. Christopher Cavoli, który posunął się nawet do stwierdzenia, że obecna wojna rosyjsko-ukraińska przekracza dotychczasowe wyobrażenia NATO.

Innymi słowy, byle nieco ściszyć głosy licznych augurów zaklinających rzeczywistość, zwiastując łada dzień dziejową porażkę Moskali, a najlepiej historyczny rozpad Federacji Rosyjskiej, wśród prominentnych przedstawicieli zachodniej generacji można było usłyszeć głosy realizmu studzące oczekiwania, a nawet kreślące pesymistyczne perspektywy co do możliwej wiktorii Ukrainy.

ze szturmem na dobrze ufortyfikowane rosyjskie pozycje – to na Zachodzie z kolei z niedowierzaniem oglądano masowo płonący NATO-wski ciężki sprzęt pancerzy na froncie zaporoskim. Przykry, być może nawet częściowo kompromitujący spektakl to jedno, natomiast niemała skuteczność Rosjan w tej eliminacji wołów opancerzonych i czołgów ostatecznie zmusiła Ukraińców, prawdopodobnie na polecenie NATO, do ich oszczędzania, co skutkowało wysyłaniem piechoty bez silniejszego wsparcia na dobrze przygotowane rosyjskie pozycje obronne z tzw. linii Surowikina. Niewiele, w zasadzie zupełnie nic nie pomógł epizod rzekomego puczu wagnerowców, będącego

Topniejące wsparcie dla Ukrainy



Wojciech Golonka

Ukraina nie upadnie, ale w nowej sytuacji musi szybko szukać innego zakończenia wojny niż wygrana

W tym kontekście kontrofensywa ukraińska – jeśli w ogóle miała miejsce, co z kolei kwestionowali z punktu widzenia sztuki wojennej różni generałowie w Polsce, mocno podsycona medialnie jako zapowiedź „gamechangera” tej wojny, mającego na południu przeciąć pas lądowy dostępu Rosjan do Krymu, a nawet doprowadzić do jego odbicia – zrodziła u wielu frustrację wprost proporcjonalną do niezrealizowanych, niebotycznie wywindowanych celów. Z tą różnicą, że jeśli sami Ukraińcy mieli przez te letnie miesiące niestety rzewnie opłakiwać swych bliskich – liczba poległych wzrosła bowiem lawinowo wraz

rzekomym preludium do wybuchu wojny domowej w Federacji Rosyjskiej, choć być może debatowanie przez „ekspertów” w mediach na temat Prigożyna i współników jest mniej żmudnym zadaniem niż pochylenie się nad rozkwitającym rosyjskim przemysłem zbrojeniowym czy ciągłym dostosowywaniem się rosyjskiej armii w ogóle do realiów tej wojny.

Przypominając ten szerszy kontekst niezrealizowanych, choć ochoczo medialnie eksponowanych strategicznych celów ukraińskich, chciałem zaznaczyć, że katalizator przyspieszający znużenie sprawą ukraińską, którym jest wojna



Wypowiedź gen. Walerija Załużnego o przebiegu wojny w wywiadzie dla „The Economist” jeszcze bardziej podkopła wsparcie dla sprawy ukraińskiej FOT. MAXYM MARUSENKO/ NURPHOTO/AFP/EAST NEWS

■ w Palestynie, przyszedł tak naprawdę na gotowe.

WOLA WYBORCÓW

Robert Fico, który w dużej mierze oparł swoją kampanię wyborczą na hasłach antywojennych, wstrzymujących poparcie dla Ukrainy, wraz ze swym zwycięstwem doszłusował Słowację na dotychczas odizolowane pozycje Węgier w sprawie ukraińskiej, a ten nowy powiew w kraju będącym członkiem Grupy Wyszehradzkiej miał miejsce jeszcze przed atakiem Hamasu na izraelskich osadników w pierwszej połowie października i wynikał właśnie z jednego: woli wyborców.

Jeszcze bardziej spektakularny zwrot miał miejsce w sercu koalicji wspierającej Ukrainę, a mianowicie w USA. Po raz pierwszy w historii Stanów Zjednoczonych z początkiem października usunięto przewodniczącego Izby Reprezentantów Kongresu, Kevina McCarthy'ego. Zrobiła to frakcja z jego własnej Partii Republikańskiej, oczywiście przy wsparciu głosów demokratów, z powodu złamania

przez niego wewnątrzpartyjnej umowy, której jednym z głównych elementów była redukcja, by nie powiedzieć zaprzestanie finansowania Ukrainy bez pokrycia, bez uwzględnienia priorytetów bezpieczeństwa wewnętrznego Ameryki. Czuąc miecz Damoklesa nad swą głową, McCarthy wprawdzie dawał w ostatnim czasie wyrazy twardszej postawy wobec kolejnych planowanych pakietów pomocy finansowo-zbrojnej dla Ukrainy, we wrześniu odmówił nawet w szorstkich słowach prezydentowi Zełenskiemu wystąpienia w Kongresie, ale to najwyraźniej nie pomogło.

Co znamienne, jego następca na fotelu spikera Izby Reprezentantów, twardogłowy Mike Johnson, wybrany już po wybuchu wojny palestyńskiej, rozpoczął swe urzędowanie od tego, że oddzielił w głosowaniach pakiety pomocy dla Izraela od pomocy dla Ukrainy. Nie jest tajemnicą, że środowisko żydowskie w USA ma bardzo silny wpływ polityczny, stąd każdy pakiet pomocy dla Izraela zostanie przegłosowany w Kongresie bez większych przeszkód; ruch Johnsona unie-

możliwił zatem przegłosowanie pakietu pomocy dla Ukrainy quasi „z automatu”, a kolejne jego posunięcia okazały, iż Johnson zamierza w tej kwestii prowadzić z demokratami twardą politykę transakcyjną. Zapowiedział bowiem na początku listopada, że pakiet pomocy dla Ukrainy będzie połączony w głosowaniu z finansami wzmacniającymi bezpieczeństwo na południowej granicy USA (co było zresztą wcześniej proponowane przez Białą Dom w jednym wielkim pakiecie, w ramach próby przewyciężenia wysuwanych w Kongresie ograniczeń dla sprawy ukraińskiej), licząc, że w ten sposób osiągnie konsensus w Izbie Reprezentantów.

Jak widać, sprawa ukraińska nie tyle spadła z agendy polityki zagranicznej USA, ile przestała być priorytetem numer jeden. Nowym liderem wśród priorytetów jest bezsprzecznie Izrael i nie zamierza bynajmniej dzielić swej unikatowej pozycji z kimkolwiek.

Otóż podczas gdy przedstawiciele krajów zachodnich odwiedzali w najlepsze zaatakowany przez Hamas Izrael (na wzór niedawnych ich „pielgrzymek” do

Kijowa), próby odwiedzenia tego kraju przez prezydenta Zełenskiego w ramach okazania wsparcia skończyły się stanowczym „nie” premiera Netanjahu, któremu nawet żydowski krajan nie będzie robił konkurencji w plebiscycie światowego poparcia. Netanjahu zresztą ostatnio ochoczo cytuje Stary Testament na okoliczność poparcia izraelskiej polityki i najbardziej radykalnych działań, stąd równie dobrze można by, w kwestii priorytetów, przytoczyć ten werset z Księgi Psalmów: „Jeruzalem, jeśli zapomnę o tobie, niech uschnie moja prawica!”. Werset ten ma rzeczywiście alegoryczne dla polityków znaczenie, przynajmniej na Zachodzie, którzy doskonale zdają sobie sprawę, że ich polityczne być albo nie być zależy m.in. od tego, czy będą dzisiaj pamiętali o Jeruzalem...

Ma się rozumieć, w krajach zachodnich, gdzie mniejszość muzułmańska jest znaczącą siłą uliczną, taka pamięć o Jeruzolimie w dobie wojny w Gazie przybiera postać niezmiernie trudnej kazuistyki. Na przykład Francja wysyła w kierunku Izraela swe siły morskie na wypadek rozlania się konfliktu i potrzeby obrony Izraela, jednocześnie wysyłając statek szpitalny ku wybrzeżom Gazy. Prezydent Macron popiera marsz przeciw antysemityzmowi, w którym biorą udział praktycznie wszystkie siły polityczne kraju, ale jednocześnie w tym marszu nie bierze osobiście udziału, by – jak wskazują komentatorzy – nie rozsierdzać muzułmanów we Francji odbierających działania Izraela w Gazie wręcz jako ludobójstwo ich braci w wierze. W tych jakże pokomplikowanych okolicznościach imperatywu pamięci o Jeruzalem trudno, aby pamięć o Kijowie, pozbawionym jednak w Piśmie nabożnej uwagi psalmisty, pozostała żywa jak dotychczas.

Oczywiście zjawisko to należy właściwie wyważyć: Zachód nie tyle porzucił czy zamierza porzucić Ukrainę, ile będzie próbował dostosowywać się do ogólnej, pozbawionej już oficjalnego optymizmu sytuacji. Na polu bitwy przekazane uzbrojenie, w tym pociski manewrujące, owszem, zadały Rosjanom straty, czasem dotkliwe, ale nie okazały się oczekiwaną wunderwaffe, sama Rosja zaś też potrafi uczyć się na błędach. Po letniej byłej nie byłej kontrofensywie Ukraina okazała się po prostu niezdolna do odniesienia prze-

łomu w terenie, a jej naczelny dowódca gen. Żałunży przyznał nawet w niedawnym wywiadzie dla „The Economist”, że jego strategia wykrwawienia przeciwnika celem zmuszenia go do negocjacji (na ukraińskich warunkach) okazała się w swych założeniach błędna. Trudno o silniejszy argument podkopujący poparcie dla sprawy ukraińskiej, choć zamieszanie wokół tamtejszego MON i jego byłego szefa Ołeksija Reznikowa, rodzące pytania o stałą plagę Ukrainy, korupcję, też sprawie tej nie służy. Ukraina jest, owszem, nadal zdolna do silnej defensywy czyniącej postępy armii rosyjskiej mozołnymi i kosztownymi zarazem, ale ceną tej defensywy, oprócz własnej, rodzimej krwi, jest stała kropłówka z Zachodu; kropłówka wojenna, o której decydujący politycy muszą się liczyć z nastrojami wśród własnych wyborców oraz z pilniejszymi priorytetami.

WAŻNE PYTANIA

Być może nie bez znaczenia dowodowego na poparcie tej tezy jest to, że Prawo i Sprawiedliwość wręcz nachalnie grało podczas kampanii wyborczej w oficjalne droczenie się ze stroną ukraińską, tak jakby dotychczasowe bycie bezkrytycznym sługą narodu ukraińskiego mogło się odbić partii czkawką w sondażach i w urnach. Jeszcze bardziej natomiast wymownym sygnałem była powielona na świecie wiadomość NBC z początku listopada o rozmowach amerykańskich i europejskich oficjeli z Kijowem na temat możliwych warunków negocjacji z Moskwą celem zakończenia lub zamrożenia konfliktu na dobre. Wiadomość ta odbiła się na tyle szerokim echem, że prezydent Zełenski stanowczo zdementował, że ktokolwiek na niego naciska w kwestii negocjacji z Rosją. Ale nawet z tego oficjalnego dementi nie wynika, że nikt z Zachodu, mający w dodatku silny argument w postaci wspomnianej już witalnej kropłówki, z prezydentem Ukrainy na ten temat nie rozmawia.

Prozaicznie rzecz ujmując: zachodni przywódcy stanęli przed pytaniami,

które zachodziły już od dawna, ale które w obecnych warunkach są już coraz bardziej oczywiste, nawet dla laików, a przede wszystkim dla wyborców. A zatem: Jakie są jeszcze szanse dokonania znaczących postępów sił zbrojnych Ukrainy w terenie? Szerzej rzecz ujmując: Jaka jest zasadność finansowania dalszego wysiłku wojennego Ukrainy oraz na jakich warunkach (dla Ukrainy, a także dla Europy i Ameryki) można by tę wojnę zakończyć, by nie powiedzieć: wycofać się z niej?

Prawdą jest, że po wielu miesiącach bitwy medialnej o narrację zwycięstwa, nawet śledząc różne źródła informacji, trudno rzetelnie ocenić obecny potencjał obu stron konfliktu do dalszego prowadzenia wojny. Z pewnością należy unikać skrajności: Ukraina bynajmniej nie zostanie rozbita łaďa moment, jak wróżą niektórzy, ani pozbawiona nagle pomocy ze strony Zachodu. Z kolei Rosja nie jest ani zupełnie odporna na sankcje, ani dotkliwie nadwyřężona militarnie. Owszem, Ukraina mierzy się coraz bardziej z widmem znużenia, a nawet możliwego zakwestionowania racjonalności sensu poniesionych dotychczas ofiar (pytanie o opłacalność poniesionej ceny), co wpływa również na intensywność i samą wolę zachodniego poparcia dla jej polityki i strategii. Przede wszystkim kraje zachodnie mają świadomość, że nie pozostałyby obojętne w przypadku wojny izraelsko-arabskiej, a także że Rosja i Chiny też takowe by nie pozostały.

W tej pokomplikowanej sytuacji geopolitycznej, zahaczającej jeszcze o południową Azję, gdzie USA najbardziej rywalizują z Chinami, potrzeba wyważyć na nowo znaczenie więcej rozbieżnych interesów graczy o cięższej wadze niż sama Ukraina. Nie twierdząc, że ta zupełnie przestała się liczyć, ale biorąc pod uwagę wszystkie te elementy, z pewnością przestała ważyć tyle samo w procesie decyzyjności zachodnich gabinetów, stojących przed niebłahymi obecnie wyzwaniem.

© Wszelkie prawa zastrzeżone



Umowa pełna



Łukasz Warzecha

Czytelnik umowy koalicyjnej Koalicji Obywatelskiej, Nowej Lewicy i Trzeciej Drogi po lekturze nie czuje się wiele mądrzejszy niż przed nią. Właściwie można się dziwić, dlaczego uzgodnienie tego dokumentu zajęło aż tyle czasu, skoro jest w nim tak niewiele konkretów

Ogólnikowość umowy sporo mówi o relacjach pomiędzy koalicjantami. Każda umowa, która jest ogólnikowa, sygnalizuje, że wyjątkowo trudno było uzgodnić coś konkretniejszego oraz że umawiające się strony dają sobie świadomie pole do autorskich interpretacji w przyszłości, co oczywiście może skutkować sporami, a nawet karczemnymi awanturami.

Co np. kryje się pod stwierdzeniem: „Polskie bezpieczeństwo oprzemy na trzech filarach: odbudowie wspólnoty narodowej, umocnieniu pozycji w Unii

Europejskiej i sojuszu północnoatlantycznym oraz wzmocnionej armii – sprawnie dowodzonej i wyposażonej w nowoczesny sprzęt”? Już to jedno zdanie, w kluczowej przecież sprawie zapewnienia Polsce bezpieczeństwa, pokazuje ułomności układu, który wkrótce będzie sprawował władzę.

Najpierw mamy tu postulat „odbudowy wspólnoty narodowej”, który jednak okazuje się – nietrudno to było przewidzieć – pustostowiem. W czym ma się to objawiać? Jakie konkretne gesty nowa koalicja wykonała pod adresem zwolen-

ników innej wizji Polski? Na razie poznaliśmy jeden konkret: Konfederacja miała nie dostać stanowiska wicemarszałka Sejmu. Ostatecznie doszło do porozumienia w tej sprawie i Krzysztof Bosak będzie szóstym (lub piątym, jeśli PiS nie będzie miał swojego) wicemarszałkiem. Nie jest to jednak dobry prognostyk, gdy idzie o odbudowywanie dobrych obyczajów i „wspólnoty”.

FRAZESY BEZ TREŚCI

„Umacnianie pozycji” w UE i NATO to frazesy bez treści, do których nawet nie warto przywiązywać wagi. Płynięcie w głównym nurcie UE już mieliśmy i ani trochę nie wzmacniało to naszego stanowiska w problematycznych i konfliktowych kwestiach.

Sprawa wyposażenia armii to jednak pierwszorzędny konkret. Odchodzący rząd podjął bardzo wiele decyzji zakupowych, w ogóle nie licząc się z ich kosztem ani nie wyjaśniając, jak zamierza je sfinansować. Nie wszystkie –



Podpisanie umowy koalicyjnej. Od lewej: Szymon Hołownia, Władysław Kosiniak-Kamysz, Donald Tusk, Włodzimierz Czarzasty, Robert Biedroń FOT. PIOTR MOŁĘCKI/EAST NEWS

pobożnych życzeń

jeżeli wierzyć ekspertom – były trafione, a wobec rozbrojenia polskiej armii na rzecz Ukrainy część była gorączkowym łataniem ubytków. Co z tym wszystkim? Czy nowa władza zamierza przeprowadzić jakąś kwerendę zakupów? Jaki ma pomysł na ich finansowanie? Czy będzie chciała niektóre zamówienia anulować? Które? Tego nie dowiedzieliśmy się w trakcie kampanii ani nie dowiadujemy się tego z umowy koalicyjnej. Gdy zaś idzie o rewizję stanowiska w sprawach istotnych, umowa nie wspomina również ani słowem o największym infrastrukturalnym projekcie, który zapoczątkował rząd Zjednoczonej Prawicy – o CPK.

Obietnica jest w umowie koalicyjnej może trochę mniej niż składano w kampanii. Ba, niektóre wręcz zniknęły. Jest np. mowa o „zwiększeniu dostępności mieszkań”, ale ani słowa o tym, w jaki sposób ma to być zrobione. No i próżno szukać wzmianki o „kredycie zero procent”, jednym z najgłośniejszych pomysłów Donalda Tuska z czasów kampanii,

krytykowanym akurat słusznie przez partię Razem. Powie ktoś, że umowa koalicyjna to nie program rządu. Zgoda, ale jednocześnie mamy w niej inne punkty na podobnym poziomie szczegółowości. Dlaczego zatem nie ma akurat tego?

Wiele miejsca poświęcono „przywracaniu praworządności”, lecz znów bez żadnych konkretnów. A to obszar, który i tak jest już skrajnie rozchwiany, wśród pomysłów zaś, które pojawiały się w obozie sprzyjającym stronie wkrótce rządzącej, były i tak radykalne, jak projekt ustawy przygotowany przez Stowarzyszenie Sędziów „Iustitia”.

„Sądy będą wolne od nacisków politycznych, prokuratura będzie niezależna i apolityczna. Zapewnimy legalność funkcjonowania wymiaru sprawiedliwości i sądownictwa konstytucyjnego. Dołożymy wszelkich starań, aby przywrócić konstytucyjny i apolityczny kształt Krajowej Rady Sądownictwa i Sądu Najwyższego” – czytamy. Jak? Nie wiadomo. W dodatku w przypadku prokuratury re-

alizacja obietnicy jest niemożliwa dopóty, dopóki głową państwa pozostaje Andrzej Duda. Z wystąpienia pana prezydenta podczas inauguracji Sejmu X kadencji można było jasno wyczytać zapowiedź wetowania każdego bardziej znaczącego aktu prawnego, godzącego w – jak to określił Andrzej Duda – dorobek ostatnich ośmiu lat. Zatem żadnej reformy prokuratury do 2025 r. nie będzie, chyba że uwzględniony zostanie interes prezydenta. Co natomiast będzie się działo w sprawie Sądu Najwyższego czy Krajowej Rady Sądownictwa i po jakie środki sięgnie nowa koalicja – nie wiadomo. PiS podczas swoich rządów legitymizował takie wybiegi prawne, że można spokojnie założyć, iż nowa władza pójdzie tym śladem. Pomysł, aby anulować wybór części sędziów Trybunału Konstytucyjnego za pomocą sejmowej uchwały, wcale nie wydaje się nierealny. A byłoby to już pójście na mocny rympał.

Coś takiego jest jednak możliwe, skoro w najbardziej kontrowersyjnej

■ ideowo kwestii – sprawie dostępu do aborcji – umowa zapowiada „unieważnienie” wyroku TK. Jak owo „unieważnienie” miałyby wyglądać, nikt nie wie. Jedno jest pewne: nie da się tego zrobić w ramach obowiązującego porządku prawnego.

PUNKTY IDEOLOGICZNE

Najbardziej niepokojące są w umowie koalicyjnej te punkty, w których najsilniej przebijają ideologiczny wymiar nowej władzy. W punkcie 7 czytamy zatem: „Walka z mową i czynami z nienawiści będzie naszym priorytetem. Znowelizujemy kodeks karny tak, aby mowa nienawiści ze względu na orientację seksualną i płeć była ścigana z urzędu”. Oczywiście nowelizacja Kodeksu karnego w tym względzie nie będzie możliwa bez obalenia weta prezydenta (przypominam: 276 głosów przy pełnym składzie Sejmu, podczas gdy trzy sprzymierzone kluby mają 248 miejsc), jednak sam fakt takiej zapowiedzi jest niepokojący, bo oznaczałoby to stworzenie efektu mrożącego i faktyczne wprowadzenie ideologicznej cenzury. A przecież polskie prawo zawiera już teraz wystarczające zapisy chroniące mniejszości czy dobra osobiste. Nie ma tam jednak – i słusznie – kategorii „mowy nienawiści”. Zadziwia, że na tak brzmiały zapis zgodziło się PSL mające jednak dość konserwatywny elektorat.

Podobnie ideologicznie rozpoczyna się punkt 8 umowy, przy czym tutaj sprawa jest może nawet poważniejsza, gdyż mowa jest o energetyce i klimacie, a więc o tym, co dla przeciętnego Polaka ma duże konsekwencje finansowe. „Przyspieszający kryzys klimatyczny jest niezaprzeczalnym faktem, podobnie jak to, iż to działania człowieka są jego główną przyczyną. Będziemy zgodnie współpracować na rzecz przeciwdziałania zmianom klimatycznym oraz ograniczenia ich wpływu na życie mieszkańców Polski” – głosi umowa. Pierwsze zdanie jest zwykłym kłamstwem. Fakt to coś bezpośrednio stwierdzonego ponad wszelką wątpliwość. Czymś takim nie jest kryzys klimatyczny, a już z całą pewnością nie jest faktem twierdzenie, że za zmiany klimatu odpowiada głównie człowiek. To jedynie bardzo chwiejna hipoteza, nawet nie teoria. A jednak na takim fałszywym stwierdzeniu koalicja

W umowie nie znajdziemy ani słowa o tym, jak rząd zamierza działać w sprawie polityk klimatycznych UE

zamierza opierać swoją politykę energetyczną i klimatyczną.

Lektura tego punktu umowy sprawia, że brwi unoszą się coraz wyżej. Mamy tu dużo pustosłowia – o przyspieszeniu „zielonej transformacji energetycznej”, o „czystej i taniej energii” oraz o „uwolnieniu potencjału ładowej energetyki wiatrowej, fotowoltaiki, biogazowni”. Problem w tym, że nie znajdziemy ani słowa o tym, jak nowy rząd zamierza działać w sprawie druzgocących dla Polski unijnych polityk klimatycznych, z których wiele zacznie wchodzić w życie w ciągu najbliższych czterech, pięciu lat. Nie ma więc mowy ani o systemie ETS2, który narzuci obciążenia na cały transport oraz na budownictwo; nie ma mowy o dyrektywie EPBD, która nałoży na właścicieli nieruchomości gigantyczne obciążenia, związane z koniecznością modernizacji budynków do zeroemisyjnego standardu; nie dowiadujemy się, co z zobowiązaniami wynikającymi z KPO, takimi jak podatek od samochodów spalinowych. Tematów nie ma. Nie istnieją.

Przeczytamy natomiast, że „zapewnimy niskie ceny energii gospodarstwom domowym i firmom w oparciu o mechanizmy zdrowej konkurencji oraz jasne zasady działania rynku”. To kompletny nonsens. Żadna konkurencja nie zapewni ludziom niskich cen na ściśle regulowanym rynku, który w dodatku obciążony jest całkowicie nierynkowym balastem w postaci uprawnień do emisji CO₂.

MNIEJ SŁUŻB I KORZYŚĆ DLA PRZEDSIĘBIORCÓW

Gwoli sprawiedliwości trzeba jednak dostrzec, że w umowie znalazło się także kilka dobrych punktów – o ile zostaną zrealizowane. Jest zatem zapowiedź zmniejszenia liczby służb, które mają ustawowe uprawnienia do inwigilowania obywateli. Gdyby faktycznie pojawiły się takie projekty, decyzją pana prezydenta nie musi być już oczywista. Przecież

mnijšie możliwości inwigilacyjne dla służb, kierowanych przez nową władzę, powinny być mu na rękę. Jest także zapowiedź, że osoby inwigilowane będą miały prawo do informacji o tym (oczywiście po upływie odpowiednio długiego czasu). To postulat od dawna stawiany m.in. przez Fundację Panoptykon.

Jest również kilka zapowiedzi korzystnych dla przedsiębiorców, ale już nie tak, jak w obietnicach składanych w kampanii. Weźmy choćby odwrót od dziewięcioprocentowej składki zdrowotnej, czyli niszczącego dla przedsiębiorców rozwiązania z Polskiego Ładu. W trakcie kampanii Donald Tusk zapowiadał powrót do ryczałtowego rozliczania tejże, ale w umowie przeczytamy już tylko o wprowadzeniu „korzystnych i czytelnych zasad naliczania składki zdrowotnej”. Bez żadnych konkretów. Wciąż jednak mamy zapowiedź kasowego PIT dla przedsiębiorców czy wprowadzenie półrocznego vacatio legis dla zmian w prawie podatkowym – aczkolwiek to i tak za mało. Nie pojawia się zapowiedź niepodwyższania podatków.

Czy powinniśmy potraktować umowę koalicyjną poważnie czy uznać ją za teatr bez znaczenia? Wiele zawartych tam zapowiedzi to albo pobożne życzenia, albo plany niemożliwe do wykonania z powodu prezydenckiego weta. Ważniejsze są jednak inne wątki. Po pierwsze, to, co zapisano, ale mimo wagi problemów bardzo ogólnie. Te miejsca pokazują, gdzie pomiędzy koalicjantami nie ma zgody albo pomysłu, na razie bądź w ogóle, jak do sprawy podejść. To dotyczy np. zakupów dla polskiej armii albo relacji państwo – Kościół, której poświęcono jedno standardowo brzmiące zdanie (rozdział Kościoła od państwa i jego „neutralność”). Po drugie, to, czego w ogóle nie zapisano. To albo miejsca, gdzie nie udało się osiągnąć nawet najbardziej ramowego kompromisu, albo te – co bardziej prawdopodobne – które stanowią dla nowej koalicji problem tak potężny, że będzie próbowała go przemilczeć. To np. kwestie polityki klimatycznej UE albo sprawa jej federalizacji. Te kwestie jednak nie znikną ani same się nie rozwiążą. Dla nowej opozycji mogą zaś być szansą, ale to już temat na zupełnie inną opowieść.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

DORZECZY TYGODNIK LIŚCICKIEGO



VISTA MIKOŁAJKI

MARINA & RESORT

Zainwestuj Zarabiaj

Wypoczywaj na Mazurach



już od

363 000 zł *netto*

A P A R T A M E N T 2 - P O K O J O W Y



Luksusowy resort
nad brzegiem jeziora
Mikołajskiego



Bogata infrastruktura:
marina, boiska,
restauracje

ZAPYTAJ
BEZPOŚREDNIO



eprasa.pl 280906106d

70%

przychodu
dla właściciela
apartamentu



Nieograniczony
pobyt
właścicielski

VISTAMIKOŁAJKI.PL

+48 222 645 287



FOT. JACEK DOMINIUK/REPORTER

Gra w polaryzowanego



Rafał A. Ziemkiewicz

PO i PiS znów zaczęły walkę i ta polaryzacja będzie im sprzyjać. Straci Hołownia, który podąża drogą Petru

Jeśli ktoś liczył, że zmiana u władzy otworzy drogę do obiecanego przez Tuska „pojednania”, a przynajmniej jakiegoś wyciszenia, uspokojenia czy ucywilizowania wścieklej plemiennych wojen – a sondaże zdają się wskazywać, że takie nadzieje ożywiały kilka milionów wyborców Trzeciej Drogi i Konfederacji – to już pierwsze posiedzenie Sejmu musiało go otrzeźwić. Pokazało ono, że nowy-stary premier Donald Tusk inspirowany jest raczej stalinowską formułą „im bliżej pełnego zwycięstwa, tym bardziej walka klas musi się zaostrzać”. I nie chodzi tu wcale, jak to weszło w potoczne myślenie komentato-

rów i zaangażowanych partyjnych kibiców, o rozliczenia i zemstę. Rozliczenia i zemsta to tylko narzędzia do osiągnięcia ważniejszego politycznego celu: odbudowania hegemonii Tuska w obozie lewicowo-liberalnym, a wobec jego obecnej pozycji – w kraju. Fakt, że Tusk musiał się cofnąć z drogi, którą podążał niemal do ostatniej chwili przed wyborami, zrezygnować z „jednej listy”, z wzięcia Hołowni pod pręgę i zwasalizowania PSL, że zrozumiał, iż władzę może odzyskać, tylko jeśli pogodzi się z dzieleniem jej z koalicjantami, nie oznacza wcale, że czuje się w tej sytuacji komfortowo.

PODZIELIĆ POLSKĘ

Z innych powodów – konieczności utrzymania jedności w partii i powstrzymania personalnych rozliczeń po przegranej – interes Tuska zbiega się w tej kwestii z interesem Kaczyńskiego. Obaj panowie nadal dążą do ponownego podzielenia Polski pomiędzy siebie, każdy w nadziei, że jego kawałek ostatecznie okaże się większy.

Najbardziej wyraźnym tego przejawem było zablokowanie przez zwycięską koalicję wstępu przedstawicieli PiS do prezydium Sejmu i Senatu. W tym pierwszym wypadku, wyznaczając na swoją kandydatkę Elżbietę Witek, lider partii mającej największy klub poselski obecnej kadencji doskonale zdawał sobie sprawę, że ze względów prestiżowych jest to dla PO najtrudniejsza chyba do przyjęcia kandydatura, i celowo poszedł „na udry”; na wszelki wypadek, gdyby prowokacja okazała się niewystarczająca, PiS głosował przeciwko wszystkim kandydatom koalicji. Było to zupełnie niepotrzebne – fakt, że koalicja identycznie jak w Sejmie postąpiła w Senacie, choć Markowi Pękowi doprawdy trudno cokolwiek zarzucić i nikt zresztą nawet nie mu zarzucać nie próbował, dowodzi, że akcja upokorzenia PiS zablokowaniem mu dostępu do prezydium była już wcześniej postanowiona.

PiS oczywiście ma rację, twierdząc, że nikt nie ma prawa narzucać mu, kogo deleguje do prezydium – i obstając przy odrzuconej kandydaturze, za cenę całko-

witego odcięcia od kierowania pracami parlamentu. Taka reakcja została z całą pewnością przez Tuska przewidziana i jest częścią planu, którego realizacja jest obustronnie korzystna: PiS zyskuje cementujący żelazny elektorat nimb męczeństwa i prześladowania, tanim kosztem, bo w prezydiach przedstawicieli PiS i tak miałby tyle do powiedzenia, co np. niepisowscy członkowie Rady Mediów Narodowych – a PO sprawia radość swoim najwierniejszym frustratom, złaknionym po ośmiu latach klęsk odgrywania się na znienawidzonym PiS.

Dodatkowym zyskiem dla PiS jest zyskanie dowodu, że składane przez przeciwników obietnice „szanowania prawa” nie miały pokrycia, a dla PO – że cała sprawa ośmieszyła jego koalicjanta, „rotacyjnego marszałka” Hołownię.

A przecież jeśli – jak powszechnie się uważa – liczy on na prezydenturę w roku 2025, to miał właśnie fantastyczną okazję, by korzystnie spozycjonować się na nowym scenie politycznej. Wystarczyło nakazać swojej partii, by zagłosowała za Witek – a potem zbudować narrację „nie odpowiada nam ta pani, obawiamy się, że współpraca może być trudna, ale uważamy, że dobry obyczaj wymaga, aby w prezydium Sejmu reprezentowane były wszystkie kluby, wymaga też, aby partie nie narzucały sobie nawzajem, kto ma je reprezentować. Chcemy przywrócić dobre obyczaje w Sejmie oraz w polityce i głosując w tej sprawie inaczej niż PO i Lewica, udowodniliśmy, że mówiąc to, marszałek Hołownia nie rzucił słów na wiatr”. Dla symetrii można było dodać tu jeszcze coś w duchu, że również PiS kultywuje złe obyczaje, bo też przecież chciał „wyciąć” z prezydium kandydatów koalicji, ale zobaczcie – my jesteśmy ponad to, jesteśmy trzecią drogą nie tylko z nazwy.

Sądząc po wyborczym exit poll i częściowych danych socjologicznych (jest jednak bardziej niż prawdopodobne, że znajdą one potwierdzenie), byłoby to tym właśnie, czego oczekują wyborcy, którzy nie chcą trzeciej kadencji PiS, nie chcieli też poprzeć agresywnych, obiecujących zemstę KO i Lewicy. Zresztą gdyby ktoś w okolicy Hołowni skłonił go do głębszej refleksji nad jego prezydenckimi ambicjami, jej oczywistym skutkiem musiałoby być stwierdzenie, że szansą „rotacyjnego marszałka” może być tylko przekonanie

elektoratu, że reprezentuje jakiś nowy styl, odmienny od narzuconego plemienną wojną PiS z PO radykalizmu, że chce „łączyć, a nie dzielić”, „pojednać Polaków” i temu podobne. Krótko mówiąc, musi wykorzystać dany czas, by jakoś odróżnić się od Tuska i PO, a nie potwierdzać podejrzenie, że jest dla nich tylko „przystawką”.

Wykorzystanie sprawy do budowania takiego wizerunku byłoby dla Donalda Tuska niebezpieczne, ale skoro podjął ryzyko, to najwyraźniej miał powody zakładać, że Hołownia zachowa się tak, jak zachował się w istocie – to znaczy po dumnej deklamacji o „przywracaniu demokratycznego ładu i dobrego obyczaju” przyłączy się do Tuska w operacji będącej zaprzeczeniem jednego i drugiego, wychodząc ochotczo na... powiedzmy, polityka mało poważnego.

Dla PiS jeszcze jedną, drobną korzyścią z tej chry jest, że wybór do prezydium głosami PiS i Trzeciej Drogi Krzysztofa Bosaka, choć oczywisty i niemający w sobie nic nagannego, w kontekście Witek i Pęka pozwolił uruchomić falę oskarżeń wobec Konfederacji, że „sprzedała się” i zdradziła, a przedwyborcze opowieści o „przewracaniu stolika” okazały się tyle samo warte, co opowieści PO o „przywracaniu praworządności”. Oskarżenia te musiały Konfederację zaskoczyć i zabołec, skoro następnego dnia Krzysztof Bosak poczuł się zmuszony opublikować obszernie oświadczenie wyjaśniające sprawę.

KRS NAGLE JEST

Głosowanie nad prezydiami Sejmu i Senatu było symboliczne, ale nie było to symbol jedyny. Do KRS wydelegował Tusk dwoje swoich posłów: Kamilę Gasiuk-Pihowicz, która bodaj najgłośniej przez lata krzyczała, że żadnej KRS w ogóle nie ma, że jest tylko niekonstytucyjna grupa uzurpatorów (co wszystko zostało natychmiast przypomniane), oraz Roberta Kropiwnickiego. Pierwsza nominacja wydaje się elementem rozgrywki wewnątrz KO nienależącej do omawianej tu sprawy, ale druga jak najbardziej rymuje się z zablokowaniem Witek i Pęka. Robert Kropiwnicki to przecież ten poseł, który w 2015 r. rozpoczął całą „inbę” z Trybunałem Konstytucyjnym, wnosząc, żeby Wysoka Izba, w obliczu przegranych przez PO wyborów, wybrała w ostatnich dniach

nie tylko tych trzech sędziów TK, których miała prawo wybrać, lecz także, całkowicie bezprawnie, dwóch następnych, których powinien wybrać następny, już „pisowski” Sejm. Kropiwnicki zapewne sam tego nie wymyślił, ale był twarzą tej założycielskiej, politycznej chamowy, której skutki ciągną się za Polską od ośmiu lat, i uczynienie teraz „stróżem prawości” właśnie jego, to dobitna zapowiedź, jakim kursem zamierza iść nowa władza. Spodziewajmy się kolejnych, symbolicznie prowokacyjnych nominacji, spodziewajmy się przejmowania „na rympał” mediów, NBP, Trybunału Konstytucyjnego, zmieniania konstytucji uchwałami zarządu klubu etc.

Dla PiS, a zwłaszcza dla samego Kaczyńskiego, wchodzącego teraz w rolę „opozycji totalnej”, to dobry scenariusz, niosący oczywiście nieuchronnie bolesne straty, ale dający nadzieję na w miarę szybkie odwrócenie politycznej karuzeli i w przyszłości moralne prawo do jeszcze dalej idącej zemsty na „partii niemieckiej”. Dla Trzeciej Drogi natomiast to zapowiedź rychłego zgniecenia pomiedzy pracami do „krwawej rozprawy” (na razie, na szczęście, w sensie przenośnym) Tuskiem i Kaczyńskim.

PSL będzie w stanie takie zgniecenie przeżyć – przywykł do funkcjonowania jako swoista delegatura PO na prowincji, jego interesy nie są dramatycznie sprzeczne z interesami partii Tuska dopóty, dopóki UE nie postawi na ostrzu noża „wygaszania” polskiego rolnictwa – ale i to przetrwa, bo rolnicy od dawna stanowią już tylko małą i stale malejącą część jej elektoratu, obecnie tworzą go głównie małe miasteczka czy raczej ta część ich mieszkańców, która chce się czuć, jakby mieszkała w dużych miastach.

Natomiast Hołownia jest w identycznej sytuacji jak Petru w 2015 r., kiedy ten, nie odważając się przeciwstawić budowanej przez PO polaryzacji, dał się włączyć do „opozycji totalnej” i w jej ramach sprowadzić do roli junior partnera, ze znanym wszystkim skutkiem. Hołownia powtarza jego drogę. Ale zaopatrzony w magiczne lustreczko, które – jak można wnosić z jego zachowania – codziennie powtarza mu: „Tyś jest najpiękniejszy na świecie, a co najmniej na polskiej scenie politycznej”, nie potrafi tego zauważyć.

Czy PiS może istnieć bez Kaczyńskiego



FOT. JAN GRACZYŃSKI / EAST NEWS



Piotr Semka

Jarosław Kaczyński nie może rządzić partią w nieskończoność. System jego jednoosobowego przywództwa już wykazywał wiele słabości w drugiej kadencji rządów. Pewne oznaki gotowości Kaczyńskiego do uczynienia z Mateusza Morawieckiego następcy tronu skończyły się jednak wraz z przegraną wyborczą. Co dalej?

Niegdyśiejszy gigant wreszcie w roli przegranego. Politycy opozycji i ich medialni sojusznicy rozsmakowują się w nowej sytuacji. Marszałek Sejmu Szymon Hołownia pokazuje Jarosławowi Kaczyńskiemu, gdzie jego miejsce, nie dopuszczając go na sali sejmowej do głosu. Inna posłanka Polski 2050 Paulina Hennig-Kloska szyderczo mówi: „Prezes PiS przymykał oczy podczas wystąpienia prezydenta i premiera w Sejmie. Zarejestrowały to kamery [...]. Jeśli prezes jest zmęczony, to czas przejść na emeryturę”. Paweł Wroński na łamach „Gazety Wyborczej” pisze: „Symbolem wyborów 15 października stała się fotografia zagubionego Jarosława Kaczyńskiego, któremu w komisji wyborczej na Żoliborzu obywatele pokazywali koniec kolejki”.

Jeszcze efektowniej przychodzi politykom opozycji ujawnianie rzekomych sensacji z okolic Nowogrodzkiej. „Kaczyński jest rozczarowany i wściekły, gdyż został oszukany przez swoich własnych ludzi” – głosi Michał Kamiński z PSL. Szykujący się do przejęcia władzy obóz i sprzyjające mu media rysują prezesowi PiS wizję przypominającą niemiecki film „Upadek” pokazujący ostatnie godziny w bunkrze wodza III Rzeszy. Scenariusz, na który mają nadzieję politycy Platformy, Trzeciej Drogi i Lewicy, to powolny rozpad PiS, walka o władzę po Wielkim Jarosławie i wreszcie trwałe zniknięcie PiS ze sceny politycznej.

Co więcej, rysowane są już nadzieje na powstanie rozsądnej prawicy, która

nie będzie ulegać żadnym „szaleństwom”. Adam Traczyk, jeden z analityków think tanków Lewicy, snuje rozważania, czy nowym liderem po prawie stronie nie mógłby być Krzysztof Bosak, który wykażał się realizmem w czasie sporu o skład prezydium Sejmu. Marcin Kędzierski, były szef Klubu Jagiellońskiego, komplementuje polityka Konfederacji, że jest głęboko wierzącym katolikiem. O tym, jak łatwo zasłużyć na komplementy ze strony „Gazety Wyborczej”, przekonał się Marcin Mastalerek, który gdy tylko wspomniał o wystąpieniu Kaczyńskiego na polityczną emeryturę, natychmiast został wytypowany przez Dominikę Wielowiejską z „Gazety Wyborczej” na kandydata na przyszłego przywódcę prawej strony. Cała ta wrzawa pokazuje, jak wrogowie największej partii prawicy nie mogą się doczekać, by podzielić skórę na PiS-owskim niedźwiedziu.

KOLEJNY RAZ W DEFENSYWIE

Który to już raz Jarosław Kaczyński znalazł się w sytuacji, gdy wielu obwieszcza jego definitywny koniec? O tym, jak bardzo cieszył się wcześniej wręcz zabobonnym respektem u swoich wrogów, świadczą tytuły w niechętnych PiS mediach typu: „Przyzwyczajaliśmy się, że Kaczyński zawsze miał w zanadrzu jakiś plan. A jeśli tym razem nie ma już żadnego planu?”. Kaczyński wydawał się skończony w 1993 r., kiedy to wskutek konkurencji z Ruchem Odbudowy Polski Jana Olszewskiego, Porozumienie Centrum, pierwsza partia Kaczyńskiego, nie dostało się do Sejmu. Potem wydawał się skończony, gdy odwrócił się od niego blok Akcji Wyborczej Solidarność w latach 1997–2001. W 2007 r., gdy Donald Tusk także wygrał, przechwalając się, że głosowali na niego młodzi ludzie stojący w wielogodzinnych kolejkach, Ryszard Kalisz wzywał wszystkie partie, by zjednoczyły się we froncie sanitarnym mającym pilnować, by PiS już nigdy nie wrócił do władzy. Porażka w wyborach prezydenckich 2010 r. także miała być już ostatecznym końcem „człowieka, który skłóca Polaków”.

A jednak Kaczyński potrafił się podnieść. Teraz postawił na hasło obrony niepodległości Polski przed zmianami w traktatach unijnych. Wokół tego zagrożenia zbudował swoje wystąpienie

11 listopada w Krakowie. Natychmiast posypały się na niego gromy z dwóch stron. Wśród części publicystów prawicowych ogłoszono, że jest to zamykanie się w żelaznym elektoracie i pogrzebanie szans na wyjście w kierunku elektoratu centrowego. Z kolei politycy Platformy wrócili do swojej starej śpiewki, że demiurg z Nowogrodzkiej znów odśladania oblicze zwolennika polexitu. Czy jednak można się dziwić, że Kaczyński po przegranej chce odbudować zwartość obozu wokół wyrazistego tożsamościowego hasła?

Na razie ostrzeżenia lidera PiS przed tym, co oznaczać mogą zmiany w traktacie dla suwerenności Polski, brzmią dla większości Polaków dosyć abstrakcyjnie. Na taką reakcję Polaków liczy też przyszła koalicja rządowa, która sugeruje, że wszelki sprzeciw wobec zmian traktatowych to wyłącznie pieniactwo. Jeśli jednak za jakiś czas nad Wisłą obywatele odczują, co znaczy narzucanie np. paktu migracyjnego, to wtedy Kaczyński może odebrać polityczną premię za wczesne poruszenie tematu i bicie na alarm. Pamięamy przecież, że ostrzeżenia Lecha Kaczyńskiego przed imperializmem Putina spotykały się ok. 2008 r. ze wzruszeniem ramion polityków Platformy.

ATAK PLATFORMY OGRANICZA DEBATĘ W PiS

Na razie w PiS nie rozkręciła się na zbyt dużą skalę dyskusja wokół porażki. Półgębkiem ogłoszono dymisję sekretarza generalnego partii Krzysztofa Sobolewskiego, ale to jedyna głowa, która poleciała w partyjnej strukturze. Premier Morawiecki skrytykował naruszenie kompromisu aborcyjnego, a także specjalnie nie rozwijał tematu. Tylko Jan Krzysztof Ardanowski, były minister rolnictwa, delikatnie zasugerował potrzebę nowej epoki w przywództwie partii. Ale szybko amok odwetu, który widać z wypowiedzi polityków opozycji, skłonił partię do ponownego zwierania szeregów. Milcząco uznano, że wszczynanie wewnętrznych polemik osłabi i tak znajdującą się w bardzo trudnej sytuacji partię.

I wreszcie efektywne pójście Krzysztofa Bosaka i konfederatów na polityczny deal z Donaldem Tuskiem osłabiło ostrość ataków uderzających w to, że PiS nie poszukał od połowy drugiej kadencji dróg do przyszłej koalicji

z Konfederacją lub PSL. Konfederacja pokazała bardzo wyraźnie, że jest partią nastawioną na rolę politycznych pieczętniarzy, którzy gotowi są dogadywać się po cichu z rozdającym karty Tuskiem. A PSL dla odmiany nie przestaje przedstawiać się jako lojalny koalicjant Platformy Obywatelskiej. W tej sytuacji umizgi przegranego PiS wobec czy to konfederatów, czy to Władysława Kosiniaka-Kamysza narażałyby partię oddającą właśnie władzę na spektakularne upokorzenie.

Problem ten dotyczy także innych tożsamościowych partii w Europie. Muszą one zdobywać władzę samodzielnie, bo ewentualni koalicjanci bardzo często nie są w stanie znieść zewnętrznej presji.

Tak było w wypadku Węgier, gdzie nawet, wydawałoby się, o wiele bardziej wysuniętą na prawo ideowo partia Jobbik – pod wpływem presji zewnętrznej – zerwała sojusz z Viktorom Orbánem i doczekała się wsparcia ze strony Zachodu.

W wypadku Włoch premier Giorgia Meloni właśnie wskutek braku samodzielnej większości dla swojej partii Bracia Włosi i konieczności tworzenia koalicji bardzo ograniczyła radykalizm swoich reform. Przykładowo nie była w stanie doprowadzić do żadnych zmian w wymiarze sędownictwa i parę miesięcy temu pojedynczy wyrok sądu w Katanii zdemolował jej próby niewpuszczania do włoskich portów statków organizacji pozarządowych przywołujących uchodźców.

I wreszcie doświadczenia hiszpańskiej partii tożsamościowej VOX z o wiele bardziej mainstreamową partią ludową są bardzo niedobre. Partido Popular jest w o wiele większym stopniu wyczulona na krytyki medialne liberalnych mediów i VOX ma ciągle problemy z takim „zastrachanym” partnerem.

Wszystkie te doświadczenia w ciągu ostatnich 30 lat skłaniały Kaczyńskiego do unikania koalicji i premiowania u podległych mu polityków zdolności do wytrzymywania presji. Wynoszenie na piedestał takich cech zrozumiałe jest tylko w świetle doświadczeń PiS. Dla obserwatorów z zewnątrz wygląda jak dziwactwo. Ale to właśnie dlatego, gdy premier Beata Szydło wytrzymała perswazje ze strony szefów rządów innych państw na szczycie unijnym w sprawie nominacji dla Donalda Tuska na szefa

Rady Europejskiej, została powitana na lotnisku w Warszawie przez delegację PiS z ogromnym kosztem czerwonych róż.

PIS NIE UCIEKNIJE OD ZMIAN

Wszystko to nie zmienia tego, że Kaczyński partią rządzić w nieskończoność nie może. System jego jednoosobowego przywództwa już wykazywał wiele słabości w drugiej kadencji rządów. Na dodatek pewne oznaki gotowości Kaczyńskiego do uczynienia z Mateusza Morawieckiego następcy tronu skończyły się wraz z przegraną wyborczą. Morawiecki mieścił się jeszcze w formule skutecznego szefa rządu, choć i tak miał na koncie dwie spore wpadki. Niefortunny eksperyment z polskim ładem i nieudaną próbę dogadania się z Brukselą w sprawie KPO. Teraz jego atuty czarodzieja, który potrafił wynajdywać pieniądze potrzebne dla działania rządu, w warunkach opozycji przestają działać.

Fakt, że szefem klubu Kaczyński uczynił Mariusza Błaszczaka, pomijając byłego premiera, też pokazuje, że pozycja Morawieckiego nie jest już taka jednoznaczna. Ale jednocześnie, jeśli przyjmiemy, że Kaczyński w perspektywie roku będzie musiał zmierzyć się z pytaniem o następstwo, pozycja premiera jest ciągle mocna. Są tacy, którzy wieszczą, że Morawiecki może nauczyć się gry w kooperacji z prezydentem Andrzejem Dudą.

Podstawowe pytanie brzmi, co Kaczyński miał na myśli, wypowiadając się w niedawnym wywiadzie dla Polskiej Agencji Prasowej: „Moja kadencja jako prezesa PiS upływa w roku 2024 jeszcze przed wyborami prezydenckimi”. Oznacza to, że prezes będzie chciał kierować partią przynajmniej do końca przyszłego roku. Pytany o ewentualnego następcę Kaczyński odpowiedział tak: „Musi być to ktoś młodszy ode mnie o pokolenie. Sprawdzony w ogniu i lodowatej wodzie. U nas tacy są”. Zwraca uwagę użycie liczby mnogiej. Nie wyjaśnia to, czy Kaczyński zdecyduje się na wskazanie swojego następcy, czy też będzie nadzorował wyłonienie się jakiejś grupy liderów, którą zobowiąże do nauczania się wzajemnego poszanowania i kooperacji. Problem w tym, że taki proces powolnego oddawania władzy odbywać się będzie w partii, która od 23 lat nie знаła innego modelu niż model jedynowładztwa.

Ale to niejeden kłopot. Drugi to cała kasta polityków przyzwyczajonych do

operowania w sytuacji dominacji Jarosława Kaczyńskiego. To tzw. zakon PC, który bynajmniej nie ma ochoty na szybkie przejście w stan politycznej emerytury. Czy można sobie wyobrazić Marka Suskiego, który byłby lojalnym podwładnym kogoś o 20 lat młodszego? Specyficzny model PiS wynikał z sytuacji wieloletniego nacisku politycznego i medialnego na tę partię. Teraz sytuacja nacisku wcale nie osłabnie, a nawet wzmożni się presja. Cały chór medialny będzie wynosił pod niebiosa każdego rozłamowca i każdego wewnątrzpartyjnego krytyka. A w takiej atmosferze przeprowadzenie partii od modelu hegemonii Kaczyńskiego do jakiegś kooperacji grupy nowych liderów będzie niezwykle trudne.

Jedynym czynnikiem, który może pośrednio wpływać na płynność takiej transformacji, może być nacisk ze strony elektoratu PiS. Prawie cała opinia publiczna bywała zaskakująco odporna na wiele prób wykreowywania nowej, lepszej prawicy, czy to w postaci Jarosława Gowina, czy Kazimierza Ujazdowskiego, czy Pawła Zalewskiego. To, jak bardzo politycy skonfliktowani z Kaczyńskim przechodzili do roli etatowych antykaczyistów wyzających się na piersi Moniki Olejnik, było doskonale zauważane przez prawicową część opinii publicznej. Również grad potępień wobec Konfederacji za paktowanie z Tuskiem pokazuje, że tego typu koniunkturalizm polityczny niespecjalnie się opłaca.

PiS przyrównywany bywa do hazardzisty, który stawia wszystko na jeden numer, licząc na wielką wygraną, ale otrzymuje za to premię w postaci wysokiej mobilizacji po prawej stronie. Ta mobilizacja czasami się udaje, a czasami nie, ale to dzięki niej otrzymuje wyniki liczone na ok. 7 mln głosów, a Konfederacja potrafi być ukarana przez wyborców słabymi wynikami. Lider PiS bywa porównywany do gracza, który obstawia w politycznej ruletce tylko główną wygraną, potrafiąc na nią czekać niekiedy bardzo długo. Ale chce zdobywać władzę sam, a nie w drodze żmudnych negocjacji z koalicjantami. Powoduje to, że ma w polityce znacznie trudniej niż inni, ale też potrafi zdobywać znacznie większą liczbę głosów niż inne pojedyncze partie. Taki już PiS jest i dopiero, gdy ktoś na prawicy wymyśli jakąś inną formułę, ulegnie to zmianie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Cyfrowa Bukowina z Dariah.lab

W poprzednim numerze „Do Rzeczy” przedstawiliśmy projekt DARIAH-PL, dzięki któremu 16 polskich instytucji naukowych może pogłębiać i udostępniać wiedzę o rodzimej kulturze, języku czy sztuce w tempie i w stopniu dotąd nieosiągalnym dla badaczy.

Jednym z kluczowych celów projektu jest zachowanie polskiego dziedzictwa kulturowego poprzez jego cyfryzację. Dotyczy to elementów materialnych, takich jak dokumenty, zabytki czy stroje, oraz tych niematerialnych, jak kultura, taniec, muzyka i język. Nowa infrastruktura badawcza zwana Dariah.lab, czyli przede wszystkim nowoczesny sprzęt komputerowy i audiowizualny oraz specjalne oprogramowanie, umożliwia naukowcom rejestrację i szerokie udostępnienie wszystkich tych elementów.

Fascynującym przykładem rodzimego dziedzictwa kulturowego niedostępnego na co dzień mieszkańcom naszego kraju jest kultura Polaków żyjących na Bukowinie Karpackiej – na pograniczu Rumunii i Ukrainy. Polacy zaczęli osiedlać się tam już w XIV w., a szczyt osadnictwa przypadł na pierwsze dekady XIX w. Przesiedlały się całe rodziny rolnicze oraz górnicze. Pieczęć pielęgnowały one bogatą kulturę wiejską, która przetrwała, przyjmując pewne wpływy kultury rumuńskiej. Przed drugą wojną światową na rumuńskiej Bukowinie żyło aż 80 tys. Polaków. Obecnie liczba ta nieznacznie przekracza 2 tys.

Niszczącą kulturę materialną oraz zanikający folklor i tradycje, kultywowane głównie przez najstarsze pokolenie tej społeczności, postanowili uwiecznić badacze z Instytutu Sławyistyki PAN. We współpracy z Centrum Kompetencji Cyfrowych Uniwersytetu Warszawskiego mogli oni skorzystać z mobilnego laboratorium digitalizacyjnego, które powstało w ramach projektu DARIAH-PL. Zawiera ono m.in. kamery, aparaty fotograficzne, skanery i drony. Laboratorium pojechało na pierwszą wyprawę dokumentacyjną we wrześniu 2023 r. Naukowcy powrócili z sześcioma terabajtami materiałów zarejestrowanych w trzech polskich miejscowościach: Nowy Solec, Pojana Mikuli i Plesza.



Obzęd łupaczki
w Nowym Solecu

Dokumentowano bieżące wydarzenia religijne, tradycyjne pieśni i stroje – w tym zwyczajowe sposoby wiązania chust nadal praktykowane przez seniorki – oraz przygotowanie domowych specjalności kulinarnych. Szczególnie spektakularny był tradycyjny kobiecy obrzęd łupaczki, czyli żniw kukurydzy (na zdjęciu). Dużo uwagi badacze poświęcili nagraniu wideo, by uchwycić jak najwięcej z opowieści mieszkańców, zwyczajów i działań artystycznych. Wykonali także dokumentację lokalnej architektury i obiektów zabytkowych z ziemi i z powietrza, aby odwzorować je w przestrzeni wirtualnej. Z wykorzystaniem kamer dookólnych rejestrowali topografię miejscowości i tradycyjne przestrzenie domów i gospodarstw. Drony sfilmowały z powietrza cały obszar tych malowniczych terenów. Poza tym

naukowcy prowadzili tradycyjną digitalizację archiwalnych dokumentów i fotografii. Zgromadzone materiały zostaną udostępnione na powstającej platformie internetowej, która będzie stanowić skarbnicę wiedzy o polskim dziedzictwie kulturowym na Bukowinie i w Naddniestrzu

#Cyfrowa Bukowina to pierwsza część projektu naukowego „Świadełstwo zanikającego dziedzictwa. Encyklopedia wiedzy o Polakach na Bukowinie Karpackiej oraz w Naddniestrzu” przewidzianego na lata 2023–2028.

Projekt „Cyfrowa infrastruktura badawcza dla humanistyki i nauk o sztuce DARIAH-PL” uzyskał 99,8 mln zł dofinansowania UE z Programu Operacyjnego Inteligentny Rozwój w konkursie ogłoszonym przez Ośrodek Przetwarzania Informacji – Państwowy Instytut Badawczy.



Koalicja Antyeuropejska



Paweł Chmielewski

Pod pewnymi względami to Zjednoczona Prawica próbowała budować państwo na wzór zachodniej Europy, jakkolwiek różnie można te próby oceniać. Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Lewica chcą unijne wzorce naśladować głównie albo wręcz wyłącznie tam, gdzie chodzi o oczywiste zło

Przez ostatnie osiem lat Zjednoczona Prawica była nieustannie oskarżana o dążenie do wyprowadzenia Polski z Unii Europejskiej. Zarzuty były w większości całkowicie bezpodstawne, jednak silnie działały na emocje przeciwników rządów ZP. Nic więc dziwnego, że Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Lewica szły do tegorocznych wyborów m.in. pod hasłem „przywrócenia” Rzeczypospolitej na łono Europy.

Problem w tym, że nie ma to wiele wspólnego z rzeczywistością, bo wymienione formacje stawiają wiele postulatów, które są całkowicie sprzeczne z normami przyjętymi w większości unijnych państw. Dotyczy to zarówno kwestii socjalnych, jak i relacji między państwem a Kościołem. Wielu wyborców niedawnej opozycji nie zdawało sobie pewnie sprawy, że głosując 15 października „za Unią”, głosowali na rozwiązania prawne w Unii zupełnie obce.

W DUCHU UE

Spójrzmy choćby na sztandarowy program socjalny Prawa i Sprawiedliwości, czyli „Rodzinę 500+”. Abstrahuję w tym momencie od oceny tego programu; wiele środowisk konserwatywnych krytykuje go jako nadmiernie socjalistyczny i postu-

luje jego likwidację przy jednoczesnym obniżaniu podatków. Jednak Koalicja Obywatelska oraz Trzecia Droga krytykowały „500+” głównie z innych pozycji, mówiąc o „rozdawnictwie” czy zgoda o „wspieraniu patologii”.

Tymczasem regularne i bezwarunkowe transfery finansowe dla rodzin, powiązane z liczbą dzieci, są w Unii Europejskiej typowe. Analogiczny program funkcjonuje np. w tak bliskiej Platformie Obywatelskiej Republice Federalnej Niemiec. W ramach świadczenia Kindergeld każde dziecko w Niemczech otrzymuje co miesiąc określoną kwotę; od 1 stycznia tego roku jest to konkretnie 250 euro. Zasiłek nie jest zależny od dochodów rodziców (sprawdza się jedynie, czy w danym przypadku nie byłoby z perspektywy rodziny korzystniej zastosować ulgę podatkową na dzieci). Wymiar programu jest szerszy niż w Polsce nie tylko ze względu na kwotę, lecz także czas obowiązywania. Niemieckie dzieci otrzymują Kindergeld zasadniczo do 18. roku życia, z dwoma wyjątkami: jeżeli po osiągnięciu dojrzałości są bezrobotne, to dostają pieniądze jeszcze przez trzy lata, a jeżeli dalej się uczą – to nawet przez kolejnych siedem.

Na temat Kindergeld nie toczy się w Niemczech żadna szersza debata; świadczenie jest przedmiotem politycznego konsensusu i nikt nie uważa, że wspiera „patologię”. Można byłoby uznać to za przejaw specyfiki rozbudowanego niemieckiego systemu socjalnego, gdyby nie to, że podobne świadczenia rodzinne funkcjonują też m.in. w Austrii, Holandii, Szwecji, Irlandii, we Francji oraz na Litwie. Program „Rodzina 500+” jest w istocie typowo unijny, a zatem postulaty jego zniesienia są w jawny sposób niezgodne z duchem polityki społecznej współczesnej Europy.

Podobnie typowo europejski charakter ma zakaz handlu w niedzielę czy też – w pozytywnym ujęciu – prawo do niedzielnego odpoczynku. Nawet laicka Francja od 1906 r. rozpoznaje właśnie niedzielę jako dzień wolny od pracy, nie tylko dla handlowców. Zamknięcie sklepów w siódmym dniu tygodnia jest standardem w sumie w większości krajów UE, z Niemcami czy Austrią na czele; często nie ma przy tym żadnych wyjątków, inaczej niż w Polsce, gdzie na każdym rogu otwarte są mniejsze sklepy kreatywnie „obchodzące” zakaz handlu. Co więcej, w wielu regionach krajów unijnych funkcjonują szczegółowe rozwiązania dotyczące czasu pracy sklepów w tygodniu, tak że markety są zarówno otwierane później niż w Polsce, jak i wcześniej zamykane. Takie ustawodawstwo nie jest przedmiotem kontrowersji, bo powszechnie rozumie się, że prawo do jednego dnia wolnego, który pracownik może spędzić razem z rodziną, to elementarz. Stąd próbę znoszenia zakazu handlu w niedzielę postulowaną zwłaszcza przez Koalicję Obywatelską



FOT. XXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXXX

„przywilejów” miałby być np. Fundusz Kościelny, który Lewica i KO chcą likwidować. Problem w tym, że fundusz nie jest fanaberią jakichś uległych księżom elit politycznych III RP, ale w sumie dość nieudolną próbą wynagrodzenia za gigantyczną grabież kościelnego majątku dokonaną po drugiej wojnie światowej. Szacuje się, że odebrane ziemie, których Kościół do dziś nie odzyskał, byłyby warte blisko 4 mld zł. Analogiczne reparacje za grabież nie są zresztą polską specyfiką; również w Niemczech Kościół otrzymuje od landów pieniądze za dobra odebrane mu w XIX w.

Także inne formy finansowego wspierania Kościoła są w Unii Europejskiej zupełnie normalne. W Niemczech to państwo zbiera w imieniu Kościoła Kirchensteuer, specjalny podatek stanowiący 1/10 część dochodów kościelnych. We Włoszech funkcjonuje specjalny odpis podatkowy (tzw. otto per mille), konstruowany tak, że skutecznie ok. 80 proc. obywateli wspiera właśnie Kościół. W Belgii i Czechach duchowni są traktowani jak urzędnicy i otrzymują od państwa pensje. Stąd postulaty radykalnego zerwania finansowych więzi między państwem a Kościołem – niezależnie od naszej oceny ich słuszności bądź nie – są przejawem naśladowania nie norm unijnych, ale radykalnego antyklerykalizmu, właściwego nie Europie jako takiej, ale wyłącznie skrajnemu modelowi rewolucyjnej Francji.

NAŚLADOWANIE ZŁA

Skrajnie niezachodnie są wreszcie pomysły dotyczące likwidacji klauzuli sumienia. Lewica chciała ją w ogóle znieść, Koalicja Obywatelska – ograniczyć. Rzecz w tym, że klauzula sumienia jest próbą europejskiej odpowiedzi na doświadczenia totalitaryzmów XX w. Nazistowski zbrodniarz, tłumacząc się z popełnianych mordów, mógł po drugiej wojnie przekonywać, że wewnętrznie nie zgadzał się z tym, co robił, ale wykonywał rozkazy; dlatego nie były to jakoby nawet jego własne czyny, ale raczej działania państwa dokonywane poprzez niego, spowodzonego do roli bezwolnego narzędzia. To koncepcja z gruntu nie niechrześcijańska, ile w ogóle niezachodnia, odrzucająca pojęcie osoby wyrastające z greckiej filozofii i prawa rzymskiego.

KO nie chciała klauzuli likwidować, ale postulowała skuteczne zobowiązanie

kierownictwa szpitala do wskazania, który lekarz lub która placówka wykonają aborcję. Oznaczałoby to współuczestnictwo w obiektywnie niegodziwym akcie: nawet jeżeli rozpoznaje się tu prawo lekarza do skorzystania z wolności sumienia, to władzom szpitala już się je odbiera, tak jakby nie składały się z ludzi, ale biernych instrumentów bezosobowego „porządku” państwowego. Klauzula sumienia jest powszechnie uznawana w krajach unijnych także dlatego, że ma ugruntowanie w orzecznictwie Europejskiego Trybunału Praw Człowieka.

To samo można powiedzieć o ochronie tzw. uczuć religijnych, która nie podoba się zarówno Lewicy, jak i KO. W 2021 r. Adam Szłapka i Krzysztof Mieszkowski z Nowoczesnej – w imieniu całej KO – zaprezentowali projekt przewidujący zniesienie kar za obrażenie uczuć religijnych; Mieszkowski odgrażał się, że Polska nie będzie już „przybudówką Kościoła katolickiego”. Projekt miał rzekomo wyrażać troskę o swobodę artystów – tak jakby idea sztuki domagała się możliwości nawet najwulgarniejszego obrażania Boga.

Przeciwnicy obecnych regulacji znowu ujawnili się jednak jako nieeuropejczy, bo również ochrona uczuć religijnych jest postulowana przez ETPC oraz realizowana w krajach Unii Europejskiej, w Niemczech, Austrii, we Włoszech, w Hiszpanii... Przewidziane kary bywają nawet wyższe niż polskie – do dwóch lat pozbawienia wolności (Niemcy przewidują trzy). Nawet lewicowcy w zachodniej Europie rozumieją, że ochrona uczuć religijnych obejmuje nie tylko znienawidzonych przez rewolucję katolików, lecz także prawosławnych, protestantów, żydów, muzułmanów.

W sumie pod pewnymi względami to właśnie Zjednoczona Prawica próbowała budować państwo na wzór zachodniej Europy, jakkolwiek różnie można te próby oceniać. Koalicja Obywatelska, Trzecia Droga i Lewica chcą unijne wzorce naśladować głównie albo wręcz wyłącznie tam, gdzie chodzi o oczywiste zło, jak w przypadku aborcji czy związków homoseksualnych. Rozsądnik kulturowego barbarzyństwa – to jedyna idea Europy, którą zdają się mieć rzekomo tak proeuropejskie ugrupowania.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest dziennikarzem i publicystą portalu PCh24.pl.

i Trzecią Drogę można ponownie określić mianem całkowicie nieeuropejskiej.

„Antyunijny” charakter ma też pomysł ponownego ułożenia relacji między państwem a Kościołem, postulowany w radykalnym tonie przez Lewicę, a w wielu szczegółowych kwestiach również przez inne partie „paktu senackiego”. Dotyczy to np. kwestii „wyprowadzenia religii ze szkół”. Oczywiście ten pomysł można w dzisiejszych warunkach oceniać pozytywnie nawet z perspektywy integralnie katolickiej: gdyby w Polsce po 1989 r. nauka religii odbywała się poza szkołami, to prawdopodobnie dysponowalibyśmy dziś dobrze rozwiniętym systemem prywatnej katolickiej edukacji. Jeszcze dzisiaj usunięcie religii ze szkół mogłoby być katalizatorem rozwoju takiego szkolnictwa. Niemniej jednak partie, które chcą Polskę „europeizować”, nie powinny zgłaszać takiego postulatu – bo nauczanie religii w szkołach to unijna norma. Z wyjątkiem Francji religii naucza się w państwowych placówkach praktycznie wszędzie. Jako że w polskich warunkach pomysły usuwania lekcji religii ze szkół nie są motywowane dobrem Kościoła, ale raczej chęcią przeprowadzenia głębszej „separacji” państwa od katolicyzmu, mamy w istocie do czynienia z motywacją zupełnie nieliczącą z zachodnioeuropejskimi wzorcami współpracy państwa ze związkami wyznaniowymi.

W gruncie rzeczy nie ma w tym nic dziwnego, bo Lewica i częściowo Koalicja Obywatelska proponują zastąpienie dotychczasowego „przyjaznego” rozdziału Kościoła od państwa – rozdziałem wrogim, co polityk PO Sławomir Nitras określił w 2021 r. hasłem „opiłowywania katolików z przywilejów”. Jednym z takich

RYSZARD GROMADZKI: Wśród zwolenników prawicy nie brakuje opinii, że do gorszych od oczekiwań wyników wyborczych PiS i Konfederacji przyczynili się pan i pańska partia, odbierając im cenne głosy. W efekcie tej dywersji władzę przejęła lewicowo-liberalna opozycja. Jak pan odpowie na takie zarzuty?

RAFAŁ PIECH: Powiedzmy sobie szczerze, w wypadku PiS nie możemy mówić o prawdziwej prawicy. To po pierwsze. Po drugie, w trakcie swoich spotkań przedwyborczych, w których regularnie uczestniczyło po kilkaset osób, wielokrotnie ludzie mówili mi, że gdyby nie powstała Polska Jest Jedna, nie poszliby na wybory. Przekonywanie, że gdyby tych 350 tys. głosów, które oddano w ostatnich wyborach na PJJ, zostało zagospodarowanych przez PiS czy Konfederację, co z kolei wydatnie poprawiłoby ich sytuację w nowym Sejmie, jest według mnie przejawem pychy i krótkowzroczności. Uważam, że nie ma takiej możliwości, żeby zdecydowana większość naszych wyborców zagłosowała na PiS czy Konfederację. Ci, którzy oddali na nas głos, są w pełni świadomi, czym są te partie i kim są kierujący nimi ludzie. Wiem jedno, wyborcy PJJ świadomie nie zagłosowali i raczej już nie zagłosują na te partie, które mienia się jako prawicowe.

Czy przed wyborami ze strony PiS lub Konfederacji były próby przeciągnięcia pana partii na ich stronę?

Nie, nie było żadnej tego rodzaju oferty czy propozycji – czy to ze strony Konfederacji, czy z PiS. Nigdy nie prowadziłem takich rozmów. Zresztą nie wyobrażałem sobie startu z listy Konfederacji. Wiele osób mówi mi: „Przecież mógł pan wystartować z listy Konfederacji, miałby pan jedynekę i zostałby posłem”. Tłumaczę ludziom, że tu nie chodzi o to, żeby mieć stanowisko czy żeby być posłem. Kompletnie mi na tym nie zależy. Tu chodzi o Polskę, chodzi o to, żeby zbudować taką siłę w Polsce, która będzie przeciwstawiała się tej złej, niebezpiecznej dla nas globalnej narracji. To jest prawdziwy cel.

Co dalej? Wynik, który uzyskała Polska Jest Jedna, budzi szacunek, jeśli wziąć pod uwagę warunki, w jakich pana partia prowadziła kampanię, niemal całkowity brak obecności PJJ w mediach.



Z Rafałem Piechem, liderem partii Polska Jest Jedna rozmawia Ryszard Gromadzki

Tu chodzi o Polskę



FOT. MICHAŁ ZEBROWSKI/EAST NEWS

Czy mimo sceptycyzmu wobec PiS jest pan gotowy włączyć się do konfederacji sił patriotycznych, której powołanie zapowiedział podczas obchodów Święta Niepodległości Jarosław Kaczyński?

Eksperci, z którymi rozmawiam, są zdumieni, że partia zarejestrowana zaledwie pół roku przed wyborami zdołała zbudować taki poziom organizacji, ogólnokrajową strukturę i przełożyć to na poparcie kilkuset tysięcy ludzi w wybo-

rach. Przypomnę o zawirowaniach wokół listy nr 8, gdzie PKW informowała, żeby nie głosować na ostatnią listę, bo będzie to głos nieważny, a przecież w 60 proc. komisji na tej ostatniej liście była Polska Jest Jedna. Te nieczyste zagrania mogły odebrać nam część głosów, które być może zostałyby oddane na PJJ.

Co do oferty pana prezesa Kaczyńskiego dotyczącej konsolidowania prawej strony

sceny politycznej, oceniam, że pseudoprawa, którą pan Kaczyński reprezentuje, w ciągu kilku najbliższych miesięcy zacznie się sypać. Myślę, że to będzie ten czas, w którym w Polsce otworzy się przestrzeń dla prawdziwej prawicy. PJJ może stać się istotną siłą na prawej stronie polskiej sceny politycznej. Autentyczną siłą, nie żadną „przypinką” jakiejś innej partii. Naszą autentyczność najlepiej potwierdza to, że do końca kampanii byliśmy blokowani w ogromnej większości mediów. Z badań, którymi dysponujemy, wynika, że o PJJ wie tylko 13 proc. Polaków. Cały czas musimy przebijać się do świadomości społecznej.

Czyli Polska Jest Jedna nie jest kolejnym wynalazkiem służb specjalnych mających zatruć polską rzeczywistość polityczną, bo i takich spekulacji nie brakuje...

Gdyby stały za nami służby, to byliśmy przed wyborami we wszystkich mediach, m.in. w TVN, Polsacie czy TVP, bo te głosy byłyby potrzebne, żeby stworzyć jakąś koalicję. Ale – jak widać – wygląda to zupełnie inaczej. Jesteśmy dalej blokowani zarówno w mediach mainstreamowych, jak i tych społeczno-ściowych. Algorytmy są tak poustawiane, żeby minimalizować nasze zasięgi. Jeśli chodzi o nasze najbliższe polityczne cele, to naturalnie zamierzamy się skupić na przyszłorocznych wyborach samorządowych, będziemy chcieli jako PJJ wystartować do sejmików wojewódzkich.

Pięknie rozwijają się nasze struktury w poszczególnych regionach, zaczyna się z nami kontaktować coraz więcej środowisk prawicowych. Chcą włączyć się w nasze działania, żebyśmy wspólnie budowali naszą pozycję w samorządach, a także przyszłość PJJ. Tych ruchów, organizacji, działaczy wokół nas jest bardzo dużo. W październikowych wyborach zarejestrowaliśmy listy w 39 okręgach, co pozwoliło nam wystawić listę krajową. To był test naszej skuteczności. W oczach wielu środowisk prawicowych, które nie utożsamiają się z partiami obecnymi w Sejmie, postawiło nas to w pozycji naturalnego lidera, wokół którego – mam nadzieję – w perspektywie najbliższych kilkunastu miesięcy skupiać się będą ludzie poszukujący autentycznej prawicowej oferty.

Nawiążę do pana diagnozy, według której czas „starej prawicy” uosabianej przez PiS się kończy.

Przed ostatnimi wyborami Konfederacja zapowiadała, że wywróci stół, przy którym kształtuje się polską politykę od czasu paktu w Magdalence. Jednak ten stół stoi nadal na swoim miejscu. Duopol PiS-PO też wciąż się trzyma. Czy widzi pan w PJJ potencjał na zasadnicze przewartościowanie sceny politycznej? Czy nadchodzi czas dla nowej, autentycznej prawicy?

Myślę, że ten potencjał jest i jest on ogromny. Pewne zmiany muszą się w Polsce dokonać, żeby ludzie przetrzeli na oczy. Dziś ludzie widzą przede wszystkim ów duopol, o którym pan wspominał. Reszta nie ma znaczenia – albo PO, albo PiS. Ludzie nie dostrzegają, że w istocie to tylko różnica między mniejszym a większym złem. Platforma mówi wprost: „Tak, popieramy aborcję”, przyznając tym samym, że opowiada się za absolutnym złem, którym jest zabijanie dzieci w łonach matek. A PiS w tej sprawie przybiera owczą skórę, mówiąc: „To my jesteśmy ci dobrzy”, w rzeczywistości będąc wilkiem. To cała różnica. W wypadku PO przynajmniej wiadomo, z kim się ma do czynienia, że ma się obok siebie wroga. PiS tymczasem jawi się jako partia dbająca o polskie interesy, a przecież gołym okiem widać, w jakim stopniu w czasie ośmiu lat ich rządów zostały zniszczone polska gospodarka, górnictwo, energetyka. I po tym wszystkim prezes PiS mówi o jakiejś konsolidacji sił patriotycznych, przestrzega przed zmianą unijnych traktatów. A co oni zrobili w trakcie swoich rządów, żeby te godzące w polską suwerenność zmiany zachodzące w Unii zatrzymać? Nic. Rząd PiS wszystko przyklepywał. Przerażają mnie ich zakłamanie i obłuda.

Ale przecież zdecydowana większość wyborców dała w wyborach mandat siłom, dla których polska suwerenność nie jest wcale nadrzędnym dobrem. Jak obudzić sumienia Polaków? Oto jest pytanie.

Myślę, że ten trudny czas, który jest przed nami, obudzi wiele osób. Dobrobyt usypia. Kryzys, który nas czeka, będzie mocno odczuwalny i dopiero wtedy wielu ludziom powinny otworzyć się oczy na rzeczywistość. Bańka, w której żyjemy, pęknie z hukiem. Król jest nagi. Sytuacja gospodarcza Polski jest katastrofalna. Nie jesteśmy w stanie funkcjonować jako państwo bez kredytów. Sytuacja finansów publicznych jest dramatyczna. Kryzys, który jest nieuchronny, obnaży

wielu ludziom, na czyich usługach są Platforma czy PiS. Komu rzeczywiście służą polscy politycy. Decyzje, które oni wykonują, zapadają gdzie indziej i nie są one podejmowane w interesie Polski i Polaków.

Apeluje pan do polityków, żeby potrafili stanąć w prawdzie. A czy pan jest gotowy do tego, żeby bezwarunkowo stanąć w prawdzie? Na przykład w sprawie majątku osobistego?

To już się stało w czasie kampanii wyborczej. Wielu próbowało wyciągać brudy na mój temat, ale – jak się okazało – nie bardzo mieli co wyciągać. Od dziewięciu lat publikuję moje oświadczenie majątkowe. Zarzucano mi obecność w radach nadzorczych.

Ten zarzut kierowany był też wobec pana żony...

Żona zasiadała w przeszłości w jednej radzie nadzorczej. Od dłuższego czasu nie wchodzi w skład żadnej rady. To manipulacja wrzucona w przestrzeń publiczną. Wszystkie działania, które podejmuję jako prezydent Siemianowic Śląskich czy przewodniczący partii Polska Jest Jedna, są w pełni transparentne i publikowane na stronach urzędu miasta i w „Biuletynie Informacji Publicznej”. Nie mam nic do ukrycia. Stoję w prawdzie. Wszystko, co robię, jest zgodne z literą prawa. W każdym momencie jestem gotowy do otwartej debaty na argumenty z oponentami z lewej czy prawej strony na temat stanu polskiej gospodarki, przedsiębiorczości, tego, co się stało z polskim kapitałem. Ale nie widzę chętnych do takiej debaty.

Mówiąc o celach politycznych PJJ, wskazał pan na przyszłoroczne wybory samorządowe. Jednak na horyzoncie są też wybory prezydenckie. Rozważa pan start w wyścigu prezydenckim? Być może pański przekaz mógłby trafić do wyborców rozczarowanych tradycyjną prawicą.

Często słyszę to pytanie na spotkaniach Polska Jest Jedna. To wielki zaszczyt, że ludzie widzą mnie w takiej roli. Myślę, że przemawia do nich autentyczność mojego działania. Zawsze staram się stawać w prawdzie. Na dziś trudno mi składać takie deklaracje. Powtarzam często, że pójdę tam, gdzie Pan Bóg mnie poprowadzi.



Łukasz Zboralski

Zaczynał od kariery w samorządzie, by trafić do wielkiej polityki. Teraz Włodzimierz Karpiński, przebywający w tymczasowym areszcie w związku z tzw. aferą śmieciową w stolicy, został europosem i wychodzi na wolność

O Włodzimierz Karpińskim zrobiło się głośno po wyborach. Bo po powyborczym przetasowaniu okazało się, że powinien objąć mandat europosła. W wyborach do polskiego parlamentu mandat zdobył bowiem obecny europarlamentarzysta Koalicji Obywatelskiej – Krzysztof Hetman. Ktoś więc za niego musi przejąć mandat w Brukseli. Pierwsza na liście za nim z 2019 r. była Joanna Mucha. Tak się jednak składa, że i ona obecnie została posłanką Sejmu X kadencji. Trzeci z kolei na liście do mandatu europoselskiego był Riad Haidar. Ten jednak zmarł w maju tego roku. A kolejnym kandydatem do objęcia posady jest właśnie Karpiński.

Zgodnie z prawem marszałek Sejmu – na podstawie informacji z Państwowej Komisji Wyborczej – musi zawiadomić kolejnego kandydata z listy wyborczej do PE, że może zająć miejsce osoby, której mandat wygaś. Takie pismo do Karpińskiego zostało wysłane w ubiegłym tygodniu. Przyznał to nowy marszałek Sejmu Szymon Hołownia. – Podpisałem dokumenty informujące trzy osoby [oprócz Hetmana do polskiego parlamentu dostali się też europosłowie Zbigniew Kuźmiuk z PiS oraz Bartosz Arłukowicz z KO – przyp. red.] o pierwszeństwie przysługującym im w objęciu mandatu europarlamentarnego – powiedział Hołownia. I od razu dodał: – To jest normalna czynność urzędowa organu państwowego, to nie jest żadna polityka. Po prostu to trzeba zrobić.

Dlaczego Hołownia tak się zastrzegął? Bo tak się akurat składało, że Włodzimierz Karpiński (pozwala mediom na publikację pełnych danych) przebywał w areszcie tymczasowym jako podej-

rzany w gigantycznej aferze korupcyjnej dotyczącej zleceń na wywóz śmieci w Warszawie. Jak tam trafił?

BARON Z PUŁAW

Pochodzący z Puław 62-letni dziś Włodzimierz Karpiński dorosłe życie zaczynał jako migrant zarobkowy. Ukończył studia chemiczne na Politechnice Warszawskiej i w latach 90. wyjechał do pracy w Wielkiej Brytanii. Po powrocie za zarobione pieniądze założył i prowadził własną firmę. Niedługo jednak, bo już w 1994 r., wkroczył w politykę. Został wiceprezydentem rodzinnego miasta. I był nim przez osiem lat.

Szybko związał się też z Platformą Obywatelską. Od jej powstania – w 2001 r. – był jej członkiem. Przez

Karpiński wśród swoich autorytetów jednym tchem wymieniał Reagana, Thatcher i Donalda Tuska

następnych kilka lat był miejskim radnym, ale wkroczył też w poważny biznes – został członkiem zarządu Zakładów Azotowych „Puławy” SA. Do tej pory w życiorysie chwali się, że za jego kadencji przedsiębiorstwo zadebiutowało na giełdzie.

Karpiński dobrze wiedział, gdzie lokować polityczne uczucia. Wśród autorytetów jednym tchem wymieniał Reagana, Thatcher i... Donalda Tuska. Budował lokalne struktury PO na Lubelszczyźnie.

Wszedł też do zarządu krajowego Platformy, a w 2005 r. uzyskał mandat poselski.

W 2011 r. Karpiński został sekretarzem stanu w MSWiA, a potem dostał takie samo stanowisko w nowo utworzonym resorcie administracji i cyfryzacji. Jego pozycja rosła. Dwa lata później został mianowany ministrem skarbu. Wtedy przejął też władzę nad lubelską Platformą.

Ciemne chmury zebrały się nad nim dość szybko. Przywiłała je afery taśmowa – wyciek nagrań rozmów polityków rządu PO-PSL, które ujawniono w mediach w 2014 r. Karpiński wprowadził na taśmach nie powiedział nic złego, ale jednym z głośniejszych podsłuchów, które ujawniono, stała się jego rozmowa z ówczesnym prezesem PKN Orlen Jackiem Krawcem. To podczas tej wymiany zdań Krawiec powiedział: „Ch.. tam z Polską Wschodnią”.

W połowie 2015 r. ówczesna premier Ewa Kopacz zdymisjonowała kilka osób w związku z aferą. Stanowiska stracili wówczas minister zdrowia Bartosz Arłukowicz, minister sportu i turystyki Andrzej Biernat oraz właśnie Karpiński.

Na taśmach jego głos wrócił jeszcze w 2017 r., gdy TVP Info ujawniła kolejną porcję podsłuchów. „Cayenne Krakchemia mu kupiła..., ja mu kupiłem służbowe... od tamtego czasu jeździ porsche... i przyszedł do mnie i mówi tak: »Spełniłem swoje dziecięce marzenia... jeżdżę porsche... zawsze mówię... marzyłem jak dziecko, żeby se porsche jeździć» – mówił na nagraniu Karpiński o Andrzeju Zdebskim, prezesie spółki Krakchemia.

Po rządowej przygodzie – a w resorcie skarbu Karpiński zacieśnił znajomość z Rafałem Baniakiem czy Zdzisławem



Z aresztu do



Włodzimierz Karpiński
został zatrzymany jako
podejrzany w śledztwie
korupcyjnym
w lutym tego roku
FOT. ZBIGNIEW MEISSNER/PAP

Brukseli

Gawlikiem – odnalazł się w stolicy. W 2020 r. został prezesem Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania. Rok później w MPO członkiem zarządu został Gawlik (w tegorocznych wyborach zdobył mandat poselski), a Karpiński przeskończył do urzędu miasta, do Rafała Trzaskowskiego. Został sekretarzem miasta. Trzaskowski w komunikacie chwalił wówczas nowego urzędnika i podkreślał, że ten zostanie jednym z jego „najbliższych współpracowników”.

AFERA I ZATRZYMANIA

W lutym tego roku nadciągnęły już nie ciemne chmury, a prawdziwa burza. CBA w śledztwie dotyczącym przestępstw korupcyjnych zatrzymało 10 osób.

Prokuratorzy ustalili bowiem, że od sierpnia 2020 do stycznia 2023 r. wręczano korzyści majątkowe w związku z kontraktami na zagospodarowanie śmieci w stolicy. „Przedstawiciele jednej z grup kapitałowych zainteresowanych uczestnictwem w przetwarzaniu odpadów weszli w porozumienie z Rafałem B. W wyniku ustaleń o charakterze korupcyjnym zainteresowane spółki grupy kapitałowej uzyskały znaczące zamówienia z MPO w Warszawie. Następnie w latach 2021–2022 spółki te zagospodarowały odpady z Miasta Stołecznego Warszawy, uzyskując w MPO Warszawa zamówienia na łączną kwotę prawie 600 mln zł” – informowała Prokuratura Krajowa.

W sprawie zatrzymano 10 osób, w tym członków zarządu FBSerwis, a także kolegów z dawnego ministerstwa – Rafała Baniaka i Włodzimierza Karpińskiego. Temu ostatniemu śledczy przedstawili zarzuty przyjęcia blisko

5 mln zł łapówek. Miał w porozumieniu z innymi, w tym z Baniakiem, żądać od przedsiębiorcy m.in. 2,5 proc. wartości zamówień publicznych uzyskiwanych od Miejskiego Przedsiębiorstwa Oczyszczania w Warszawie w zamian za zmianę specyfikacji istotnych warunków zamówień publicznych.

Radio Zet twierdzi, że prokuratura nie ma bardzo mocnych dowodów, bo najpoważniejszym mają być zeznania znajomej dentystki Baniaka. Kobieta została małym świadkiem koronnym. Jednak sędziowie zgadzali się na areszt tymczasowy dla obu i jego przedłużanie. „Dotychczas sądy różnych instancji, przedłużając okres tymczasowego aresztowania Włodzimierza K., pozytywnie weryfikowały zgromadzony przez prokuraturę materiał dowodowy, za każdym razem uznając, że zachodzi duże prawdopodobieństwo popełnienia przez podejrzanego zarzucanego mu przestępstwa korupcyjnego polegającego na przyjęciu łapówki w wysokości prawie 5 mln zł” – podkreślała Prokuratura Krajowa w komunikacie.

Ostatecznie Baniak wyszedł na wolność w sierpniu, ale tylko ze względu na jego stan zdrowia. Musiał jednak mieć milion złotych poręczenia majątkowego, ma też dozór policji i zakaz opuszczania kraju.

WOLNOŚĆ

Karpiński na taką zamianę środka zapobiegawczego nie mógł liczyć. Dlatego wyborczy zbieg okoliczności jest dla niego cudownym ratunkiem. Jeszcze w ubiegłym tygodniu prokuratura złożyła wniosek o przedłużenie mu aresztu tymczasowego, którego termin upływał

**Prokuratura po piśmie
marszałka Sejmu
zdecydowała się uchylić
areszt nowego europoła**

23 listopada. Sąd miał rozpatrzyć ten wniosek 20 listopada.

Jednak po wystaniu pisma przez marszałka Sejmu, Hołownię, śledczy zmienili zdanie. Jak poinformowała „Rzeczpospolita”, śląski wydział Prokuratury Krajowej zdecydował się uchylić areszt tymczasowy wobec Włodzimierza Karpińskiego. Dokumenty wraz z prokuratorskim nakazem zostały wysłane do aresztu śledczego w Katowicach.

Śledczy uważają, że zachodzi obawa, iż podejrzany będzie mataczył w sprawie, bo ich zdaniem już podejmował działania, które nosiły znamiona utrudniania śledztwa. Zwracają też uwagę, że przesłanką do trzymania w areszcie tymczasowym jest wysoka kara – Karpińskiemu grozi do 12 lat więzienia. Jednak, skoro został europosem, nie mogą dalej wnioskować o jego trzymanie za kratami.

Obrońca Karpińskiego, mec. Michał Królikowski, który informował, że Karpiński przyjmie mandat europoła, podkreślał w mediach, że to nie będzie dla jego klienta sposobem ucieczki przed wymiarem sprawiedliwości. Zapewniał, że objęcie go immunitetem nie spowoduje, iż będzie unikał śledczych. Karpiński od początku nie przyznaje się do winy.

Jednak to wyjście na wolność formalnie pozwoli dopiero Karpińskiemu zostać europosem. Aby objąć mandat, trzeba stawić się osobiście w Parlamencie Europejskim i wziąć udział w głosowaniu.

Polska prokuratura zapewne wystąpi o uchylenie immunitetu Karpińskiego. Jednak nawet bez jego usunięcia – zdaniem niektórych ekspertów – polityk PO nie będzie mógł się ukryć przed tą sprawą. Immunitet PE – jak wskazał „Rz” członek komisji prawnej w Parlamencie Europejskim, która opiniuje wnioski immunitetowe – jest oparty na prawie belgijskim i nie dotyczy prywatnych spraw karnych posła. Bez względu na to, czy jest to sprawa sprzed tego okresu czy też miała miejsce w czasie, kiedy osoba była już eurodeputowanym.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Poprzedni dyrektor zostawił w tym teatrze swoiste dziedzictwo, nie tylko estetyczne, z którym każdego dnia się mierzę. Mówiąc wprost, weszliśmy na bardzo precyzyjnie zaminywany teren” – w ten sposób, w wywiadzie udzielonym pod koniec października Magdalenie Rigamonti, Monika Strzępka uzasadniła decyzję o zwolnieniu połowy (sic!) zespołu aktorskiego. Tymczasem jeszcze niecały rok temu, gdy media opisywały kontrowersje wokół obsadzenia jej w roli dyrektora Teatru Dramatycznego (ówczesny wojewoda mazowiecki Konstanty Radziwiłł stwierdził nieważność decyzji prezydenta Warszawy w tej sprawie; na stanowisko wróciła oficjalnie w kwietniu tego roku), Strzępka deklarowała zgoda odmienne plany. „Niedawno obudziłam się z myślą, że trzeba zacząć liczyć straty emocjonalne wywołane tą sytuacją i mniej myśleć o polityce. Te straty są oczywiste, bo mówimy o dobrostanie nie tylko 150 osób, które tu pracują, lecz także ich bliskich” – mówiła.

Artystka rozciągała wizję „feministycznej instytucji bezprzemocowej”. Aby podkreślić rzekomo prokobiecy charakter teatru, w holu z okazji objęcia funkcji przez nową dyrektorkę ustawiono rzeźbę o nazwie „Wilgotna pani”. Została ona „wprowadzona” do teatru w przywodzącym na myśl najdziwsze fantazje feministyczne orszaku. To nie koniec ideologicznych absurdów – Strzępka nie urzęduje w gabinecie, ale w „waginie”.

FEMINISTYCZNE CZYSTKI

Ile pozostało z zapewnień dotyczących troski o „dobrostan” instytucji? Pewne wnioski można wysnuć z wpisu aktorki Marty Król, która po 20 latach odchodzi z teatru. „Kompetencje kandydatów na stanowiska związane z zarządzaniem ludźmi w instytucjach kultury są wciąż wątpliwe, jeśli chodzi o ich psychologiczne, menedżerskie i mentorskie przygotowanie. Nie zakładają umiejętności zarządzania zespołem, współpracy z ludźmi, gdzie szanuje się odmienność, docenia się ich pracę, rozpoznaje ich talenty...” – wskazuje Król.

Choć w poście nie pada nazwisko Strzępki, to trudno nie kojarzyć faktów. Falę oburzenia wywołał jednak przede wszystkim wspomniany wcześniej wywiad szefowej teatru. Na proste stwier-

Co się dzieje w Dramatycznym?



Zuzanna Dąbrowska

Monika Strzępka miała być feministyczną matroną, która stworzy „bezpieczną przestrzeń”, a zarzuca się jej działanie przemocowe i zwalnianie pracowników za poglądy. Co się dzieje w warszawskim Teatrze Dramatycznym?



Monika Strzępka, dyrektorka Teatru Dramatycznego w Warszawie

FOT. KARINA KRYSIAK/REPORTER

dzenie dziennikarki „ludzi pani zwalniania z teatru” Strzępka proponuje kompletnie pozbawioną treści odpowiedź. „Mamy tu wszyscy poczucie, że ta jesień to rodzaj wirażu. Jeśli z niego wyjdziemy, to będziemy mogli robić teatr, na jakim nam zależy. Pracuję nad »Heksami« Agnieszki Szpili. Szpila ma w sobie jakąś niezwykłą odwagę. Ona zmienia świat, dzięki niej

zmienia się, transformuje też Teatr Dramatyczny” – wyjaśnia.

Rigamonti nie dała za wygraną. „Ludzi chce pani zwalniać, artystów, aktorów, a używa pani do tego słów wytrychów takich jak transformacja” – mówiła. Strzępka zrzuciła całą winę za sytuację na poprzedniego dyrektora. „To nie jest wytrych, tylko realna praktyka. Zmieniamy

tę instytucję. Ale też musimy zmierzyć się z głęboką i niezbędną restrukturyzacją Teatru Dramatycznego, by wyprowadzić z kryzysu teatr, którego jestem dyrektorką – przekonuje.

Obok połowy aktorów pracę traci grupa pracowników administracji oraz techniczni. „To oczywiście niełatwa sytuacja, bo weszłam tu z programem feministycznej instytucji kultury, mówiąc przy tym o budowaniu bezpieczeństwa, podmiotowości zespołu, a okazało się, że muszę zacząć od trudnych reform, bo marnotrawione są tu publiczne fundusze” – broni się rezydentka „waginetu”. Strzępka dodaje, że ów „zaminowany teren”, który pozostawiła poprzednia dyrekcja, miał na celu „wyczyszczenie konta teatru”.

WAGINETOWE CZARY-MARY

Pewnie duża część zwolenników postmodernistycznej sztuki waginalno-feministycznej uwierzyłaby w słowa dyrektora, gdyby nie cios, który przyszedł z mało spodziewanej strony. Na początku listopada Onet opublikował niezwykle gorzki tekst na temat sytuacji w Teatrze Dramatycznym pt. „Rok ze Strzępką. »Monika z zadeklarowanej feministki stała się wzorcem dyskryminacji«”. Strzępka stworzyła Kolektyw, który miał grupowo zarządzać teatrem. Szybko okazało się, że to niewypał. – Żadna z członkiń Kolektywu nie ma doświadczenia w prowadzeniu tak dużej instytucji kultury i to było odczuwalne na co dzień. Kolektyw nie umiał na nowo podzielić zadań między pracownikami i między sobą. W nieskończoność trwały narady w „waginie”, a robota stała i nie można było doprosić się żadnej decyzji – opowiada wieloletnia pracownica. Choć zapowiedziano, że zwolnień nie będzie, to były. – Zaczęły się pierwsze zwolnienia. Albo ktoś dostawał wypowiedzenie (kierowniczka Laboratorium Dramatu, kierownik produkcji), albo zostawał doprowadzony do tego, że sam to zrobił (szefowa PR, impresariat). Pojawiały się plotki o szykowanym zwolnieniu w zespole aktorskim. Atmosfera stawała się coraz bardziej nerwowa – opowiada informatorka Onetu.

Niezrozumienie budziły priorytety Strzępki i jej Kolektywu. Według jednej z pracownic administracji „w pewnym momencie priorytetową sprawą stała się organizacja porannej jogi”. Dodatkowo

wydarzenia, jak np. warsztaty, planowano często w dni wolne. Szefostwo miało chcieć, by pracownicy TD obsługiwali je bez bonusów finansowych. Atmosfera się zągęszczała. – Dostałam xanax na uspokojenie, usłyszałam, że powinnam spać i nigdy nie wracać – wspomina jedna z osób. Co ciekawe, w tym samym czasie (listopad 2022 r.) rozpoczęły się szkolenia antymobbingowe.

W raporcie przywołano niepokojące wypowiedzi samej Strzępki. Miała stwierdzić, że „trudno się pracuje z ludźmi, którzy wyznają zupełnie inny system wartości. Dla mnie to w zasadzie niemożliwe”. Dodatkowo miała głośno krytykować kształcenie w warszawskiej Akademii Teatralnej, które określiła jako „anachroniczne”. Tymczasem duża część aktorów TD to absolwenci tej właśnie uczelni. Miała mówić, że osoby po akademii są „słabo przygotowane do pracy we współczesnym, poszukującym teatrze artystycznym”. Zwalniani mieli słyszeć od szefowej: „Nie posiadasz emanacji, które są potrzebne do uprawiania tego zawodu”, „ja nie chcę być mamusią, która ma 46 cyków i każdego wykarmi. Już nie”, „ja nie mam czasu, żeby opowiadać ci alfabet o teatrze”.

Szczególny niepokój budzi opinia Anny Cis, specjalistki do spraw BHP, pracującej w Teatrze Dramatycznym od siedmiu lat. – Z mojego zawodowego punktu widzenia zaczęło się tam dziać coś bardzo dziwnego: teatr bezwypadkowy nagle zaczął bić rekordy w kontuzjach, stłuczeniach, zwichnięciach – zaznacza. – Zaczęły nas zasypywać raporty z prób: ktoś spadł ze schodów, ktoś się uderzył, ktoś uszkodził kręgosłup. W mojej ocenie, a pracuję w zawodzie już 20 lat, te wypadki nie wynikały z warunków pracy – one się nie zmieniły, tylko ze stresu, napięcia, złej atmosfery. Człowiek zmęczony, niewyspany, spięty jest o wiele bardziej wrażliwy na urazy – wyjaśnia Cis.

Aktor Modest Ruciński usłyszał, że jest „beneficjentem przemocy i szowinizmu Słobodzianka [poprzednika Strzępki – przyp. red.]”. – Usłyszałem też, że musimy się rozstać, bo jest na mnie wiele skarg i nikt nie chce ze mną współpracować. Odparłem, że to są bardzo mocne słowa i proszę o przedstawienie mi dowodów, inaczej uznam to za pomówienie – wspomina. W odpowiedzi usłyszał,

że „w tym teatrze nie używamy takiego słowa, bo jest przemocowe”. Dowodów nie zobaczył, postanowił odejść. Szokujących przykładów działania dyrekcji TD jest więcej. Na przykład w marcu, sześć godzin przed jednym ze spektakli „Kinky Boots”, wypowiedzenie miało dostać trzech aktorów grających w nim. Wkrótce posadę stracił też Michał Klawiter. Aktor sugeruje, że to odwet za jego postawę. – Nie jeździłem z Kolektywem na gryby, nie przytulałem się do drzew, nie okadzałem teatru białą szatwą, nie odblokowywałem kanałów energetycznych i nie afirmowałem. Nie na tym polega moja rola jako aktora. Weryfikuje mnie to, co robię na scenie, a nie to, czy topię marzannę – zaznacza Klawiter.

FINANSE? CZYŻBY?

Sama Strzępka nie przypomina sobie sformułowań przywołanych w demaskatorskim tekście. Zapewnia, że decyzje o zwolnieniach były konsultowane ze związkami zawodowymi. Odpowiedział na za kulturę wiceprezydent Warszawy Aldona Machnowska-Góra spotkała się z dyrektorką TD. W minionym tygodniu miało się odbyć także spotkanie ze związkowcami. Jednocześnie w ocenie wiceprezydenta „czymś naturalnym w instytucjach kultury jest sytuacja, gdy po zmianie dyrekcji dochodzi do zmian wśród pracowników, także zespołu artystycznego”. Ewentualne decyzje dotyczące TD mają zapaść wkrótce. Moniki Strzępki broni aktualny zespół artystyczny. W oświadczeniu część aktorów odcina się od „fali nienawistnych komentarzy” i „jednostronnej narracji”. „Tworzymy grupę ludzi z różnymi poglądami i ideami, ale jesteśmy zespołem i wspólnie podejmujemy próbę transformacji naszego miejsca pracy. Ten proces wymaga czasu, jest skomplikowany i wyczerpujący dla wszystkich pracowników” – wskazują. Potępiają wszelkie przejawy mobbingu, jednak, jak zastrzegają, to, czy faktycznie do niego doszło, powinny sprawdzić odpowiednie organy.

Warto jednak zadać pytanie, czy „restrukturyzacja” miała uzasadnienie wyłącznie finansowe. Dyrektor Strzępka przyznaje bowiem, że co prawda przez ostatni rok zwolniono 28 osób, ale zatrudniono 27 nowych.

Prawda, czyli fikcja



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Piotr Gociek

Znakomity pisarz John le Carré kontra wybitny autor dokumentów Errol Morris. Zapis ich spotkania znajdziemy w fascynującym filmie „Tunel z gołębiami”

To nie spowiedź, to pojedynek. Na początku filmu dokumentalnego „Tunel z gołębiami” (dostępny w Apple TV+) John le Carré zwraca się do reżysera Errola Morrisa. „Kim jesteś?”. Jeśli przesłuchanie, to obie strony są przesłuchiwanie i przesłuchują. Dwóch adeptów trudnej sztuki poszukiwania prawdy spotyka się, by porozmawiać o tym, że niełatwo do niej dotrzeć. Obaj czynią lub czynili to

zawodowo. Le Carré, jeszcze zanim przyjął swój literacki pseudonim, żył w świecie wywiadu. W Niemczech przesłuchiwał rozmaite osoby. Co z tego, co słyszę, jest prawdą? Kim jest człowiek, który siedzi po drugiej stronie stołu? Co go motywuje? Jakie ma ambicje? Jaki ma cel? Odpowiedzi na podobne pytania szukał przez całą swoją filmową karierę Errol Morris, uznany twórca dokumentów, które nigdy nie były tylko zapisem faktów. Fakty to coś, co miało miejsce, ale cała reszta to już wielka przestrzeń interpretacji. Jeśli ktoś urodził się, by poprowadzić kiedyś przesłuchanie Davida Cornwella (to prawdziwe nazwisko Johna le Carrégo), to był to właśnie Morris.

Jego najbardziej znanym dokonaniem jest nagrodzony Oscarem dla najlepszego dokumentu film „Mgły wojny: Jedenaście lekcji z życia Roberta S. McNamary” (2003). W USA zyskał rozgłos dużo wcześniej, dzięki filmowi „Cienka niebieska linia” (1988), w którym analizował sprawę

zabójstwa policjanta z Dallas i uczynił to tak dogłębnie, że skazanego na karę śmierci domniemanego sprawcę trzeba było wypuścić. O „Cienkiej niebieskiej linii” zrobiło się także bardzo głośno w wyniku decyzji Akademii Filmowej, która odmówiła uwzględnienia dokumentu Morrisa w oscarowym wyścigu. Ponieważ reżyser uzupełniał archiwalne nagrania i przeprowadzone przez siebie wywiady scenkami, które odtwarzały możliwy przebieg wydarzeń, zarzucono mu, że jego film nie jest prawdziwym dokumentem, tylko hybrydą faktu i fikcji.

SKRÓCIĆ DYSTANS

Zarzut dziś brzmi śmiesznie, praktyka dopełniania autentycznych zdjęć wstawkami wymyślonymi po to, by uzupełniać narrację, jest dziś powszechna. Można powiedzieć, że nawet zbyt powszechna, bo sięga się po ten chwyt, by rozdymać nadmiernie rozmaite telewizyjne doku-

menty true crime. Dla Errola Morrisa takie scenki nigdy nie były wypełniaczem, tylko jednym ze sposobów na przybliżenie nas do odpowiedzi na pytania: „Kim jest pokazywany człowiek?” albo „Co się właściwie stało?”. „Cienką niebieską linię” opatrzył oryginalną muzyką Philipa Glassa. Chwył artystyczny, który nie przystoi twórcy dokumentów? A kto powiedział, że autorzy filmów dokumentalnych nie są artystami?

Na potrzeby filmów samouk Errol Morris stworzył prosty, pomysłowy wynalazek, który pozwala mu skrócić dystans między kamerą a nagrywanym bohaterem – interrotron. Rzecz jest genialna w swojej prostocie: bohater rozmowy patrzy w okienko telepromptera, ale zamiast tekstu widzi tam twarz Errola Morrisa, który nagrywany jest przez inną kamerę w czasie rzeczywistym, a jego obraz pokazywany rozmówcy. Patrzą więc sobie w oczy, przy czym dla bohatera wywiadu oznacza to jednocześnie patrzenie wprost w kamerę oraz w rozmówcę. Nadaje to nagrywanym wywiadam nieznany wcześniej stopień intymności, z kolei widz ma później wrażenie, jakby bohater filmu zwracał się wprost do niego.

Co do bohaterów – Errol Morris nagrywał zarówno zwykłych ludzi (jego debiutancki „*Gates of Heaven*” wzbudził zachwyt krytyków), jak i znanych bohaterów zbiorowej wyobraźni: od naukowców, jak Stephen Hawking, do seryjnych morderców, jak Ed Gein (ten film ostatecznie nie został ukończony). W swoich filmowych projektach zawsze szukał rzeczy nieoczywistych. Tak jest i w „*Tunelu z gołębiami*”, który na pozór jest portretem znanego pisarza. Tyle że obszerna twórczość Johna le Carrégo omawiana jest gdzieś na marginesie rozważań o rodzinie, prawdzie, tajemnicach. I głównym bohaterem jest nie John le Carré, lecz kryjący się za tym pseudonimem David Cornwell. Drugim bohaterem – jego ojciec Ronald Cornwell.

„Urodziłem się na strychu, wśród stojących jedno na drugim brązowych pudeł, które ojciec zabierał ze sobą zawsze, gdy przed kimś uciekał” – pisał le Carré w swojej autobiografii „*Tunel z gołębiami*”. „W wieku lat ośmiu byłem już dobrze wyszkolonym szpiegiem”. Ronald Cornwell, mistrz w snuciu niezwykłych planów, które miały wieść do bogactwa, a zwykle kończyły się ucieczką przed wierzącymi lub policją, uczynił ze swego syna współ-

nika w rozmaitych dziwnych przedsięwzięciach. Mały David uważał takie życie za naturalne, bo nie znał innego – matka go opuściła. Czy w dorosłym życiu znalazł klucz do przeszłości? Wszystko zrozumiał, wszystko wytłumaczył? „Choć jego osobą zadreślałem się tyle godzin, pozostaje dla mnie taką samą zagadką jak moja matka” – wyznawał pisarz. Matka odeszła, gdy był mały, ratując się przed przedwczesną śmiercią lub szaleństwem, nie mogąc wytrzymać życia z oszustem, który „latał nisko i często się rozbijał”. W filmie le Carré powie Morrisowi, że więcej dowiedział się o swoim ojcu z prasowych kronik kryminalnych niż z rodzinnych dokumentów.

„Długi rozdział o moim ojcu Ronniem trafił bliżej końca, a nie na początek książki, bo nie mogłem pozwolić, żeby jak zwykle wepchał się do pierwszego szeregu” – kpił smutno le Carré w książkowej autobiografii. Film Morrisa nosi ten sam tytuł, ale nie mamy do czynienia z próbą adaptacji (byłoby to zresztą niemożliwe), lecz z przypomnieniem metafory kluczowej dla doświadczenia brytyjskiego pisarza. Niemal każda z książek le Carrégo na jakimś etapie pracy nosiła tytuł roboczy „*Tunel z gołębiami*”. Dlaczego? Nastoletni David Cornwell towarzyszył kiedyś ojcu w jednej z wypraw do kasyna w Monte Carlo. Był tam świadkiem zabaw miłośników strzelania do gołębi dla sportu. Gołębie hodowano na dachu hotelu, stamtąd trafiały do wąskich tuneli, przez które wypuszczano je na wolność tylko po to, by padły łupem czekających strzelców. „Te z ptaków, których nie trafiono albo które tylko lekko zraniono, robiły to, co zawsze robią gołębie – wracały do miejsca swych narodzin na dachu kasyna, gdzie wpadały wciąż w te same pułapki”.

ZDRADA

Czy skazani jesteśmy na powtarzanie błędów, bo taka jest nasza natura, czy dlatego, że tak nas zaprogramowano/wychowano? Znamy te rozważania z powieści Johna le Carrégo. Tragizm postaci niepostrzegających odnaleźć się w nowej sytuacji, ludzi gotowych na poprzednią wojnę, bohaterów oczekujących, że powtórzenie tego samego akurat tym razem przyniesie



REŻ. ERROL MORRIS
„TUNEL Z GOŁĘBIAMI”
W. BRYTANIA
2023

inny efekt. A ponad tym wszystkim temat dla pisarza najważniejszy: zdrada. „Temat zdrady mnie fascynuje” – mówi le Carré w filmie Errola Morrisa. „Przeżyłem okres niekończącej się zdrady”.

Rzeczywiście, czasy, w których David Cornwell pracował w tajnych służbach, to okres gigantycznych skandali szpiegowskich, przede wszystkim sprawa Kima Philby’ego i sowieckiej siatki znanej jako Piątka z Cambridge. Ale zdrada jest dla pisarza tematem dużo

bardziej osobistym. „Czułem się zdradzony jako dziecko. I ja sam także zdradzałem”. Porzucony przez matkę, wykorzystywany do niecznych przedsięwzięć przez ojca młody David zachowuje jednak moralny pion. Pewnego razu ojciec wysłał go na tor wyścigów konnych, by odebrać wygrane pieniądze od bukmacherów. Potem przelicza przyniesione banknoty i nie może wyjść ze zdumienia: jego syn nie przywłaszczył sobie ani funta? David wyrwa się z toksycznego kręgu w chwili, gdy rusza na studia. Tam właśnie dokonuje aktu traktowanego przez ojca jako zdradę: miał kształcić się na prawnika (domyślamy się, że po to, by pomóc ojcu w przekrętach), wybiera jednak literaturę.

Wszystko, czego doświadczył u boku ojca oszusta, okazuje się niezwykle przydatne w późniejszym rzemiośle szpiegowskim, kiedy David Cornwell zostaje zwerbowany przez wywiad. Od małego przecież wie, jak wieść podwójne życie i jak zachować się w obliczu nieoczekiwanego zagrożenia. Jest dla świata tajnych agentów świetnym nabytkiem z jeszcze jednego powodu. „Bardzo trudno jest znaleźć odpowiedniego kandydata na szpiega” – odpowiada do kamery le Carré. „Szukasz kogoś, kto jest trochę zły, ale jednocześnie lojalny. Pasowałem do tego wzorca idealnie”. W innym miejscu nie kryje zagrożeń: mógł stać się kimś naprawdę złym. Ocaliła go literatura. Został pisarzem, zamiast zdrajcą jak Kim Philby.

„*Tunel z gołębiami*” nie przynosi żadnych ostatecznych odpowiedzi ani wyjaśnień. Jest wspólną podróżą dwóch poszukiwaczy prawdy, którzy wiedzą, jak łatwo ją nagiąć. „Kim jestem? Jestem artystą” – odpowiada le Carré. Kim jest Errol Morris? Podobnie. Reszta to już kwestia interpretacji.



FOT. MATERIAŁY PRASOWE



PIOTR GOCIEK

OGŁADANIE NA ŻĄDANIE

Z zimną krwią



★★★★★
REŻ. DAVID FINCHER
„ZABÓJCA”
(„THE KILLER”)

wyst. Michael Fassbender, Tilda Swinton, Charles Parnell,
 dystr. Netflix

Zabójca do wynajęcia popełnia błąd. Żyje jednak w świecie, który pomyłek nie wybacza. Ani zleceniodawcy, ani pośrednicy nie przywykli do pozostawiania za sobą jakichkolwiek śladów, nie mówiąc już o niedoróbkach. Teraz więc to kiler staje się problemem, wobec którego wszczęta zostaje procedura likwidacji. On zaś, zdając sobie sprawę z powagi sytuacji, wypowiada wojnę swoim prześladowcom.

To, co w serii „John Wick” było kolorowym baletem śmierci, jest u Davida Finchera chłodną opowieścią o perfekcji. Żadnej empatii, żadnych słabości. Trudno więc kibicować bohaterowi granemu przez przerażająco spokojnego Michaela Fassbendera, można za to podziwiać jego kunszt

w morderczym rzemiośle. Samotny kiler często służy we współczesnej popkulturze jako najwyższa instancja sprawiedliwości, ktoś, kto wyrównuje szale, jest receptą na wady systemu, w którym wpływowym wszystko uchodzi na sucho. Bohater „Zabójcy” nie wierzy w sprawiedliwość – wierzy w przygotowanie i w realizację planów. Jest skrajnym egoistą, jedyne, czego chce, to przetrwać. Oznacza to, że musi wyeliminować zagrożenie, zanim sam zostanie wyeliminowany.

Podobną miłość do perfekcji okazuje reżyser filmu, który zadbał o to, by każdy detal i dźwięk (z soundtracku pełnego piosenek The Smiths) służyły opowieści. Efekt jest hipnotyzujący, jakbyśmy

Nwchodzili w nieco surrealistyczny sen. Emocjonalny chłód przywodzi na myśl takie klasyki jak „Zbieg z Alcatraz” Johna Boormana czy „Samuraj” Jeana-Pierre’a Melville’a, w których mścicieli o nieprzeniknionych obliczach i duszach kreowali odpowiednio Lee Marvin i Alain Delon. Fincher doprowadza jednak srogość surowej opowieści o człowieku bez skrupułów do punktu, w którym można ją potraktować jak szyderstwo z tego lubianego podgatunku. „Zabójca” oglądany z taką myślą okazuje się filmem zabawnym. Rolę główną miał początkowo grać Brad Pitt, ale po zerknięciu w scenariusz odpowiedział: „Nie, to dla mnie zbyt nihilistyczne”. Co zostaje oprócz perfekcji i czarnego humoru? Niepokojące przesłanie, że w świecie zaawansowanego kapitalizmu wszyscy jesteśmy nieistotnymi elementami w długich łańcuchach dostaw. A każdą zepsutą część trzeba natychmiast usunąć i zastąpić nową – nawet renomowanego kiler. ©©



NOWE SERIALE: „SYCYLIJSKIE LWY”

Ekranizacja bestsellerowej powieści Stefani Auci, opowieści o rodzinie Floriów, która od biedy w rybackiej wiosce, skąd pochodzi, kroczy ku potęgze i bogactwu dzięki uporowi, talentowi, poświęceniu – i wbrew starej sycylijskiej arystokracji. Podobnie jak „Pożłaczany wiek” jest to opowieść o wojnie

nowych pieniędzy ze starymi, ale wielka historia jest tłem dla melodramatu. Reżyserem i producentem tej błahej błyskotki jest Paolo Genovese („Dobrze się kłamię w miłym towarzystwie”). ©© **Piotr Gociek**

• sezon 1 „Sycylijskie lwy” („I leoni di Sicilia”), Włochy 2023, dystr. Disney+

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

- sezon 1 „The Artful Dodger”, Australia 2023
- sezon 2 „Upload”, USA 2023
- reż. Andrea Magnani „Długi bieg” („La Lunga Corsa”), Włochy 2022

Atak antyklerykała

KINO

Antyklerykał Bellocchio прави o bankructwie moralnym kurii rzymskiej. Niechlubny epizod z połowy XIX w. posłużył włoskiemu reżyserowi za pretekst do historycznego w tonie ataku na katolicyzm. Edgardo Mortaro, jeden z dziewięciorga dzieci Żyda z Bolonii, został potajemnie ochrzczony przez służącą (tutaj przedstawioną jako puszczalska, złodziejka i kompletna idiotka). Wieść o tym dociera do papieża, który rozkazuje odebrać chłopaka rodzicom i wychować go na wzorowego chrześcijanina, czyli księdza. Wybuch skandalu o zasięgu światowym, ale bardziej niż sprawa Edgarda zajmuje Bellocchia postać Piusa IX. W filmach uważanych za ambitne rzadko widuje się takich potworów.

Ekranowy biskup Rzymu to wyalienowany satrapa fatalista, wiodący Kościół ku przepaści. Mało tego, w „Porwanym” krzyż jest symbolem opresji, zabobonu, hipokryzji, śmierci tudzież fanatyzmu graniczącego z obłędem. Ateizm jest zaś cnotą kardynalną tożsamą z nowoczesnością. Logicznym finałem byłby upadek instytucji papieżstwa i wiary w ogóle, co wszakże nie nastąpiło. Autor tego pamfletu (o rok młodszy od Piusa, gdy ów umierał) liczył na powtórzenie sukcesu „Zdrajcy”. Cóż, jeśli komuś Kościół myli się z sycylijską mafią, to rezultatem jego twórczych wysiłków nie będzie dreszczowiec, tylko coś w rodzaju komedii dell'arte. ©©

Wiesław Chełmiński



★★★★★
REŻ. MARCO BELLOCCHIO
„PORWANY”
(„RAPITO”)
WŁOCHY/FRANCJA/NIEMCY 2023

wyst. Paolo Pierobon,
Fausto Russo Alesi,
Barbara Ronchi



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

HRABIA Z KRUPÓWEK

TV P VOD



★★★★★
REŻ. JANUSZ SIDOR
„WŁADYSŁAW HRABIA ZAMOYSKI. PAN Z WIELKOPOLSKI, WŁADCA TATR”
POLSKA 2012

Broda, hetmańska postura i zasługi nie do przecenienia. Rok 2024 będzie Rokiem Władysława Zamoyskiego, lecz już teraz, w 170. rocznicę urodzin, warto przyrzeć się bliżej właścicielowi połowy Tatr i twórcy Fundacji Kórnickiej. Syn emigranta, ministra wojny Hotelu Lambert, nie ustępował mu patriotyzmem, ale wybrał pozytywistyczną strategię rodziny matki. Wpływ Działyńskich tudzież młodzieńcze podróże do Ameryki i na antypody wyrobiły u „Włodzia” poczucie obowiązku graniczące z obsesją. Współcześni widzieli w nim ascetę i dziwaka, rzadziej pryncesa i biznesmena. Tymczasem hrabia doprowadził do porządku zaniedbane dobra zakopiańskie, obronił je przed węgierskimi zakusami, a w końcu przekazał narodowi, który wizytując Morskie Oko, nie wie, komu tę możliwość zawdzięcza. Rozczarowany realiami II Rzeczypospolitej usunął się cień. Postać godna wypasionej serialu, który zapewne nigdy nie powstanie. ©©

LUDZIE ZA BURTĄ

► NINATEKA



★★★★★
REŻ. WALDEMAR KRZYSZEK
„OSTATNI PROM”
POLSKA 1989
wyst. Krzysztof Kolberger, Artur Barciś, Agnieszka Kowalska

Kopię „Ostatniego promu” należałoby wysłać do Sèvres jako wzorzec polskiego kina idealistycznego. Akcja rozgrywa się w grudniu 1981 r., lecz w powietrzu czuć już euforię końca dekady, gdy inteligencji pracującej zdawało się, że Polska dotarła do bezpiecznego portu. Komputerowe prognozy, że nad Wisłą dobrze będzie najwcześniej za 134 lata, wyładowały w koszu. Ku świetlanej przyszłości prowadzili nas koledzy Jana Ziarny – anioła w skórze nauczyciela i związkowca. PZPR-owska nomenklatura straciła nadzieję, że „szalaństwo Solidarności” da się przeczekać. No dobrze, dość żartów, wyszło inaczej. Tysiące młodych ludzi nie płakały, żegnając się z ojczyzną. Partyjniactwo wróciło ze zdwojoną siłą. Ale czy to wystarczające powody, by rezygnować z marzeń? Waldemar Krzystek wciąż nie traci weny, wzorcem filmowej egzaltacji pozostaje zaś „Ostatni dzwonek” (z tą samą kusielką – Agnieszka Kowalska). ©©

Wiesław Chełmiński

GRA TYGODNIA: „MARVEL'S SPIDER-MAN 2”

Jeśli nie jedna z trzech, to na pewno jedna z pięciu gier w mojej tegorocznej topce (a to naprawdę bardzo dobry rok!). Dwóch Spider-Manów (co sprawdza się i fabularnie, i gameplayowo), jeszcze więcej Nowego Jorku do odkrycia, poruszają-

ca historia, satysfakcjonująca walka, piękna grafika, świetne wykorzystanie możliwości kontrolera, przemysłany system trofeów... Mogłbym tak wymieniać jeszcze długo. Dla posiadaczy konsoli Sony pozycja absolutnie obowiązkowa. Bezpieczny



FOT. MATERIAŁY PRASOWE

★★★★★
pomysł na trafiony prezent gwiazdkowy. Platyna! ©©

Radosław Wojtas

- Gatunek: akcji, TPP
- Platforma: PlayStation 5
- Producent; wydawca: Insomniac Games, Sony Interactive Ent.



KRZYSZTOF
MASŁŃ

MOJA PÓŁKA

Hemarowe boje

Bolał nad tym, że miano go za tekściarza czy kabareciarza, w których to określeniach pobrzmiwała nuta lekceważenia. Dziś, gdy utwory Jeremiego Przybory, Agnieszki Osieckiej, Jonasza Kofty czy Wojciecha Młynarskiego jak najślusniej traktowane są jak najczystszej wody poezja, a Bob Dylan otrzymuje Nagrodę Nobla, Marian Hemar ze swoich bez mała 3 tys. (!) piosenek, które napisał w życiu, byłby wyjątkowo dumny. A byli wśród nich, przypomnę: „Kiedy znów zakwitną białe bzy”, „Nikt, tylko ty”, „Pensylwania”, „Upić się warto” czy w jego wypadku mająca autobiograficzny sens żołnierska piosenka: „Pamiętaj o tym, wnuku, że dziadzio był w Tobruku”. Bo rzeczywiście Hemar w 1941 r. wstąpił do Brygady Strzelców Karpackich, tak jak w roku 1920 zgłosił się do wojska, by bronić od niedawna niepodległej Polski przed bolszewicką nawałą.

10 września 1939 r. opuścił Polskę, nie mając wtedy pojęcia, że na zawsze. Wybrał żywot emigranta, nie chcąc wracać do kraju rządzonego przez komunistów. Do ojczyzny, z której Sowietzi wykroili jego rodzinny, ukochany Lwów, o którym potem pisał tak pięknie jak nikt inny, wyciskając łzy z oczu wygnańców stamtąd takimi piosenkami, jak „Tyle jest miast” czy „Chleb kulikowski”.

Ale w „polskim Londynie” objawił się też Hemar jako wybitny publicysta polityczny, bezkompromisowo broniący polskiej racji stanu, antykomunistyczny w każdym calu, Polskę Ludową traktując z pogardą jako państwo wasalne wobec Sowietów. Publikował w polskiej prasie ukazującej się w Londynie (m.in. w „Wiadomo-



FOT. DAWID TADREWICZ/FAST NEWS

ściach” i „Orle Białym”), ale przede wszystkim tydzień w tydzień gościł na antenie Rozgłośni Polskiej Radia Wolna Europa, z którą w sumie współpracował 18 lat, a rozstał się z nią dwa lata przed śmiercią, na skutek konfliktu z dyrektorem rozgłośni Janem Nowakiem, którego kulisy przedstawia prof. Grzegorz Łukomski w wydanej właśnie książce o Hemarze „politycznym”.

Ciężko przeżył także Hemar wolty ideowe dokonane przez swoich przyjaciół i współpracowników, poetów Skamandra, których (do czasu) uwielbiał. Tuwim jednak – pisał – „umarł w chwili, kiedy wstąpił na statek wiozący go na Bierutową służbę”, a „zbrodnia jego zdrady jest w tym, że po przyjeździe do kraju nie napisał ani jednego wiersza dobrego, ani jednego wiersza, którego by nie potrafił napisać... byle sowiecki chałupnik”. Antoniego Słonimskiego Hemar wciąż wprawdzie uważał za wielkiego poetę, jednak jeden ze swoich najostrzejszych, najbardziej zjadliwych i jakże celnych wierszy poświęcił jemu właśnie, tak go charakteryzując:

... Cóż za szmata
Pod pozorami literata.
Popatrzcież na ten rzymski profil:
Były frankofil i anglofil.
Mało anglofil – anglomaniak!

*Wellsa wielbiciele i gałubczyk
I były sanacyjny cwaniak,
Pan-europejczyk i Pen-klubczyk,
Były esteta, skamandryta,
I były Żyd-antysemita,
Co żydożerczą swą facecją
Próbował jednać się z endecją [...]*

*Wczoraj ziemiańsko-cukierniczcy
Dzisiaj włościańsko-robotniczy.*

*Przechrzta co tydzień, na wyścigi,
Co z wszystkich sobie wzięli religii
Jedną religię: Oportunizm –
Dziś się obrzezał na komunizm.*

Pozostały mu uwielbienie dla Kazimierza Wierzyńskiego i dobra pamięć o latach, gdy młodzi i – w wypadku Wierzyńskiego – piękni podbijali Warszawę z Belwederem jako jej punktem centralnym. Był Hemar piśsudczykiem i po wojnie nie wypierał się, np. odnosząc do polskiej polityki zagranicznej, tego, że: „[...] byłem gorącym zwolennikiem powrotu Trzyńca, wyprawy na Kijów, neutralności w sprawie Abisynii”.

Ale Grzegorz Łukomski skupia się w swojej książce na późniejszych latach, kiedy to – jak pisał Józef Mackiewicz – stał się Marian Hemar „poetą ostatniej linii obrony”. „Miał na myśli – czytamy – obronę prawdy i wolności słowa, zwłaszcza polskiego słowa, w realiach nie tylko emigracyjnych”. I tak właśnie było. Ten Polak z wyboru, syn Ignacego Heschelasa i Berty z domu Lem (siostry ojca innego wielkiego twórcy ze Lwowa rodem – Stanisława Lema), bronił polskości przed – wyłuszcza prof. Łukomski – „egzystencjalnym zagrożeniem wypływającym ze strony ideologii marksistowskiej i wszelkich odcieni idej lewicowych, destrukcyjnych społecznie oraz intelektualnie”. Nic dodać, nic ująć. ©



★★★★★

**GRZEGORZ
ŁUKOMSKI**
„POETA
POLSKOŚCI,
BARD ANTY-
KOMUNIZMU.
MARIAN HEMAR
(1901-1972)”
LTW,
ŁOMIANKI 2023



PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

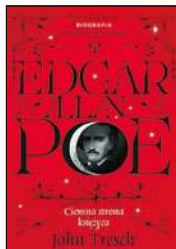
Inny Poe

Hasło? Poe. Odzew? Wychudzony wariat, który snuje się nocami po cmentarzach i zapija szaleństwo nadmiarem destylatów, a umysł dotknięty ma chorymi wizjami, które zamienia w dziwaczne opowiadania. Otóż nic z tych rzeczy, z książki Johna Trescha wyłania się zupełnie inny obraz autora „Kruka” i „Zagłady domu Usherów”. Na trop niektórych oczywistości mogliśmy wpaść sami, gdyby tylko zamiast dać się zwieść legendzie, człek zastanowił się chwilę nad faktami. Skoro np. był Poe jednym z pierwszych amerykańskich twórców, którzy z powodzeniem utrzymywali się jedynie z pracy literackiej, to nie mógł być takim nawiedzonym lekkoduchem, za którego wielu go uważa.

Dlatego „Ciemna strona księżycy” rozczaaruje miłośników nocnych biesiad na grobach, zauroczy natomiast wszystkich, którzy chcieliby się dowiedzieć, jak było naprawdę. Edgar Allan Poe pozostając romantykiem, który ocalić chce dusze w epoce, która ceni szkieleto i oko, jednocześnie jest głęboko zainteresowany wszystkim, co się dzieje wokół w filozofii, nauce oraz pseudonauce (tyle że fałszów tej ostatniej jeszcze nie rozpoznało,

wspomnijmy nieszczęsną karierę mesmeryzmu). Zatem ów chmurny poeta okazuje się nieodrodnym dzieckiem drugiej rewolucji naukowej, do której dochodziło w XIX stuleciu. Czasem błądzi (któż nie błądził?), czasem rzuca profetyczne, choć nierozumiane przez współczesnych stwierdzenia (w wykładzie „Eureka” mówi, że „czas i przestrzeń są jednym”). I naraz okazuje się, że możemy dyskutować nie tylko o opowiadaniach i wierszach Poego, lecz także o jego kosmologii czy naukowych tezach.

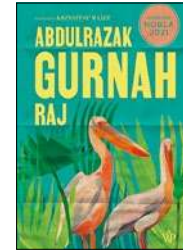
Wszystko to przesłaniać oczywiście nie może głównych osiągnięć, dzięki którym zapisał się Poe w historii (literatura i raz jeszcze literatura). Ojciec opowieści detektywistycznej, jeden z ojców fantastyki, gigant literatury niesamowitej, a zarazem – to dla niektórych będzie nowość – człowiek, którego największym marzeniem było założenie ogólnonarodowego fachowego pisma literackiego, które byłoby obiektywne i traktowało wszystkich bez uprzedzeń. Wiele jest takich zaskakujących fragmentów w książce Trescha, która mogłaby nosić równie dobrze podtytuł: „Co robił Edgar Allan Poe, kiedy nie był Poem”. ©©



★★★★★
JOHN TRESCH
„EDGAR ALLAN POE. CIEMNA STRONA KSIĘŻYCY”
PRÓSZYŃSKI
I S-KA 2023

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Czwarta powieść Gurnaha, ale pierwsza, która przyniosła mu światową sławę. Niektórzy widzą w niej odpowiedź na „Jądro ciemności” Conrada. Jedna z najlepszych książek ubiegłorocznego zdobywcy literackiego Nobla.



ABDULRAZAK GURNAH
„RAJ”
WYDAWNICTWO POZNAŃSKIE

Najobszerniejsza powieść pisarza, kronika rodzinna i historia zakazanego romansu rozgrywająca się na alternatywnej Ziemi zwanej Demonią. Ale głównie, jak to często u Nabokova, o zwodniczej naturze pamięci.



VLADIMIR NABOKOV
„ADA ALBO ŻAR”
W.A.B.

Kolejny tom monumentalnej „Historii Śródziemia” przynosi niepublikowaną wcześniej „Balladę o dzieciach Hurina” oraz „Balladę o Leithian” i kilka drobniejszych utworów poetyckich Tolkiena.



J.R.R. TOLKIEN
„BALLADY BELERIANDU”
ZYSK I S-KA

Tom wierszy i sonetów jednego z najważniejszych współczesnych poetów litewskich, symbolu „pokolenia 55” – zbiór w tłumaczeniu Adama Pomorskiego i Rasy Rimickaitė. ©©



ANTANAS A. JONYNAS
„INNA SIĘ NOCĄ ZDAJE DELTA DŁONI”
KOLEGIUM EUROPY WSCHODNIEJ

KOMIKS TYGODNIA:

„BLAST”

Opus magnum francuskiego rysownika Emmanuela Larceneta ukazuje się w Polsce w dwóch obszernych tomach, łączących cztery oryginalne albumy. Mowa o twórcy nietuzinkowym, którego „Raport Brodecka” wybrano nad Wisłą komiksem roku 2021. „Blast” to mroczna spowiedź Polzy Manciniego, „kloszarda,



MANU LARCENET
„BLAST”, T. 2
MANDIOCA 2023

alkoholika, krytyka kulinarnego, syna, brata, męża”. Powstało dzieło wybitne. ©©

Piotr Gociek



RADOSŁAW WOJTAS

DO ZOBACZENIA

„Prymityw” z Powiśla

Przyszedł na świat w 1878 r. (zm. 1964) we wsi Świerże Górne, jako syn najemnych rolników. Osierocony w dzieciństwie, przeniósł się do Warszawy. W stolicy przez wiele lat pracował na poczcie, potem zajmował się drobnym handlem na Powiślu i to tu zaczął tworzyć.

Pomimo że Leon Kudła znaczną część życia spędził w mieście, to nigdy nie odciął się od swoich

ludowych korzeni. Pierwsze wystawy artysty z Powiśla były udane, ten jednak porzucił życie i potencjalną karierę w stolicy, powrócił w rodzinne strony.

Tworzył głównie z topolowego drewna. Figury świętych, ptaki, zwierzęta. Kudła zestawiany był (i jest) z Nikiforem i obok niego wymieniany bywa jako jeden z „najwybitniejszych” polskich artystów naiwnych. Wystawa „„Prymityw» z Powiśla. Leon Kudła 1879–1964” przypomina tę postać, ale ma też być w zamyśle jej autorów „refleksją nad zmianą, jaka zaszła w podejściu do postaci artysty ludowego na gruncie etnologii”. ©©

GDZIE? Państwowe Muzeum Etnograficzne w Warszawie
KIEDY? do 11 lutego 2024 r.



FOT. PRZEMYSŁAW WALCZAK

FOT. CENTRALNE MUZEUM WŁÓKIENICTWA W ŁÓDZI



SPLOTY

Xawery Wolski znany jest głównie jako twórca monumentalnych rzeźb. Wystawa w łódzkim muzeum skupia się na mniej znanym obliczu Wolskiego, prezentując dzieła nawiązujące do tkania, splatania i innych technik włókienniczych. Jak piszą o wystawie organizatorzy, jest ona: „Zmysłowa, bo pokazująca efekty eksperymentów z różnymi materiałami – od ziemi z Meksyku, przez kamienie z Birmy po bawełnę z Indii czy jedwab z Tajlandii. Medytacyjna, bo opowiada o kunszcie jako formie wyciszenia i podróży w głąb siebie”. ©©

GDZIE? Centralne Muzeum Włókiennictwa w Łodzi
KIEDY? do 28 kwietnia 2024 r.



GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Lewituj, nie grawituj

Na album z nowymi piosenkami Rolling Stonesów czekaliśmy 18 lat. Po takim samym czasie ukazała się płyta Lecha Janerki. Możliwe, że jest to najważniejsza polska płyta rockowa ostatnich lat. Możliwe, że to zauważą wyłącznie ci po pięćdziesiątce.

Płyta dla starszych boomerów? Zdecydowanie! Album wymaga bowiem od słuchacza poświęcenia i dojrzałości. Nie ma sensu go słuchać na wrywki, w biegu, z telefonu. Dorastająca młodzież nie ma czasu na tak długie trwonienie uwagi. To jest staromodna płyta, której w epoce przedspotify’owej słuchało się od deski do deski. A potem o niej się rozmawiało.

„Falszyfikat” jest pod kilkoma względami płytą szczególną w dyskografii Janerki. Po pierwsze, nigdy tak długo nie czekaliśmy na jego kolejne dzieło. Jak autor informuje na okładce: „Podkłady nagraliśmy w 2012 r. Potem przez 11 lat pisałem słowa w tempie sylaba na tydzień”. Kolejne cztery lata zajęło mu samo miksowanie materiału. Po drugie, jest to pierwszy album artysty, na którego okładce jest jego portret. Do tego autorem projektu graficznego jest brat Andrzej. Po trzecie Lechu po raz pierwszy nie drze gardła, a utwory są w większości mocno stonowane. To, co niezmiennie, to jego ocena świata z pozycji outsidera. Jego dystans do siebie i rzeczywistości jest

wstrząsowo-uzdrawiający dla tych, którzy myślą, że wiedzą.

„Śpij, śpij inteligencjo / Choć sedno spinu tkwi w przekręceniu – no to jak? – „Przyszłość zaprasza i częstuje mgłą” – no i? – „Zabawa jak zabawa / Tam nasi a tu my / A w środku polska sprawa / Poprzeczka chyba wzwyż” – a zatem? – „Mówią, że dobrze jest... bełkot / A inni, że no nie... też bełkot” – czyli? – „Głowa płonie ale dystans i takt” – czyli jak? – „Woła mnie odwrotnie tło”.

Naprawdę warto poświęcić 39 minut na wysłuchanie Lecha. A potem zadawać pytania. Sobie zadawać. Nie twierdzą, że nie będzie bolało. A potem: „Powiedz mi czy w noc bezsennej drepcesz ze mną / Powiedz mi / Czy słyszysz coś”. ©©



★★★★★
LECH JANERKA
„GIPSOWY ODLEW
FALSYFIKATU”
MYSTIC



TANI
PARKING



WYGODNY
DOJAZD



DARMOWY
BUS

CIAO RADOM, CIAO RZYM

LOTNISKO 
WARSZAWA-RADOM

KOMFORT NA STARCIE

LEĆ NA
[NEKERA.PL](https://nekera.pl)

 **NEKERA**





Krzysztof Masłoń

Na ekranach zacznie śnieżyć

Będzie śnieżyło – oznajmił sąsiad, zawsze dobrze poinformowany Pan Genio.

– Zima idzie, to i śnieg będzie – filozoficznie odparła Mańka Dzyndzel.

– Ale w telewizorze! Będziesz chciała obejrzeć TVP i nie obejrzysz, bo masz stary telewizor i dopóki nie kupisz nowego odbiornika albo dekodera, dopóty nie zobaczysz już swoich ulubionych seriali i teleturniejów.

– A po co mi oglądać powtórki, do tego w faszystowskiej telewizji?

– Teraz to już nie będzie żadna telewizja faszystowska, tylko prawdziwie publiczna – sprostował Pan Genio.

– Aha, taka jak dom publiczny, do tego niemiecki – wtrącił, przysłuchujący się rozmowie Element Antydemokratyczny i zaraz zaczął przynudzać o genealogii Tuska.

– Cały gmin niemiecki – wyłuszczał – pochodził od potomków Chama, w przeciwieństwie do Polaków, którzy wzięli się od Jafeta, a niejaki „Tuysk”, cham z chamów, był buntownikiem przeciw Panom Szlachcie. Buntował się, buntował, a teraz telewizję Polakom zabiera.

Jakby mało było tych bredni, na które się powoływał, autorstwa niejakiego Wojciecha Dembołęckiego, XVII-wiecznego księdza i żołnierza, a na pewno fantasty, dodał jeszcze, że inny „Tuysk” pochodził znów od „Tyszki”, wnuka króla Scytów, naszego praprzodka zresztą. – I to łączy rządzącą



Program „Nasz nowy dom” z nową prowadzącą – Elżbietą Romanowską FOT. POLSAT

Rozmowy polskie: zima za pasem

koalicję z Konfederacją – zakończył triumfalnie.

Wywaliliśmy Elementa za drzwi, bo mu się już kampania wyborcza zupełnie na mózgu rzuciła, i zamówiliśmy następną kolejkę. Do domu nikomu się nie śpieszyło. Program telewizyjny nie zachęcał do powrotu w domowe pielesze.

– Jeszcze niedawno, jak nie było nic ciekawego, to zawsze na Polsacie mogłam obejrzeć „Nasz nowy dom”, ale mi prowadzące podmieniono i teraz jak słyszę: „O Boże, zmywarka!”, to mi się coś w żołądku przewraca – użaliła się Mańka.

– To poprosz Hołownię, niech podrzuci dyrektorowi Miszczakowi do Polsatu zamrażarkę, której w Sejmie rzekomo nie będzie się już używać. „O Boże, zamrażarka!” też nieźle brzmi – poradził Wsiowy Sceptyk.

Stojący za barem Złodziej Korony Polskiej zaczął wyliczać nowe programy, które zakończyły się kląpą. Polsatowych, rzeczywiście, było najwięcej, bo to i „Temptation Island”, i „Żony Warszawy”, a i kabaretom, tak hołubionym przez Ninę Terentiew,

nie po drodze już z Solorzową telewizją.

– A skąd ty to wszystko wiesz, skoro sterczysz za barem i wyciągasz od nas pieniądze? – spytał któryś z byłych barów Pod Antenką.

– Żona mi opowiada – wyjaśnił Złodziej Korony Polskiej. – I powiedziała jeszcze, że teraz to Polsatem będzie TVN, a Publiczna stanie się TVN.

– No to pora umierać – spuentował Sceptyk. – Jeszcze po łufie? – spytał retorycznie.

Zrobiliśmy naprędce przegląd TVN-owskich klęsk, a było ich też немало, bo to i „Zapisań w gwiazdach”, i „Ugotowani w parach”, i wyszło nam na to, że z zimowych propozycji płynących z ulicy Wiertniczej godne uwagi będą jedynie skoki narciarskie.

– Choć Żyła i Stoch coraz starsi – zauważył Pan Genio i wrócił do kwestii śnieżenia na ekranach telewizorów nieprzestawionych z MUX-3 na DVB-T2/HEVC, cokolwiek by to znaczyło.

Wyrażnie znudzona tematem Mańka Dzyndzel koniecznie chciała się dowiedzieć, czy w związku z rewolucją na

Woronicza odbędzie się w tym roku „Sylwester marzeń”, bo ona sobie nie wyobraża nowego roku bez Zenka Martyniuka.

– To sobie wyobraż – odburknęła. – Kiedyś w sylwestra telewizja pokazywała towarzysza Wiesława tańczącego z Zośką walczyka i też było dobrze.

– To teraz Budka będzie się gimnastykował na parkiecie ze swoją Kaśką. On do Gomułki podobny – Mańka była nieustępliwa. Na domiar złego do baru powrócił Element Antydemokratyczny i, jak gdyby nigdy nic, kontynuował swój wywód o Królestwie Polskim, które założyło i Ateny, i Rzym, wroga mając jedynie w niecnym Tuysku.

– A to przecież lump, tak powiedział wasz prezes – odezwał się zza baru Złodziej Korony Polskiej.

– Wasz? Wasz? – zaperzył się Pan Genio. – Lej lepiej nam rozchodniaczka i nie odzywaj się, bo pójde do domu i na telewizyjny abonament nie zarobisz.

– A kto jeszcze płaci abonament?

Pytanie zawisło w próżni. Spojrzałem za okno. Jakby zaczynało śnieżyć. ©©



DODATEK SPECJALNY – część 20

Wolność sumienia i ideologia LGBT

- Watykan w cieniu tęczęj gwiazdy • Polska kontra imperium gender
- To jest wojna o polską duszę



FOT. ADRIAN STOK

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPOONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI



Fundusz
Sprawiedliwości

funduszsprawiedliwosci.gov.pl



Ministerstwo
Sprawiedliwości

eprasa.pl 280906106d

Oto ich prawdziwe



Podczas konferencji „Wolność sumienia i ideologia LGBT” wykład pt. „Gender – projekt nowego człowieka” wygłosił prof. Ryszard Legutko, filozof, tłumacz i komentator dzieł Platona, europoseł PiS. Prezentujemy zapis tego wystąpienia

Zyjemy w czasach, w których dominującą rolę w polityce, a także w całym życiu społecznym i kulturowym w świecie zachodnim odgrywa lewica. Żyjemy w czasach absolutnej dominacji lewicy.

Co to jest lewica? Jak można scharakteryzować lewicę? Najkrócej można powiedzieć, że jest to orientacja, która zmierza do radykalnego przekształcenia świata. Myśliciele lewicowi uważają, że jest jakiś fundamentalny błąd w świecie, który można naprawić przez radykalną przemianę, radykalną restrukturyzację świata. Stosując porównanie, można powiedzieć, że trzeba zrobić jakiś wielki,

zasadniczy remont generalny świata, przy czym zawsze było tak, że myśliciele lewicowi identyfikowali jakiś jeden błąd główny. Jeśli ten błąd główny zostanie usunięty, to cała reszta będzie rozwiązana.

REWOLUCYJNE WEHIKUŁY

Jeśli spojrzymy w ten sposób na historię świata zachodniego czy historię Europy, to zobaczymy, że to się sprawdza. Rewolucja francuska – jeden z największych triumfów lewicy – była radykalnym przekształceniem społeczeństwa francuskiego. Wiązało się to z terrorem, z likwidacją całych klas społecznych. Kiedy spojrzymy na rewolucję bolszewicką,

to znowu mamy to samo – terror, radykalne przekształcenie świata, likwidację całych warstw społecznych.

W jednej i drugiej rewolucji mieliśmy kłamliwą retorykę. Retorykę, która z jednej strony była retoryką emancypacji, retoryką wyzwolenia, a nawet niekiedy wolności. Z drugiej strony była to retoryka terroru, retoryka czystki, walki z wrogami, likwidacji, eliminacji, redukcji przeciwnika do robactwa, które powinno być zniszczone.

Te wszystkie rewolucje skończyły się katastrofą. Jeśli przyjrzymy się teraz rewolucji seksualnej z lat 60. XX w., to oczywiście terroru tam nie było. Nie było likwidacji warstw społecznych, ale było radykalne przekształcenie świata. To, co lewica robiła do tej pory – wiadomo było, że się nie udało; wiadomo było, że nacjonalizacja przemysłu, upaństwowienie rolnictwa, likwidacja warstw społecznych się nie udadzą. Wobec tego

cele



Wystąpienie prof. Ryszarda Legutki podczas konferencji FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

były podejmowane przez poprzednie rewolucje – i francuską, i bolszewicką – głównie wiązało się to z atakiem na rodzinę i małżeństwo. Bolszewicy w którymś momencie tę wolną miłość propagowali, ale ogólnie wydawało się, że takie życie prywatne czy życie intymne jednak nie są przedmiotem zainteresowania Biura Politycznego.

Zmiana, która nastąpiła, polegała na tym, że to, co prywatne, stało się tym, co polityczne i co od tej pory miało być regulowane, interpretowane, monitorowane, pilnowane przez nowe pokolenie politruków.

OBOWIĄZUJĄCE SZALEŃSTWO

Cóż to jest ideologia LGBT? Ona jest oczywiście konsekwencją rewolucji seksualnej. To jest ideologia, która właściwie jest bardzo prosta w swoim przekazie, podobnie zresztą jak proste były przekazy rewolucjonistów francuskich i bolszewików. Głosi ona mianowicie, że podział ludzkości na kobiety i mężczyzn jest podziałem wtórnym, nie podstawowym i tak naprawdę konwencjonalnym.

To jest coś niezwykle radykalnego. To jest coś tak radykalnego, że gdybyśmy taką tezę usłyszeli 20–30 lat temu, to byśmy ją zbyli jako rzecz niepoważną, a człowieka, który taką tezę wygłosił, uznalibyśmy za wariata. Wiele się zmieniło w ciągu tych kilkudziesięciu lat. To, co kiedyś uchodziło za tezę szaloną, jest w tej chwili tezą obowiązującą na świecie, to znaczy: bycie mężczyzną i bycie kobietą to sprawa umowna, bo tak naprawdę tożsamość płciowa jest rzeczą do wyboru, jest kreowana przez kulturę, przez społeczeństwo i tym podobne.

No cóż... Teza jak teza... Różne szalone tezy pojawiały się w humanistyce i tzw. naukach społecznych. Ważne jest to, że ta teza nie ma żadnego, powtarzam – żadnego, poparcia w naukach przyrodniczych, to znaczy w biologii, w genetyce. Zero! To jest wszystko wymysł, z całym szacunkiem, filozofów, filozofujących socjologów, antropologów, cokolwiek by to znaczyło, i przedstawicieli tego typu kierunków. Politologów, psychologów społecznych itd. Czyli cokolwiek dobrego byśmy powiedzieli o tych specjalnościach, to jednak teorie przez nich głoszone nie są teoriami twardymi, a więc nie mają one żadnego mocnego

osadzenia empirycznego. Nie ma żadnej twardej metody weryfikacji ich twierdzeń. To są hipotezy, nad którymi można się zastanawiać, można je rozważać.

Jak to się jednak stało, że ta teoria, która jeszcze niedawno mogła być uznana za szaloną, została zaakceptowana? Już mamy na podstawie tego, co mówiłem, pierwszą odpowiedź, mianowicie: jest to całkowita kompromitacja środowiska akademickiego, ponieważ środowisko akademickie od razu powinno tę teorię odrzucić jako rzecz niepoważną. Przedstawiciele biologii, nauk przyrodniczych powinni powiedzieć: „Słuchajcie, to jest wszystko przecież bzdura. Nie ma to żadnych podstaw w materii ludzkiej”. To, że ci akademicy nie zareagowali, nie odrzucili tego, kompromituje ich, tak jak kompromitowało ich dawniej, w czasach komunistycznych, kiedy godzili się na wszystkie marksistowskie wariactwa: odrzucenie genetyki, mechaniki kwantowej, teorii względności i innych rzeczy. Wtedy jednak można było ich tłumaczyć, że się bali, że był terror. Teraz terroru nie ma, ale widać, że od samego początku się poddają.

To tylko część wyjaśnienia. Prawda jest taka, że jeśli lewica przeprowadza tę swoją rewolucję w oparciu o ideologię LGBT – czyli, jak powiedziałem, proponuje radykalny eksperyment społeczny, głęboką inżynierię społeczną – to taka inżynieria społeczna nie może przecież być spontanicznie i bez protestu przyjęta przez ludzi. Przecież nikt przy zdrowych zmysłach, kiedy mu się powie, że podział na mężczyzn i kobiety to podział konwencjonalny i że to w ogóle jest jakiś konstrukt kulturowy, nie przyjmie takiego czegoś.

Im bardziej radykalny jest projekt przekształcenia świata, tym więcej władzy trzeba mieć, żeby ten projekt wdrożyć, i tak jak nacjonalizacja przemysłu, upaństwowienie rolnictwa i te wszystkie inne rzeczy, które działy się w systemach komunistycznych, i te wszystkie rzeczy, które działy się w rewolucyjnej Francji, wymagały potężnej władzy. Tak i teraz ta ideologia jest narzędziem władzy. Władzy, która stosując tę ideologię, staje się coraz mocniejsza i coraz głębiej sięgająca w nasze życie, ponieważ dotyczy spraw niezwykle prywatnych i intymnych, bardzo osobistych.

Nic więc dziwnego, że ideologia LGBT zdobyła taką popularność

znaleziono nowy wehikuł rewolucyjny, którym był seks.

Przyznam się, że kiedy czytałem dawno, dawno temu książki takich autorów jak Herbert Marcuse – jego sławna praca „Eros i cywilizacja” – no to czytałem je z poczuciem, że to nie do wiary, a nawet z poczuciem rozbawienia. No jak to?! Poważny człowiek, niemiecki profesor filozofii, świetnie wykształcony, mówi, że rewolucję światową można dokonać przy pomocy seksu?

Kiedy oglądało się te rozruchy studenckie w latach 60. i 70., to był jakiś niepoważny karnawał rozpuszczonych paniczek i pannic w Europie Zachodniej i w Ameryce i nie wyglądało to poważnie. Ale okazało się, że była to bardzo poważna zmiana, dlatego że życie płciowe człowieka i wszystko, co się z płcią łączy, jest czymś niezwykle głęboko tkwiącym w człowieku i bardzo prywatnym. Sprawy seksu, sprawy płci oczywiście jakoś tam

■ w środowiskach lewicowych, tradycyjnie lewicowych czy lewicowych od wielu dziesięcioleci jak środowisko akademickie także w społeczeństwach, które zostały przeorane przez rewolucję seksualną.

UTRATA TOŻSAMOŚCI

Społeczeństwa zachodnie przeorane przez rewolucję seksualną praktycznie straciły konserwatywną część swojej tożsamości. Zwycięstwo rewolucji seksualnej polegało na tym, że lewica zwyciężyła, a prawica się poddała i praktycznie przestała istnieć. Mamy w tej chwili w świecie zachodnim właściwie triumf jednej partii czy jednej koalicji partyjnej. To jest koalicja lewicowa, bo prawica się zgadza ze wszystkim, co mówi lewica w tej kwestii.

Mieliśmy triumf jednej partii w systemie komunistycznym, mieliśmy triumf praktycznie jednego sposobu myślenia w rewolucji francuskiej i mamy go teraz.

Jeśli społeczeństwa zachodnie zostały tak zmienione przez rewolucję seksualną i lewica stała się naturalnym dla nich punktem odniesienia wobec kapitulacji prawicy, sekularyzacji, atomizmu społecznego i wielu innych rzeczy, to w związku z tym ideologia LGBT jest potężnym narzędziem supremacji, pogłębiania i rozszerzania swojej władzy. Dlatego zatem sytuację mamy w świecie zachodnim taką, że zmienia się prawo, zmienia się obyczaj i stają się one coraz bardziej represyjne wobec wszystkich, którzy nie tylko sprzeciwiają się ideologii LGBT, lecz także mają jakiegokolwiek wątpliwości, i którzy mówią: „Zaraz, zaraz! Ale ja ciągle uważam, że człowiek to albo kobieta, albo mężczyzna”.

Proszę zwrócić uwagę, jak kłamliwy jest ten system. Mówi się nam z jednej strony: „Ideologia LGBT to jest ideologia różnorodności, wielości. Przedtem mieliśmy tylko dwa elementy – mężczyzna i kobieta. Teraz tych elementów mamy wiele, genderów mamy wiele. Jakże ten świat staje się bogaty i różnorodny”. No, ale spróbuj tylko, kolego, powiedzieć, że sądzisz inaczej. Już nie będzie żadnej tęczy. Dostaniesz pałką po głowie!

Świat staje się coraz bardziej represyjny, bo zmienia się prawo. To prawo dotyczy rzeczy bardzo intymnych, a rzeczy bardzo intymne mają swoje zakazanie i odzwierciedlenie w sposobie

To jest ideologia, która podbiła świat zachodni do tego stopnia, że przejęły ją praktycznie wszystkie najpotężniejsze instytucje

myślenia. Wobec tego trzeba bardzo głęboko ingerować w sposób myślenia, trzeba cenzurować język, cenzurować słowa. Dlatego trzeba się pilnować w każdej chwili, żeby przypadkiem nie użyć złego zaimka, bo już są kłopoty – można stracić pracę, można być przedmiotem ostracyzmu.

Ten radykalizm, który wspiera władzę, czyni ją bardziej represyjną, ma też swój drugi aspekt, mianowicie: jeśli ludzie są tak oporni wobec owej ideologii LGBT i ciągle chcą trwać w przekonaniu, że jest kobieta i jest mężczyzna, i nie ma żadnych genderów, to w takim razie nie tylko zastraszanie, nie tylko represje, lecz także indoktrynacja. I tę indoktrynację trzeba zacząć możliwie wcześniej. W przedszkolu? Kto wie, może już za późno... Może jeszcze wcześniej...

KŁAMSTWO I INDOKTRYNACJA

No i stąd się biorą dziwne rzeczy, o których czytamy. W Polsce też zaczynają już się zdarzać. Mam na myśli jakieś zabawki dwupłciowe; sukieneczki, w które ubiera się chłopców od najmłodszych lat, i tym podobne rzeczy. Tak jak w tych dawnych systemach despotycznych mamy więc z jednej strony zastraszanie, a z drugiej mamy indoktrynację. Mamy też język kłamliwy, to znaczy: niby jest różnorodność, ale jeśli ktoś się sprzeciwia, to dostaje po głowie.

Ta kłamliwość sięga jeszcze głębiej, bo zwolennicy LGBT mówią: „Płciowość, tożsamość płciowa jest płynna, a więc można być raz takim, raz innym”. Raz takim, raz innym? Zaraz, zaraz! Nie do końca! Można np. być homoseksualistą, ale jak ktoś nie chce być homoseksualistą, bo mu to nie odpowiada, bo chciałby założyć rodzinę, ożenić się, mieć dzieci i chciałby się leczyć, to tego już nie wolno. Tego typu terapie są zakazane i są zakazane! Tego robić nie wolno! Płynność płynnością, ale o takich rzeczach mowy nie ma.

Podobnie w tej chwili mamy z tą niby transtożsamością, kiedy tak naprawdę porywa się coraz młodsze dzieci, które mają jakieś kłopoty tożsamościowe, które zdarzały się zawsze od początku świata. Te potężne instytucje porywają te dzieci i często bez zgody rodziców umożliwiają im nieodwracalne operacje na ich ciele, mające na celu biologiczne dostosowanie ich do tego, co im się wmawia czy same sobie wmawiają, jako ich płciowa tożsamość.

Wszystko to jest bardzo groźne i wszystko to na razie nie zamierza wyhamować, ale jest jeszcze groźniejszy aspekt i na to chciałem wskazać na samym końcu: to jest ideologia, która podbiła świat zachodni do tego stopnia, że ją praktycznie przejęły wszystkie najpotężniejsze instytucje. To już nie jest zabawa akademików. To nie jest zabawa pojedynczych ludzi, którzy chcą robić eksperymenty ze swoją tożsamością czy swoim ciałem. To jest potężna struktura międzynarodowa. Za tym stoją rządy, za tym stoją najpotężniejsze media, uczelnie, szkoły, instytucje międzynarodowe, narodowe i międzynarodowe trybunały, Unia Europejska, instytucje europejskie. Wszystkie te instytucje przyjęły tę ideologię jako swoją i ją wdrażają z coraz większą mocną i coraz większą energią. Chcą stworzyć świat, w którym nie będzie mężczyzn i kobiet, tylko będą gendery. Kto ten świat stwarza? Czy ten świat stwarzają osoby trans, homoseksualiści, aseksualiści czy rozmaite typy genderowe? Niekoniecznie! Ten świat stwarzają kobiety i mężczyźni. W ogromnej mniejszości stwarzają kobiety i mężczyźni, którzy nie mają żadnych tęczyowych tożsamości, a nawet wprost przeciwnie. Dlaczego to robią? Już mówiłem, ale powtórzę: część z nich robi to ze strachu, część robi to dla władzy.

A zatem na naszych oczach tworzy się potężny, globalny, a przynajmniej obejmujący cały świat zachodni system despotyczny, który jak dotąd ciągle jeszcze zachowuje energię i ciągle się jeszcze rozwija. Myślę, że z powagą tego zagrożenia nie wszyscy sobie zdają sprawę, nawet jeżeli zżymają się na ideologię LGBT, krytykują ją, nawet z nią walczą, ale stawka tu jest znacznie poważniejsza, ponieważ zagrożenie jest najpoważniejsze, jakie można sobie wyobrazić.

Opracował: Tomasz D. Kolanek



Paweł Lisicki, redaktor naczelny „Do Rzeczy”, podczas otwarcia konferencji
FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

Polska kontra imperium LGBT



Tomasz D. Kolanek

W zorganizowanej przez „Do Rzeczy” konferencji „Wolność sumienia i ideologia LGBT” eksperci dyskutowali na temat zagrożeń, które niesie ze sobą ideologia LGBT, a także przedstawiali konkretne rozwiązania pozwalające skutecznie przeciwstawiać się „tęczowej rewolucji”

W wydarzenie, które odbyło się 12 października, otworzył redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy” Paweł Lisicki, który przypomniał, że na początku miesiąca odbyła się inna konferencja, również zorganizowana przez tygodnik, którym on kieruje, poświęcona ochronie polskiej pamięci historycznej. – Wiele osób może zapytać: Jak ma się obrona polskiej pamięci historycznej do kwestii ideologii LGBT? Moim zdaniem to są tak naprawdę dwie strony tego samego medalu, ponieważ troska o polską pamięć historyczną; troska o to, żebyśmy pozostali Polakami, i żeby to, co nam przekazały poprzednie pokolenia, dalej trwało, dalej się zachowywało, dalej było ważnym punktem odniesienia dla kolejnych pokoleń, zakłada pewną wspólną tożsamość kulturową i pewne wspólne jej pojmowanie – podkreślił Lisicki.

Publicysta przypominał, że wszystkie poprzednie pokolenia Polaków, które walczyły o wolną ojczyznę, potrafiły zdobyć się na wysiłek walczenia o niepodległą Polskę. Dlaczego tak się działo? Zdaniem Lisickiego „taka postawa jest w nas zakodowana”. – To jest pewien gen przenoszony z pokolenia na pokolenie, dzięki któremu dalej jesteśmy Polakami – wyjaśniał. – Nie rozrzedziliśmy się, nie zniknęliśmy mimo wszystkich doświadczeń, które nasz naród przeżył. Tym punktem, tym kościem odniesienia dla nas jest tradycja chrześcijańska wyrażana przez większość Polaków w tradycji katolickiej. W tym sensie obecna ideologia LGBT, którą ja postrzegam jako kontynuację ideologii komunistycznej i innych tego typu radykalnych ideologii, które pojawiły się w połowie XIX w., jest w oczywisty sposób ogromnym wyzwaniem i zagrożeniem dla tego kodu kulturowego, który nam został przekazany.

O LGBT „DOBRE ALBO WCALE”

Po tych słowach redaktor PCh24.pl Tomasz D. Kolanek zaprosił Pawła Lisickiego do dyskusji podsumowującej 19 dodatków poświęconych ideologii LGBT, które przez trzy lata były publikowane na łamach tygodnika „Do Rzeczy”.

– Nie ukrywam, panie redaktorze, że mam bardzo duży problem, ponieważ nie wiem, o czym możemy tak naprawdę powiedzieć, a o czym nie, z dwóch powodów. Po pierwsze, algorytmy YouTube działają, jak działają, i boję się, że jeśli jeszcze raz użyjemy skrótu LGBT, to nasza transmisja on-line zostanie wyłączona. Po drugie, możemy zostać oskarżeni o „mowę nienawiści” i usłyszeć, że „tygodnik „Do Rzeczy” mówi od rzeczy”... – powiedział na wstępie Kolanek, nawiązując do ustnego uzasadnienia wyroku, który zapadł na początku listopada w sprawie, której powodem był Lisicki.

Rzecz dotyczyła zdjęcia przez YouTube dwóch filmów z 2019 r., w których autor „Systemu diabła” tłumaczył, jak wygląda katolickie podejście do kwestii homoseksualizmu, LGBT itd. – YouTube to zdjął, a ja tę decyzję zaskarżyłem, wnosząc powództwo do sądu cywilnego. Chodziło o ochronę moich dóbr osobistych i o prawo wypowiedzi. Sąd odrzucił to powództwo. Najciekawsze było uzasadnienie – tłumaczył Lisicki. – W zasadzie sędzia oparła się na twierdzeniu, że istnieje w polskim

Szwajcarski pisarz Alain Soral został skazany na 60 dni więzienia za określenie „gruba lesbijka”

prawie coś takiego jak mowa nienawiści. Mimo że jest ona niezdefiniowana, to ma wynikać z innych przepisów. Potem w tym samym ustnym uzasadnieniu pani sędzia stwierdziła: „mimo braku definicji mowy nienawiści”. Tak więc odwołując się najpierw do pojęcia, które rzekomo istnieje, sama dalej mówiła, że ono nie istnieje.

Redaktor naczelny „Do Rzeczy” tłumaczył, dlaczego tak ważna jest kwestia „mowy nienawiści”. – Na początku października pojawiła się informacja, że szwajcarski pisarz Alain Soral został skazany na 60 dni więzienia za to, że określił swoją interlokutorkę mianem „grubej lesbijki”. Rozumieją państwo? W Szwajcarii za użycie nie do końca eleganckiego określenia sąd skazał na 60 dni więzienia. To nie jest państwo, które zwykle szafuje tego typu karami nawet za znacznie poważniejsze sprawy, a tu chodziło co najwyżej o niemądrą wypowiedź – zaznaczył.

Dlaczego to było możliwe w Szwajcarii? Ponieważ w 2020 r. odbyło się tam referendum dotyczące kwestii wprowadzenia do prawodawstwa terminu „mowa nienawiści”. – W oczywisty sposób to określenie jest instrumentem pozwalającym zamykać ludziom usta i jest wykorzystywane przez środowiska lewicowo-radykalne, żeby takie debaty jak nasza w ogóle nie mogły się odbywać. Teraz zauważymy zabawną rzecz: w Szwajcarii do wprowadzenia przepisu o „mowie nienawiści” potrzebna była większość narodu. W Polsce wystarczy jeden sędzia – ubolewał Lisicki.

CENZURA LGBT

Tomasz Kolanek zauważył, że tzw. mowa nienawiści i cenzura to niejedyny niebezpieczeństwa związane z „tęczową rewolucją”. – Dlaczego JESZCZE państwo polskie ma obowiązek chronić obywateli przed ideologią LGBT? – pytał.

W odpowiedzi Paweł Lisicki przypomniał, że „państwo polskie na szczęście wciąż musi się trzymać polskiej konstytucji, przynajmniej co do zasady”. – Ochrona

wartości chrześcijańskich i tradycji chrześcijańskiej jest w tej konstytucji zapisana. W tej konstytucji zapisana jest także wolność słowa, wolność opinii, wolność wypowiedzi. W poszczególnych ustawach wartości i prawa obywatelskie są ugruntowane – podkreślił, po czym dodał, że niewielu zdaje sobie sprawę, iż trwający spór z „tęczową rewolucją” dotyczy tego, czy człowiek ma w ogóle prawo oceniać rzeczywistość i innych ludzi, czy ma prawo wyrażać swój sąd, również negatywny i krytyczny.

– To jest ta pułapka, którą próbują wprowadzić działacze LGBT. Próbuje oni zrównać krytyczną ocenę z nienawiścią. To jest kompletny absurd. Podam bardzo prostą analogię. Uczeń zostaje wezwany do tablicy na lekcji matematyki, aby rozwiązać proste równanie arytmetyczne. Robi to źle. Czy nauczyciel, który go skrytykuje, mówiąc: „Pomyliłeś się, musisz się poprawić”, przejawia w stosunku do tego ucznia nienawiść? – pytał redaktor naczelny „Do Rzeczy”.

Lisicki przypomniał, że nasza cywilizacja została zbudowana na tym, iż uważamy, że istnieje obiektywna prawda dotycząca natury człowieka, tego, kim człowiek jest, na czym zasadza się jego godność, jak rozpoznajemy prawdę i odróżniamy ją od błędu. – To są wszystko rzeczy podstawowe. Bez tego byłibyśmy barbarzyńcami. Niebezpieczeństwo wynikające z wprowadzenia przez genderyzm nowych instrumentów myślowych czy pojęciowych polega na tym, że gdyby się do nich zastosować, gdyby uznać, że istnieje w prawie „mowa nienawiści” jako pewien punkt odniesienia, to natychmiast te rzeczy, o których wspominałem, muszą przestać istnieć, to znaczy: znikają wartości chrześcijańskie z naszej konstytucji, znika pojęcie małżeństwa jako relacji między mężczyzną a kobietą, znika możliwość swobodnej oceny i wydawania opinii, znikają swoboda słowa i swoboda debaty publicznej. Wszystko to za pośrednictwem tego jednego wytrycha, którym ruchy lewicowe się posługują – alarmował.

PAŃSTWO ZAWIODŁO?

– Czy sugeruje pan, że państwo polskie niedostatecznie broni obywateli przed ideologią LGBT? – pytał Tomasz Kolanek. Na co Paweł Lisicki odparł: „W tej materii ochrony Polaków przed

ideologią LGBT moim zdaniem rząd robi zdecydowanie za mało”.

Dlaczego tak się dzieje? W ocenie publicysty jednym z powodów, ale na pewno nie kluczowym, była obawa rządu Zjednoczonej Prawicy przed otwarciem kolejnego frontu w starciu z Brukselą. – Tych frontów jest dużo w sensie retorycznym, ale w sensie praktycznym do tej pory mieliśmy raczej do czynienia z kapitulacją niż rzeczywistą walką – podkreślił.

Zdaniem autora „Epoki Antychrysta” władza w Polsce powinna w kwestii przeciwstawiania się ideologii LGBT postępować tak jak Węgry, gdzie rząd Viktora Orbána wprowadził dwie kluczowe ustawy. Pierwsza dotyczyła ochrony obywateli przed „tęczą propagandą”, a druga wprowadzała zakaz tzw. zmiany płci do 18. roku życia.

– Pamiętam, jak w 2014 r., zanim jeszcze obecna prawica doszła do władzy, opublikowałem komentarz mówiący o tym, że konieczną rzeczą jest napisanie ustawy chroniącej nas przed propagandą homoseksualną. Oczywiście wtedy ten komentarz został przychylnie przyjęty przez wielu polityków prawicy, ale – jak łatwo zauważyć – kompletnie nic z tego nie wynikło – wskazywał Lisicki. I dodawał: – Dlaczego to jest takie ważne? Walka, o której tutaj mówimy, to nie jest walka między aktywistami czy jakąś grupką radykalnie nastawionych ludzi, którzy próbują społeczeństwu coś narzucić. Trzeba pamiętać, że za tą grupą stoją gigantyczne pieniądze. To jest swego rodzaju sojusz dawnej radykalnej lewicy z obecnymi globalnymi kapitalistami, czyli wielkie korporacje i radykałowie razem plus państwa, które uznają tę ideologię za własną. W tym wypadku mamy do czynienia nie tylko z państwami narodowymi, lecz także z organizacjami międzynarodowymi, takimi jak UE.

Mając to wszystko na uwadze, fakt, że większość polskiego społeczeństwa wciąż jest konserwatywna, staje się czymś zupełnie bez znaczenia. – W starciu z tymi gigantami ludzie są często kompletnie bezradni, a obecny system prawny nie daje im instrumentów, które pozwoliłyby się temu przeciwstawić – wyjaśnił redaktor naczelny „Do Rzeczy”. Jako przykład przywołał tzw. Deklarację LGBT, którą podpisał prezydent Warszawy Rafał Trzaskowski. – Gdyby te ustawy, o których mówię,

weszły w życie, to można by próbować zaskarżyć ten dokument, ponieważ na szczęście jest jeszcze tak, że prawo ustanawiane przez samorządy nie jest ponad prawem państwowym. Nie możemy tego jednak teraz zrobić, ponieważ nie mamy instrumentów – mówił Lisicki. – Możemy co najwyżej powiedzieć, że to nas uraża bądź obraża nasze uczucia. To, co zrobiły Węgry w tej konkretnie materii, wydaje mi się tym, co Polska powinna zrobić, a czego nie robi. Moim zdaniem to fundamentalny błąd. Należało od samego początku to właśnie zrobić, to wprowadzić i pod tym względem uważam, że rząd ze swojej funkcji obrońcy ładu konstytucyjnego, który jest zapisany w Polsce, się nie wywiązał.

„IMPERIUM SODOMY” SIĘ NIE ZATRZYMUJE

Na koniec Tomasz Kolanek przywołał fragment książki „Imperium Sodomy i jego sojusznicy”, w którym Paweł Lisicki opisał sprawę z października 2022 r.:

„Na początku października sędzia z Nowego Jorku, Karen May Bacdayan, po raz pierwszy w dziejach cywilizacji zachodniej ogłosiła, że związki poliamoryczne upoważnione są do takiej samej formy ochrony prawnej jak związki par. Trzy osoby będące w związku powinny być chronione tak samo jak związek dwóch osób – uznał sąd. Brzmi egzotycznie, nieprawdaz? Więc teraz garść szczegółów. Uwaga, pojawia się komplikacje. Trzech panów razem ze sobą na przemian to zwiastuje problemy”. Autor pisał dalej: „Proces przed nowojorskim sądem cywilnym dotyczył praw do mieszkania trzech homoseksualistów: Scotta Andersona, Markyusa O’Neilla i Roberta Romano. Formalnie mieszkanie należało do Romano, który był w homoseksualnym »związku małżeńskim« z O’Neillem. Po śmierci Romano właściciel podał sprawę do sądu w celu wyeksmitowania Andersona. Mimo że Anderson formalnie nie był »mężem« zmarłego Romano, sąd uznał, że wszyscy trzej tworzyli jeden związek poliamoryczny, równy małżeństwu, i że

nikogo z dwójki pozostałych po śmierci Romano nie wolno eksmitować. Sąd posłużył się też określeniem »nietradycyjny członek rodziny« – czyli ktoś, kto chociaż formalnie nie może być mężem, bo określenie to jest zastrzeżone do jednej z osób pary, faktycznie jako taki nim jest w szerszym układzie”.

W swojej decyzji sędzia Bacdayan stwierdziła, że istnienie „triady”, układu, w którym są trzy osoby, nie powinno automatycznie odrzucać roszczenia którejkolwiek z nich do ochrony przed eksmisją. „Dlaczego więc, poza bardzo realną możliwością domniemanego sprzeciwu społecznego, ograniczenie do dwóch osób jest wprowadzane do definicji związku rodzinnego w celu otrzymania takiej samej ochrony przed eksmisją przyznawanej prawnie sformalizowanym lub związkom krwi? Czy dwa to słowo klucz dla monogamii? Dlaczego osoba musi być oddana jednej osobie tylko w pewien określony sposób, aby cieszyć się stabilnością w mieszkaniu po odejściu ukochanej osoby? Dlaczego związek musi charakteryzować się »wyłącznością«?” – argumentowała sędzia.

Lisicki przypomniał, że wyrok w tej sprawie wydał ten sam sąd, który w 1980 r. jako pierwszy uznał istnienie tzw. małżeństw jedнопłciowych. – W 2015 r. Sąd Najwyższy uznał, że to prawo powszechnie obowiązujące. Teraz mamy wyrok, że związek trzech panów stanowi małżeństwo. Jak sobie przeskończymy 30 lat w przyszłość, to bardzo możliwe, iż kolejne sądy będą uznawały, że można rozszerzyć definicję małżeństwa na znacznie większą grupę osób – dodał. I podsumował: – Jeśli zostaje zanegowane istnienie natury i podział na płeć, to nie ma żadnego logicznego powodu odmawiać prawa do małżeństwa większej grupie ludzi, np. jakiemuś ludzkiemu stadu pięciu, dziesięciu, dwudziestu, czy innej dowolnej grupie ludzi, ponieważ nigdzie nie jest zdefiniowane, dlaczego tylko dwie osoby. Zresztą sąd nowojorski dokładnie to podniósł: ponieważ nie jest zdefiniowane, że małżeństwo stanowią dwie osoby, to dlaczego mamy się ograniczyć do pary, a nie rozszerzyć tego? Moim zdaniem jest tylko kwestią czasu, kiedy w poszczególnych państwach zachodnich, po kolejnym przełamywaniu barier, zostanie to wprowadzone w życie.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Paweł Lisicki: „W materii ochrony Polaków przed ideologią LGBT rząd robi za mało”

Rewolucja, masoni i wielki biznes



Uczestnicy pierwszego panelu konferencji podczas debaty

FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ



Tomasz D. Kolanek

„Rewolucyjne przyspieszenie. Kto i dlaczego chce narzucić Polsce agendę LGBT?” – taki tytuł nosił pierwszy panel dyskusyjny konferencji „Wolność sumienia i ideologia LGBT”, w którym udział wzięli: Rafał A. Ziemkiewicz (tygodnik „Do Rzeczy”), Marek Jurek (marszałek Sejmu V kadencji) oraz dr Wojciech Golonka (Instytut Dziedzictwa Europejskiego Andegavenu)

Jako pierwszy w panelu głos zabrał Marek Jurek, który podkreślił, że owe przyspieszenie, jeśli chodzi o realizację „tęczowej agendy”, to nie jest kwestia kilku ostatnich lat. – Kiedy kierowałem Sejmem, a było to 17 lat temu, zaprosiłem pastora zielonoświątkowego ze Szwecji, Åke Greena. Zacytował on pierwszy rozdział Listu do Rzymian, gdzie św. Paweł opisuje erupcję homoseksualizmu jako szczególnie objaw kryzysu ówczesnego świata. Zrobił to w kontekście krytyki ustaw o partnerstwach, o nadawaniu sta-

tusu prawnego relacjom homoseksualnym w Szwecji i miał za to proces. Dlaczego tak się dzieje? Z prostego powodu. De Maistre już 200 lat temu mówił, że rewolucja francuska zapoczątkowała rozpad społeczeństwa – wyliczał.

W jego ocenie ten rozpad postępuje powoli, ale systematycznie, a jego podstawą jest odrzucenie „paradygmatu chrześcijańskiego”, np. odrzucenie rodziny jako wartości. – Jeśli to odrzucimy, jeżeli stwierdzimy, że jest to forma kultury opresyjnej, że jest to rozstrzygnięcie arbitralne, to w kon-

sekwentny sposób pojawia się i wyłania nowa etyka – mówił Marek Jurek. – Unia Europejska jest organem tej rewolucji. Ona jest teatrem tego kryzysu cywilizacji europejskiej, który w politycznym wymiarze polegał na tym, że kultura skrajnej lewicy została najpierw przyjęta przez socjaldemokrację, potem przez partie liberalne, a na końcu została przyjęta w zachodniej Europie przez tzw. centroprawicę.

Były marszałek Sejmu gorzko zażartował, podkreślając, że „tęczowa rewolucja” nie zatrzymuje się, tylko prze naprzód i być może już niedługo homoseksualizm będzie uznawany za... postawę konserwatywną, ponieważ co rusz genderyści ogłaszają „nowe płcie”, nowe orientacje seksualne i tożsamości płciowe. – To jest kompletna deregulacja moralna i demon-taż natury ludzkiej – ocenił.

MASONI I LGBT

Doktor Wojciech Golonka starał się wskazać „głębsze ośrodki decyzyjne” rewolucji LGBT. – Redaktor Lisicki powiedział, że traktuje ideologię LGBT

jako zagrożenie podobne do komunizmu, a nawet kontynuację komunizmu. Był taki francuski katolicki działacz Jean Ousset, który w 1968 r., kiedy miała miejsce rewolucja seksualno-lewicowa we Francji, powiedział, że nie należy utożsamiać komunizmu z marksizmem, bo marksizm jest czymś znacznie szerszym. Komunizm jest tylko jedną z odsłon marksizmu, a sam marksizm – jak pisał Ousset – ma na celu zniszczyć w społeczeństwie wszystko to, co może stawiać opór rewolucji, czyli należy zniszczyć własność, armię, przywiązanie do ojczyzny, rodzinę, religię. Jean Ousset powiedział, że byłoby rzeczą infantylną sprowadzać tę walkę z marksizmem tylko do kwestii własności, bo marksizm może przybrać tysiąc innych twarzy po to właśnie, żeby osłabiać społeczeństwo – mówił Golonka.

W ocenie prezesa Instytutu Dziedzictwa Europejskiego Andegavenu mamy do czynienia ze zjawiskiem, które „jest psychologicznie zrozumiałe”. Grupa mniejszościowa, która żyje w sposób, który możemy uważać za zdeprawowany, chce być traktowana jako w pełni cnotliwa i w związku z tym domaga się takich samych praw jak wszyscy inni. Pytanie brzmi: W jaki sposób tego typu mniejszość jest w stanie mieć oddziaływanie na tak uniwersalną skalę? – mówił prezes Instytutu. – Odpowiedź na to pytanie daje w książce „Aby On królował” Jean Ousset. Pokazał on bardzo ciekawy przypadek, a mianowicie dokumenty masonerii z XIX w., która mówiła wprost: „Jeżeli chcemy zaatakować Kościół i go zniszczyć, to musimy zaatakować jego punkty ostoi, a mianowicie rodzinę. Jeżeli chcemy zaatakować rodzinę, to musimy zdeprawować kobietę”. Masoneria miała wówczas określony plan działania, czyli zaatakowanie Kościoła katolickiego poprzez rodzinę, poprzez rozbięcie rodziny, poprzez deprawację kobiety. Masoneria dzisiaj nie kryje się z tym przynajmniej we Francji, że wszystkie prawa, tzw. prawa społecznościowe, są najpierw opracowywane w łozach, a potem idą do parlamentu. Myślę, że ten wątek pewnego źródła „zbrojnego i intelektualnego ramienia rewolucji”, którym jest masoneria, pozwala zrozumieć pewnego rodzaju powszechność tego działania na skalę światową.

Na koniec swojego wystąpienia dr Golonka zwrócił uwagę, że celem rewolucji jest totalne przemienienie społeczeństwa,

Rafał A. Ziemkiewicz:

**„W Polsce nie ma
żadnej społeczności
LGBT”**

a kwestia LGBT jest tylko jednym ze środków do osiągnięcia tego. – Czy Klaus Schwab czy George Soros są masonami? Nie znam odpowiedzi na to pytanie, ale ewidentnie wpisują się w wizję antropologiczną masonerii, w jej „credo” antropologiczne, i można powiedzieć, iż to jest normalne, że tego typu osoby będą oddziaływały poprzez swoje wpływy, swoje finanse na rzecz realizacji tych planów – ostrzegał.

KTO ZA TO PŁACI?

Karol Gac, który prowadził panel, zadał pytanie o wielki biznes i wielkie pieniądze. – Rewolucja LGBT nie byłaby możliwa, gdyby nie pieniądze, wpływy, naciski korporacji i wielkich firm. Jak to jest z tym aspektem – wielki biznes i ideologia LGBT? Czy to jest tylko sztandar, który pozwala tym firmom się kreować i pozycjonować, czy są tu jakieś ukryte zamiaty? – zapytał redaktor naczelny portalu DoRzeczy.pl.

– Chodzi przede wszystkim o zysk – odpowiadał trzeci z panelistów, Rafał A. Ziemkiewicz. – To jest ogromnie korzystne dla plutokracji, neofeudatów – czy jak byśmy nazwali magnatów z Davos i dla ich koncernów. W związku z tym na pytanie, czy Soros i Schwab są masonami czy nie są, ja odpowiadam: nie muszą być. Im się po prostu opłaca to, co robią. Może wiedzą, że jest to agenda masońska. Może wierzą, że wymyślił im to wszystko Harari. To nie ma jednak wielkiego znaczenia.

Autor „Strollowanej rewolucji” przywołał prowadzone od wielu lat badania Uniwersytetu w Chicago na temat ludzkiej seksualności. – Między innymi oceniał oni w nich skalę homoseksualizmu i zawsze wychodzi im, że dotyczy to od 1 do 2 proc. populacji, z tym że oni oddzielają homoseksualizm „czysty” od zachowań homoseksualnych, które teoretycznie jest w stanie podjąć każdy, i to już jest kwestia kulturowa. To rzeczywiście wzrasta w tej chwili na Zachodzie, bo młodzi ludzie są

bombardowani różnego rodzaju pornografią i zachętami do podejmowania tego rodzaju „eksperymentów” – mówił Ziemkiewicz. – Ale jeśli przyjąć nawet, że zachowania homoseksualne plus homoseksualizm to 3 proc. populacji, to by znaczyło, że w Polsce jest niecałe 1,5 mln homoseksualistów, a już takich twardych to ok. 0,5 mln. Ilu z nich jest zaangażowanych w ruch LGBT? 50? I to tylko dlatego, że ogromne pieniądze przychodzą na to z Zachodu. W Polsce nie ma żadnej społeczności LGBT. Być może jest 1,5 mln ludzi, którzy podpadają pod te hasła, ale oni nie tworzą żadnej wspólnoty. Po prostu są oni częścią polskiego społeczeństwa. I w to normalne społeczeństwo nagle wchrzania się jakiś ruch LGBT, który chce wyzwalać. To jest podstawowa rzecz. To przychodzi z zewnątrz. Ta ideologia jest tu zaszczipiana.

Publicysta „Do Rzeczy” przywołał oficjalne dane z Senatu USA. – Koalicja lobbystyczna na rzecz LGBT to ponad 400 największych światowych koncernów – wyliczał. – Praktycznie wszystkie największe firmy są zarejestrowane przy amerykańskim Senacie jako lobbyści wspierający ruch LGBT. Te firmy mają bilionowe obroty, miliardowe zyski. Jeśli ktoś siedzi na takiej kasie i mówi, że jest prześladowaną mniejszością, to ja go nie szanuję, cytując Kazika Staszewskiego.

Ziemkiewicz próbował też wyjaśnić, dlaczego firmy finansują tę ideologię: – Dlaczego ta kasa płynie: w największym skrócie jest to element tego, co w książce nazwałem „strollowaną rewolucją”. Mamy do czynienia z nowym rodzajem tyranów na Zachodzie, którzy się po raz pierwszy wywodzą z nowych środowisk. Dotychczas zawsze tyranów mieliśmy ze środowisk posługujących się siłą – jeśli ktoś im stawał na drodze, to ich naturalnym odruchem było użycie przemocy – wsadzenie do więzienia, zabicie, zesłanie na Sybir etc. Teraz buduje się nowy rodzaj tyranii przez ludzi wywodzących się z biznesu. Oni mają inne nawyki. Jeśli ktoś wielkiej korporacji stoi na drodze, to co ona robi? Nie nasyła pałkarzy czy policji. Wykupuje... Po prostu... 70 proc. Internetu należy obecnie do tych dwóch koncernów – Facebooka i Google. Jeśli pojawia się gdziekolwiek jakikolwiek start-up, to oni go z miejsca wykupują.



Ze Sławomirem Olejniczakiem,
prezesem Stowarzyszenia im. ks. Piotra Skargi
rozmawia Tomasz D. Kolanek

To jest wojna o polską duszę



TOMASZ D. KOLANEK: Ideologia LGBT w dokumentach UE dotyczących azbestu. Związki zawodowe LGBT we Francji. Parytety LGBT w USA. W wielu „mniej postępowych” krajach normą są tzw. małżeństwa LGBT. W Polsce pomimo kampanii propagandowej, pomimo ogromnych pieniędzy płynących z Zachodu, pomimo działań niektórych samorządów etc. nadal nie udało się zainstalować ideologii LGBT, tak jak chciały tego „rewolucja”. Dlaczego?

SŁAWOMIR OLEJNICZAK: Aby odpowiedzieć na pana pytanie, trzeba uwzględnić kilka kwestii. Po pierwsze, aspekt historyczny. Mam tutaj na myśli, w dobrym znaczeniu tych słów, zapóźnienie rewolucyjne Polski. Paradoksalnie są tutaj dwa czynniki, które na to wpłynęły. Jednym z nich była... żelazna kurtyna, która w pewnym sensie powstrzymywała wpływy zachodniej rewolucji seksualnej z przełomu lat 60. i 70. Drugi czynnik to inne podejście do świata ówczesnych komunistów, którzy chcieli stworzyć społeczeństwo zdyscyplinowane i zmilitaryzowane. Stąd też komuniści stawiali pewien opór rewolucji seksualnej, która szła z Zachodu. Oni potrzebowali społeczeństwa bardziej przypominające-

go armię czekającą w koszarach do ataku niż społeczeństwa rozwiązłego, dążącego do anarchizacji życia publicznego.

Drugi aspekt to wciąż silny wpływ Kościoła katolickiego, który cały czas formował i formuje postawy moralne i obyczajowe wśród Polaków. Kościół jest czynnikiem społecznym, historycznym, cywilizacyjnym i religijnym. Polacy wciąż chodzą do kościoła, wciąż korzystają z sakramentów, wciąż słuchają nauczania kapłanów i nie mam wątpliwości, że dzięki temu wszystkiemu oraz działaniu łaski Bożej udaje się nam wzmacniać antyrewolucyjne postawy, praktykować cnoty i dobre obyczaje w społeczeństwie. Nie znaczy to jednak, że stuprocentowo jesteśmy zaimpregnowani i nic się nie dzieje. Widzimy przecież, że rewolucja nie śpi i jak wielu sprzeciwia się faktowi, że Polacy wciąż chcą być katolikami.

Trzeci element: kiedy pojawiły się inicjatywy lobby LGBT i wszystkich grup rewolucyjnych, to w odpowiedzi na to udało się zmobilizować wielu ludzi, którzy wywierali presję polityczną na rządzących. Przywołam tutaj pierwsze lata XXI w.,

kiedy Polska wchodziła do UE. Wówczas rząd koalicji SLD i PSL chciał zalegalizować w Polsce po cichu związki partnerskie. Wtedy m.in. Stowarzyszenie im. ks. Piotra Skargi podniosło alarm. Poprzez kampanie społeczne udało się nam dość skutecznie tego typu pomysły zablokować, bo od prawie 20 lat związków partnerskich nie udało się w Polsce zalegalizować.

Jak ocenia pan obecne podejście polskiego społeczeństwa do związków partnerskich czy tzw. związków jednopłciowych?

Dwadzieścia lat temu bez wątpienia było inne nastawienie społeczne. Wtedy akcja alarmująca była mocną akcją prewencyjną, która pociągnęła za sobą zdrowe reakcje w środowiskach politycznych, nawet tych związanych z lewicą. Mówiąc krótko: ludzie po prostu byli zszokowani, że próbuje się coś takiego szybko i na siłę narzucić w Polsce ustawą.

Obecnie musimy mieć świadomość, że trwa swoisty kulturkampf mocno podkreśniany przez media. Zmienia się kontekst polityczny, zmienia się nastawienie. Ludzie coraz częściej są obojętni, a zmiany



FOT. PIOTRSKARGATV.YOUTUBE

stanowiska, a nie rozmyte i oględne, aby zadowolić wszystkich dookoła.

Dlaczego rewolucjoniści wzięli na swój celownik właśnie Polskę? Dlaczego chcą oni na siłę zainstalować w naszej ojczyźnie ideologię LGBT?

Rewolucja ma wymiar globalny. Nie jest tak, że zamyka się ona na konkretnym obszarze i w poszczególnych krajach.

Rewolucja jest procesem zorganizowanej dechrystianizacji, który toczy się od przynajmniej siedmiu wieków, o czym pisał prof. Plinio Corrêa de Oliveira. Rewolucja LGBT to kolejny etap tejże dechrystianizacji.

Kraje, które nadal są uważane za bastiony katolicyzmu czy mocno katolickie, są na szczególnym celowniku rewolucji, dlatego Polska jest dziś tak mocno atakowana przez ideologię LGBT. Nie mam jednak wątpliwości, że jest to tylko jeden z elementów dechrystianizacji.

Tak naprawdę jest to walka o nasze dusze; o to, żeby nie tylko w perspektywie doczesnej mieć rząd dusz i je kontrolować, ale również żeby w perspektywie wiecznej stworzyć społecznie, kulturowo optymalne warunki dla potępienia, a nie dla zbawienia. Kultura, cywilizacja chrześcijańska mają za zadanie na poziomie doczesnym wspierać praktykowanie cnót i życie zgodnie z Dekalogiem i Ewangelią, co ostatecznie ma sprzyjać osiągnięciu zbawienia.

Stąd też tak wściekły atak rewolucji na tę „zapóźnioną” w procesie dechrystianizacji Polskę.

W ostatnich latach mieliśmy w Polsce do czynienia z prawdziwą lawiną, mówiąc najdelikatniej, prowokacji LGBT. Zdecydowana większość z nich polegała na profanacji kościołów, katolickich symboli religijnych, obrazów i figur Chrystusa oraz Matki Bożej. Dlaczego rewolucjoniści LGBT wybrali właśnie tę formę „aktywności”? Nie mogą w trochę bardziej cywilizowany sposób przedstawiać swoich „racji i argumentów”?

Proszę nie mówić w tym przypadku o cywilizacji, bo mamy raczej do czynienia z anti-cywilizacją.

Rewolucjoniści zawsze uciekali się do tego rodzaju prowokacji. Zawsze tego typu działania miały jeden cel: nadszarpnąć autorytet instytucji Kościoła i osłabić morale wyznawców Chrystusa.

Jeśli nie ma zdecydowanej reakcji na takie działania, to obnaża to słabość czy

bierność atakowanej strony, którą w tym wypadku są Kościół katolicki i jego wierni.

Na szczęście Polacy reagują na tego typu prowokacje – i to zarówno ci wierzący, jak i niewierzący, którzy uważają, że pewnych symboli, obrazów i wartości nie wolno szargać, profanować. Niestety, bardzo często nie mogą oni liczyć na pomoc państwa, które podjęłoby skuteczne kroki w tego typu sprawach...

Niestety, ma pan rację. W tym wypadku aparat państwa nie działa i prawo jest łamane.

Natomiast prawdą jest, że Polacy reagują. Pamiętamy tzw. czarne marsze w październiku 2020 r., kiedy staliśmy w obronie kościołów przed ewentualnymi profanacjami czy aktami wandalizmu. Inny przykład: w roku 2019 Stowarzyszenie im. ks. Piotra Skargi zorganizowało akcję w obronie metropolity krakowskiego, abp. Marka Jędraszewskiego „Murem za arcybiskupem”, który został zaatakowany za publiczne nazwanie ideologii LGBT „tęczową zarazą”. W ciągu zaledwie kilku dni udało nam się zebrać ponad 50 tys. podpisów z głosami poparcia dla hierarchy oraz zorganizować publiczny Różaniec pod krakowską kurią, w którym wzięły udział tysiące osób.

Reakcje społeczne w Polsce są więc możliwe i mobilizują coraz więcej osób. Musimy więc działać, nie możemy się bać, gdy polskie prawo nadal daje nam swobodę do publicznego wyrażania sprzeciwu wobec inicjatyw LGBT, w odróżnieniu od większości krajów zachodnich, gdzie takie działania byłyby zakwalifikowane jako tzw. mowa nienawiści, a ich organizatorzy naraziliby się na sankcje prawne.

Jeszcze jedna kwestia: prowokacje ruchu LGBT, o których rozmawiamy, pokazują, jak bardzo sfrustrowani są ci ludzie. Nienawiść do Pana Boga, nienawiść do Kościoła, którą reprezentują, pokazuje, że boli ich sumienie. Fakt, że Kościół istnieje, że Kościół naucza o tym, czym jest małżeństwo, czyli związkiem między kobietą a mężczyzną – to jest jakiś wyrzut sumienia, który ich boli. Mówię o tym, bo każdy człowiek – czy tego chce czy nie – ma sumienie!

Mam nadzieję, że ten głos sumienia wśród członków ruchu LGBT będzie na tyle mocny, że przynajmniej część z nich przestanie go zagłuszać i zrezygnuje z tej zgubnej drogi.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

mogące ograniczać ich wolność, odbierać prawa, niszczyć kulturę i katolicką tożsamość przyjmują co najwyżej wzruszeniem ramion.

Tutaj bardzo ważna jest praca duszpasterska Kościoła. Bez zdecydowanego stanowiska naszych pasterzy rewolucja będzie postępować. Kościół musi w sposób jasny i wyraźny stawiać określone warunki i głosić prawdę oraz poruszać sumienia polityków, którzy przedstawiają się jako katolicy. Kościół musi powiedzieć wprost, że pewnych praw, które uderzają w małżeństwo, w rodzinę, w przykazania Boże, katolicy nie mogą firmować. Niestety, tego w ostatnim czasie jest za mało...

Zwłaszcza że Polska jest jednym z ostatnich krajów w Europie, w którym głos hierarchów jeszcze coś znaczy i liczą się z nim politycy...

Dokładnie tak. Pomimo upływu lat, pomimo różnych wpływów antykatolickich, pomimo szargania pozycji i autorytetu Kościoła nadal są one bardzo znaczące.

Nie zmienia to jednak tego, że pasterze muszą zajmować jednoznaczne i twarde



FOT. PIOTR WOZNIAKIEWICZ

To nic takiego?



Tomasz D. Kolanek

„Przed nami rewolucyjna zmiana” – w taki sposób można podsumować drugi panel dyskusyjny konferencji „Wolność sumienia i ideologia LGBT”, podczas którego Barbara Nowak, małopolska kurator oświaty, Paweł Ozdoba, prezes Centrum Życia i Rodziny, oraz dr Zbigniew Barciński ze Stowarzyszenia NATAN dyskutowali o zagrożeniach, które niesie tzw. nowoczesna edukacja seksualna, którą chcą zainstalować, jako przedmiot obowiązkowy, środowiska lewicowo-radykalne

Według Barbary Nowak seksedukatorzy i całe środowisko działaczy LGBT marzą o tym, żeby „faktycznie seksualizować” dzieci w polskich szkołach, i w związku z tym bardzo często zmieniają oni swoje zasady działania i są bardzo elastyczni. – Błędem jest myśleć, że to jest tylko kwestia wchodzenia jakichś obcych osób do szkoły i promowania na jakichś dodatkowych zajęciach. Dzisiaj to jest cała gama różnego rodzaju zajęć i działań, i to bardzo skutecznych – wskazywała.

Małopolska kurator oświaty przywołała materiał telewizji TVN z 2012 r,

w którym pokazano lekcję, na którą weszli „bardzo młodzi seksedukatorzy”. – Rozłożyli wielkie płachty i zaczęli namawiać do tego, żeby killkunastoletni uczniowie podawali pojęcia, które wiążą z seksem, ale nie te grzeczne, nie te wygładzone, tylko jak najbardziej ordynarne. I zaczęło się – relacjonowała Nowak. – Dzieci bardzo podniecone, bo można robić coś zakazanego, zaczęły pokazywać swoją „wiedzę i kreatywność”. Było to straszliwie paskudne, ale nikt nie miał do nich o to pretensji. Dzieci same patrzyły się na dorosłych i zastanawiały się, kiedy wreszcie ktoś zareaguje, kiedy ktoś zwróci im uwagę i powie „dość”. Tego nie było. Potem były kolejne ćwiczenia z prezerwatywami, z różnymi fantomami. Najbardziej charakterystyczne było to, że kiedy zaczęłam pokazywać ten film rodzicom, którzy wcześniej mówili: „Ważne, żeby dzieci miały nowoczesną wiedzę”, to byli oni w szoku i pytali, jak można było coś takiego zrobić. To był dopiero początek. Po 2012 r. takich sytuacji było bardzo dużo.

Innym przykładem działań seksedukatorów w polskich szkołach był program „Równościowe przedszkole”. – Według Karty nauczyciela przedszkole to także szkoła. Nauczycieli mających prowadzić ten program poinformowano na wstępie, że nie należy wszystkiego mówić rodzicom, bo rodzice nie nadają się do takich treści, a trzeba ukształtować nowe, otwarte społeczeństwo – mówiła Barbara Nowak. I przytaczała, że program polegał m.in. na przebieraniu chłopców w sukieneczki. – Badania, które miały miejsce po zakończeniu programu, wykazały, że w Polsce nie bardzo takie coś się przyjmuje. Była spora obstrukcja ze strony nauczycieli i rodziców. Dzisiaj niestety jest inna sytuacja – martwiła się kurator. Jej zdaniem to właśnie działania ze strony niektórych nauczycieli „wyedukowanych na różnego rodzaju zajęciach równościowych” są obecnie największym niebezpieczeństwem dla dzieci.

Paweł Ozdoba przywołał nazwisko Alfreda Kinseya, człowieka będącego twórcą „nowoczesnej edukacji seksualnej”. W latach 50. i 60. prowadził on badania m.in. na mrówkach i na ich podstawie doszedł do wniosku, że edukacja seksualna jest bardzo potrzebna, żeby nie powiedzieć „niezbędna”.

Przykładem działań seksedukatorów w polskiej szkole był program „Równościowe przedszkole”

– Profesor Kinsey razem ze swoim współpracownikiem, którego zapraszał na spotkania w nocy, doszli do wniosku, że skoro seksualność jest obecna w każdym wieku człowieka, skoro jest czymś dobrym i przyjemnym, skoro występuje u dzieci, to nie powinno się dokonywać żadnej społecznej czy prawnej blokady do tego, żeby edukować dzieci seksualnie i żeby one w wieku już kilku lat doświadczały seksualnej przyjemności – mówił Ozdoba. – Opinia publiczna nie jest świadoma tego, że dzisiejszy model „nowoczesnej edukacji seksualnej” promowany przez standardy WHO jest oparty właśnie na badaniach Kinseya. Są one szeroko promowane i uznawane wciąż przez amerykańskie Stowarzyszenie Psychologów. Jest to to samo stowarzyszenie, które wykreśliło w 1992 r. homoseksualizm z listy chorób. To jest również to samo stowarzyszenie, które wyrzuciło ze struktur dr. Paula Camerona, który bardzo mocno zajmował się homoseksualizmem. Mamy zatem do czynienia z bardzo poważnym przedsięwzięciem, które trwa wiele lat.

Ozdoba wyliczał też sytuację, z którymi od wielu lat stykają się pracownicy Centrum Życia i Rodziny: – Bardzo dużo osób zgłasza się do nas z problemami dotyczącymi edukacji seksualnej w szkołach. Podam przykład z Warszawy, a konkretnie z Ursynowa. Jedna z mam zgłosiła się do nas z informacją, że jej dzieci w szkole będą prawdopodobnie zmuszone do uczestnictwa w zajęciach z szeroko rozumianej edukacji seksualnej i tolerancji. Oficjalnie były zajęcia proponowane przez magistrat warszawski jako lekcje dodatkowe, które miały uczyć dzieci tolerancji i zrozumienia dla osób niepełnosprawnych oraz współczucia dla osób, które mają problemy zdrowotne etc. Okazało się jednak, że gdzieś w głębi, w materiałach końcowych, znajduje się informacja, że tolerancja także dotyczy kwestii ludzkiej seksualności, różnych płci itd. To nie znajdowało się w oficjalnym materiale. Dopiero poprzez złożenie kilku

zapytań wyszło na jaw, że tam są kwestie genderowe. Takich sytuacji jest naprawdę dużo. Zgłaszają się do nas osoby nie tylko z Warszawy, lecz także z tzw. Polski powiatowej, gdzie wydawać by się mogło, że jest bezpieczniej. Dzwonią do nas nauczyciele i pytają, jak mają się zachowywać w sytuacji, kiedy dzieci informują ich, że nie są już Stasiem, tylko Małgosią. To jest realny, autentyczny problem.

Jako ostatni w tym panelu głos zabrał dr Zbigniew Barciński, który zwrócił uwagę, że największym problemem, jeśli chodzi o tzw. edukację seksualną, jest zdefiniowanie zagrożenia. – W mojej ocenie używanie sformułowań „seksualizacja”, „deprawacja” nie nazywa istoty zagrożenia. Używanie sformułowania „seksedukacja”, które jakoś kojarzymy, też nie nazywa zagrożenia – stwierdził przedstawiciel Stowarzyszenia NATAN. Chodzi o coś innego, mianowicie: edukacja seksualna według standardów WHO jest edukacją antyrodzinną. Potężne antyrodzinne ostrze tej edukacji to istota zagrożenia. Gdyby tu użyć jakiejś metafory, to powiedziałbym, że edukacja seksualna odwołująca się do standardów WHO to piła łańcuchowa, która ma zniszczyć w dzieciach i młodzieży przekonanie o wartości rodziny, zdolność do złożenia rodziny i zdolność do budowy szczęśliwej rodziny. Antyrodzinnosc jest tutaj istotą zagrożenia.

Druga kwestia, na którą zwrócił uwagę dr Barciński, to „obszary zagrożenia w szkole”. – Pierwszy obszar to przedmiot w szkole. To, że wchodzi osoby z zewnątrz, organizacje z zewnątrz to jeden rodzaj zagrożenia, ale bardziej podstawowe jest zagrożenie, jeśli chodzi o przedmiot w szkole – ostrzegł. – W 2013 r. był projekt wprowadzenia przedmiotu wiedza o seksualności człowieka. Miał być to przedmiot przymusowy, obowiązkowy od pierwszej klasy. Przedmiot oparty na standardach WHO. Wtedy to zostało odrzucone. Jeśli dzisiaj różne siły polityczne mówią o edukacji seksualnej, to one mają przede wszystkim na myśli wprowadzenie obowiązkowego przedmiotu do szkoły, tak jak jest to na Zachodzie. To jest punkt docelowy tych środowisk. To, że wchodzi różne organizacje zewnętrzne etc., to na razie plan B, bo nie udało się wprowadzić takiego przedmiotu do szkoły i zmarginalizować albo wręcz usunąć wychowania do życia w rodzinie.



Tomasz D. Kolanek

Panel dyskusyjny „Rodzina – ostatni bastion kontrrewolucji?”, w którym udział wzięli Aleksandra Gajek (Centrum Życia i Rodziny), Marek Grabowski (Fundacja Mamy i Taty) oraz Sławomir Olejniczak (Stowarzyszenie Kultury Chrześcijańskiej im. ks. Piotra Skargi), był dla wszystkich uczestników konferencji znakiem nadziei na to, że nie istnieje żaden determinizm dziejowy, że nie jest przesądzone, iż rewolucja LGBT zatriumfuje. Ta nadzieja to tradycyjna rodzina

Rodzina ze swojej natury jest najbardziej podstawowym miejscem bytowania człowieka. To właśnie rodzina jest najbardziej pierwotną komórką – mówiła Aleksandra Gajek z Centrum Życia i Rodziny. – Idziemy do szkoły, idziemy do kościoła, ale potem zawsze wracamy do domu, do rodziny. I właśnie to jest to miejsce, które najbardziej kształtuje każdego z nas. W rodzinie dziecko przychodzi na świat, w rodzinie zyskuje największą opiekę, w rodzinie zyskuje pierwszą socjalizację, czyli proces przystosowania do życia w społeczeństwie, czerpanie wzorców kobiecości, męskości, ról społecznych etc. To wszystko odbywa się w rodzinie, więc jeśli mamy zapytać siebie, czy rodzina jest ostatnim bastionem kontrrewolucji, to zdecydowanie tak.

Sławomir Olejniczak pytany o to, jak reagować na pojawiające się już przejawy propagandy „transseksualnej” w szkołach, wskazał przede wszystkim na rolę rodziny, miłości pomiędzy małżonkami, a potem miłości do dzieci oraz wzajemne zaufanie. – Jeżeli nie ma tego zdrowego elementu w rodzinie, to trudno potem inne dobre rzeczy praktykować czy przekazywać dzieciom jakieś

Tradycyjna rodzina – kto chce ją



informacje jako prawdziwe – podkreślił. – Istotne jest, żeby rodzice umieli podejmować te wyzwania, a nie udawali, że nic się nie dzieje – powiedziała, zwracając uwagę na coraz powszechniejsze zjawisko uciekania się przez rodziców do „outsourcingu wychowania” do instytucji edukacyjnych zamiast podejmowania samemu wysiłku uświadczenia dzieciom, co jest w życiu najważniejsze.

W swoim wystąpieniu prezes SKCh im. ks. Piotra Skargi przypomniał również, że prawdziwym celem naszego krótkiego życia na ziemi jest wieczność. – Rodzina i małżeństwo, które zostały podniesione w Kościele katolickim przez Pana Jezusa do rangi sakramentu, to jest nie tylko podstawowa komórka społeczna, lecz także wspólna droga do nieba,

coś, co ma nas uświęcać i prowadzić ku wieczności i zbawieniu – mówił.

OSTATNI BASTION

– Pierwszym rewolucjonistą był Lucifer, który powiedział: „Non serviam” (Nie będę służył), ponieważ Boży plan i Boży porządek mu nie odpowiadały, i tak naprawdę ostatecznie u podstaw tych wszystkich rewolucji jest zamiar zniszczenia naturalnego porządku, bo mówimy tu o tych wszystkich instytucjach, które zostały przejęte przez antychrześcijańską rewolucję, łącznie niestety z zainfekowaniem Kościoła katolickiego – podkreślał Olejniczak. – I ostatnim bastionem, ostatnią deską ratunku jest rodzina, która wynika z samego porządku naturalnego: „Mężczyzną i niewiastą

zniszczyć?



Paneliści wskazywali, że można pokazywać rodzinę jako istotę życia społecznego FOT. PIOTR WOŹNIAKIEWICZ

stworzył ich" – podsumował. I dodał, że kluczowe jest trwanie w miłości małżeńskiej, w wierze oraz ufności, że Pan Bóg będzie każdą rodzinę indywidualnie prowadził, natomiast elementem rodzinnej codzienności powinny być wspólna modlitwa, przykład rodziców oraz roztropna rada dla dzieci.

Z kolei Marek Grabowski zwracał uwagę, że rodzina nie jest podmiotem, który funkcjonuje całkowicie autonomicznie. – Żeby rodzina dobrze się rozwijała, musi mieć też pewną głębię do tego rozwoju – podkreślał. – Ta gleba ma rozmaite składniki. Są nimi zarówno pewne możliwości ekonomiczne, i tutaj w ostatnich latach to w jakiejś mierze się poprawiło. Musi ona mieć jednak podłoże duchowe, o którym wspomi-

nał prezes Olejniczak, a także musi po prostu czuć się bezpiecznie pod kątem ideologicznym. Jeśli chodzi o ten ostatni obszar, to możemy mieć duże pretensje do rządów Zjednoczonej Prawicy, że pewnych kwestii nie udało się wzmocnić mimo tak potężnej przewagi społecznej, która była niesamowita w porównaniu z tym, co miał za sobą obóz lewicowo-liberalny. Ta szansa została zmarnowana i będzie ciężko ją odzyskać, bo tak dobra koniunktura rzadko się zdarza. Mieliśmy osiem lat rewelacyjnej koniunktury, która nie została wykorzystana.

KIERUNEK JEST ZNANY

Na koniec prowadząca panel Zuzanna Dąbrowska przypominała, że od wielu lat ulicami polskich miast przechodzą

Marsze dla Życia i Rodziny. – To jest taki kierunek, w którym powinniśmy iść. Radosna manifestacja z dziećmi, ze śpiewem na ustach. Pokazanie, że rodziny są obecne, że chcą tu być i nie chcą się gdzieś ukrywać. Jak to się udało? – zapytała.

W odpowiedzi Aleksandra Gajek zwróciła uwagę na potrzebę budowania kultury przyjaznej rodzinie i pokazywania, że rodzina jest czymś dobrym, że jest najlepszą drogą do budowania zarówno osobistego szczęścia, jak i zdrowego społeczeństwa, zdrowej przyszłości.

– W tym roku mieliśmy XVIII edycję Marszu dla Życia i Rodziny. Co roku dołącza do nas kilkadziesiąt miast, miasteczek i wsi, co świadczy o tym, że ta inicjatywa rozlewa się na cały kraj – mówiła Gajek. – Nam w Centrum Życia i Rodziny chodzi o pokazywanie piękna rodziny, pokazywanie wartości rodzinnych, żeby po prostu nas widziano! Żeby nie było wyłączenie przekazu negatywnego, który często widzimy dookoła siebie w telewizji i innych mediach, gdzie rodzina jest... No właśnie... Po pierwsze, często jej nie ma: albo się rozpada, albo w ogóle nie jest zakładana. Po drugie: jak już jest, to często pokazuje się ją jako coś opresyjnego. My chcemy pokazać coś zupełnie innego, chcemy pokazać, że rodzina jest dobrem. W tym roku skupialiśmy się na dzieciach. Wielu nie zdaje sobie sprawy, jak ważną, jak istotną dla naszej przyszłości komórką życia społecznego jest rodzina. Od tego, czy rodzina będą, czy w tych rodzinach będą dzieci, zależy nasza przyszłość. W poprzednim roku koncentrowaliśmy się na małżeństwie, na wierności i trwałości małżeństwa. W naszych marszach brali udział małżonkowie z 40- czy nawet 50-letnim stażem. To jest wspaniałe świadectwo – ludzie, którzy przychodzą, którzy pokazują swoją postawą, że rodzina jest piękna i warto w nią inwestować swój czas, swoje życie. Z tego miejsca pozostaje mi tylko zaprosić na przyszłoroczną edycję Marszu dla Życia i Rodziny. W dzisiejszych czasach, kiedy widzimy praktycznie tylko przeciwny obraz, kluczowe jest, żeby pokazać, że jednak jest inaczej.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Watykan w cieniu tęczowej gwiazdy

Na początku dyskusji redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy” podkreślił, że celem rewolucji, również tej, która przesiąkła do

Watykanu, jest powstanie czegoś, co można by nazwać państwem panseksualnym, które powstanie na gruzach i na zniszczeniu obecnego społeczeństwa.

– Bardzo ważnym elementem jest zdanie sobie sprawy, że to nie jest kwestia jakichś zwariowanych pomysłów jakieś grupki aktywistów czy szaleńców, tylko że jest to kontynuacja walki o władzę nad światem – przekonywał Lisicki.

– Tęczowa gwiazda to zespół instytucji państw, stowarzyszeń, osób dążących do dokonania radykalnego przewrotu społecznego – takiego, żeby zanegować tę rzeczywistość, w której żyjemy. Im bardziej neguje się rzeczywistość, tym więcej trzeba mieć władzy, żeby tego dokonać. Ta opowieść sięga korzeniami do samego powstania świata, czyli tego, co zostało opisane w Księdze Rodzaju. Bóg stwarza świat, ponieważ jest wszechmocny. Rewolucja jest swego



Tomasz D. Kolanek

„Wróg Kościoła jest wewnątrz” – pisał ponad 100 lat temu św. Pius X, papież, który przez wielu jest nazywany pogromcą modernizmu. Franciszek jest przez wielu postrzegany jako strażnik rewolucji w kolorze tęczy LGBT. Jakie ma i będzie mieć to konsekwencje dla Kościoła, dla Polski i dla świata? O tym dyskutowali uczestnicy trzeciego panelu podczas konferencji „Wolność sumienia i ideologia LGBT” – znani z programu „Ja, Katolik. EXTRA” na antenie PCh24 TV Krystian Kratiuk, Paweł Lisicki i Paweł Chmielewski

rodzaju małpowaniem tej Boskiej kreacji, tylko w nowy sposób. Stąd potrzeba władzy, żeby to, co istnieje, całkowicie najpierw zniszczyć, a potem wznieść od samego początku. To jest to dążenie do opanowania świata i narzucenia mu swojej wizji. Ta władza jest tym większa, im większy opór stawia rzeczywistość. To jest ta „tęczowa gwiazda”. Gdzie jej

szukać w Watykanie? Przede wszystkim wśród tych, którzy sami o sobie mówią, że są reprezentantami tęczowej ideologii, a jest ich niestety całkiem wielu, zarówno teologów, jak i księży – wskazywał.

OJCIEC MARTIN I INNI

Poproszony przez prowadzącą panel Zuzannę Dąbrowską o wyjaśnienie, kto

personalnie odpowiada za rzucanie „cienia tęczowej gwiazdy” na Watykan, redaktor naczelny „Do Rzeczy” odpowiedział, iż przede wszystkim są to ludzie, którzy określają siebie samych jako „reprezentanci tęczowej ideologii”.

– Najbardziej emblematiczną postacią jest o. James Martin, znany jezuita, który publicznie przyznaje się do wspierania postulatów ruchu LGBT – wskazał Paweł Lisicki. – Oczywiście, gdyby rzecz kończyła się na jednym jezuitcie, to w ogóle nie byłoby żadnego problemu. W oczywisty sposób można zauważyć, że w ciągu ostatniego pontyfikatu od 2013 r. postulaty czy idee związane z zanegowaniem rzeczywistości, z tworzeniem człowieka na nowo, z zaprzeczeniem istnienia realnego podziału na płęć przeniknęły masowo do Kościoła. Możemy je znaleźć u różnych kardynałów, np. kard. Marxa, u bp. Batzinga i wielu innych przedstawicieli Kościoła, którzy coraz wyraźniej i jaśniej mówią, że takie postulaty jak błogosławienie par homoseksualnych należy zaakceptować. Możemy więc powiedzieć, że kościelnym wyrazem zwycięstwa ideologii LGBT jest powszechna praktyka w wielu kościołach lokalnych błogosławienia par LGBT. Dlaczego? Z bardzo prostego powodu. Akceptacja dla błogosławienia przez Kościół relacji homoseksualnych jest tym samym co obiektywne uznanie relacji homoseksualnej za równą moralnie relacji między mężczyzną a kobietą, a to oznacza uznanie obiektywnego zła za dobro. To jest ten podstawowy przewrót moralny, który dokonuje się na naszych oczach w Kościele.

Krystian Kratiuk został zapytany, czy w obliczu rewolucji LGBT papież jest po stronie Kościoła. Jego zdaniem „pięknych czasów dożyliśmy, że pytamy siebie na konferencji wśród katolików, czy papież jest po stronie Kościoła”. – Żyjemy w momencie, w którym papież jest na czele rewolucji, również rewolucji homoseksualnej – stwierdził Kratiuk. – Odpowiedź Franciszka na ostatnie dubia kardynałów jest bardzo charakterystyczna dla tego pontyfikatu. Jest to odpowiedź niezwykle bolesna, bo odpowiedź na pytanie: „Czy wolno błogosławić związki osób jednej płci?” powinna brzmieć krótko: „Nie”. Niestety, brzmi ona zupełnie inaczej. Ona zawiera

kilkanaście zdań wielokrotnie złożonych podzielonych na dziewięć punktów, z których każdy może wyciągnąć swoją odpowiedź, i rzeczywiście biskupi szeroko tę odpowiedź wyciągają.

Redaktor naczelny portalu PCh24.pl mówił również o tym, jak się tworzy rewolucję LGBT. – Ona przesiąkała do Kościoła w nieco inny sposób niż do innych instytucji. Te inne instytucje nie są budowane w większości przez homoseksualistów czy przez różne gendery, tylko przez kobiety i mężczyzn. W Kościele było odrobinę inaczej – opisywał. – Do Kościoła oprócz ideologii od kilkudziesięciu lat przedostaje się również praktyka homoseksualna. Dzieje się to w sposób niebywały! Niebywale grzeszny, niebywale niemoralny i niebywale licznie olbrzymi. Jest to niezwykle smutne. Jest to udowodnione w licznych publikacjach, np. w książce ks. prof. Dariusza Oko „Lawendowa mafia”, do której wstęp napisał ks. dr Marek Dziewiecki, który jest psychologiem. Napisał on w tym wstępie, że kiedy kilkanaście lat temu czytał doniesienia z amerykańskich i niemieckich seminariów, to nie wierzył w nie, ale teraz, jako człowiek, który jeździ po seminariach w Polsce, musi przyznać, że ten sam problem dotknął nas i jest to najbardziej dojmujący fakt dotyczący kryzysu LGBT. Kościół powinien być podstawą kontrrewolucji wobec LGBT, a dzisiaj staje się jej filarem.

NIEMIECKOJĘZYCZNI TEOLOGOWIE

Paweł Chmielewski stwierdził, że Stolica Apostolska jest obecnie „pajacykiem pociganym za sznurki zwłaszcza przez niemieckojęzycznych teologów”. – Mówimy tutaj o dubiach i odpowiedzi na nie papieża Franciszka, że można de facto błogosławić w pewnych okolicznościach związki homoseksualne. Zanim ta odpowiedź została opublikowana, miesiąc wcześniej niemal dokładnie tej samej treści list ogłosił metropolita Berlina abp Koch, też pisząc, że w pewnych okolicznościach można błogosławić takie związki i niech każdy sam sobie w sumieniu decyduje, bo on jako arcybiskup nie będzie się takimi kwestiami zajmował, bo on przecież nie wie, gdzie jest prawda – wskazywał Chmielewski. – I tutaj

papież Franciszek zajmuje bardzo podobne stanowisko, więc jeśli idzie o to, jaką ma on autonomię w swoich działaniach, to oczywiście ona jest, jeśli chodzi o autonomię materialną, ale autonomii intelektualnej, ideowej nie ma. Ojciec Święty jest po prostu pewnym narzędziem celowo wybranym do tego, żeby zaimplementować w Kościele katolickim konkretną rewolucyjną agendę wyrastającą jeszcze z filozofii oświeceniowej, a przeniesioną do Kościoła katolickiego przez zafascynowanych protestantyzmem myślicieli w połowie XX w.

Zgodził się ze źródłami zepsucia, które wcześniej – jako dużą obecność księży o skłonnościach homoseksualnych – wskazywał Krystian Kratiuk. – To zepsucie jest jednak tylko na pewnym poziomie – zaznaczył Paweł Chmielewski. – O wiele ważniejsze zepsucie dokonało się na poziomie ideowym. Kościół katolicki od zakończenia Soboru Watykańskiego II postanowił iść ręką w rękę z rewolucją liberalną, która przeorała cywilizację chrześcijańską, i teraz mamy wyłącznie tego konsekwencje i pokłosie, bo skoro świat postępuje w tym kierunku, to Kościół robi to samo. Mamy do czynienia z bardzo szerokim walcem zepsucia liberalnego, który idzie przez Kościół właśnie w związku z faktem, że zapadła decyzja o bardzo głębokiej kolaboracji ideowej z rewolucyjnym światem. To, że dzisiaj Ojciec Święty wydaje na papierze zgodę na błogosławienie związków homoseksualnych, nie powinno nas w ogóle zaskakiwać.

Chmielewski przypomniał, że wielokrotnie pisał i mówił o tym, iż tak się stanie, już w roku 2016, kiedy została opublikowana adhortacja „Amoris laetitia”. Jego zdaniem w tym dokumencie została bowiem zaszyta idea, że prawdy, jeśli chodzi o teologię moralną, nie ma i każdy musi sobie taką prawdę stworzyć i dopiero z niej później kształtować jakieś praktyczne konsekwencje dla własnego życia. – A skoro prawdy nie ma w dziedzinie moralności, to nie tylko homoseksualizm jest dozwolony, lecz także wszystko inne, co sobie państwo mogą, ale pewnie nie chcą wyobrażać. To się już dzieje. To się będzie działo także w Kościele katolickim w Polsce – prognozował.



Karina Bosak, żona Krzysztofa Bosaka, miała dodać nam trochę głosów na liście. Jednak przez aferę przeskoczyła i mnie, i Jacka Wilka

FOT. PAWEŁ SUPERNIAK/PAP

Dopasować się do świata czy go zmieniać?

Zaczynijmy od spraw podstawowych: Po co jestem w polityce? Jestem w polityce po to, by zmienić świat. A by zmienić świat, muszę zmienić sposób myślenia tych paru procent ludzi, którzy myślą.

Na przykład podatek dochodowy. Tego idiotyzmu nie było dopóty, dopóki do władzy nie doszli socjaliści – w USA wprowadzono go w 1913 r. Dziś mamy Tyranię Większości plus Tyranię Status Quo – i praktycznie nikt nie wyobraża sobie życia bez podatku dochodowego! Sądzę, że łatwiej byłoby przeprowadzić kompletny idiotyzm, jakim byłoby stu-krotne zmniejszenie podatku dochodowego, niż jego likwidację!



Janusz Korwin-Mikke

Dlaczego Konfederacja zanotowała słaby wynik. Kto wykorzystał to do ataku na mnie. I czy założę nową partię

Z tego wynika ważny wniosek: jeśli miałbym stwierdzić, że podatek dochodowy (przychodowy, obrotowy – wszystko jedno) jest czymś dobrym i dzięki temu wprowadzić do Sejmu pięciu posłów więcej – ale za to liczba ludzi wierzących w słuszność podatku dochodowego wzrosłaby z 92 do 96 proc. – to

prędzej powinienem sobie rękę uciąć niż to zrobić. Bo umocniłbym ich w fałszywym przekonaniu.

ELEKTORAT PROTESTU

W każdym prawie d...kratycznym państwie jest ok. 15 proc. ludzi słusznie lub niesłusznie niewierzących władzom

państwa. 5G (podobnie, jak 4G, 3G, 2G i 1G) nikomu nie szkodziło, ale jeśli minister oświadczy, że 5G nikomu nie szkodzi, to natychmiast rośnie do kilku procent liczba ludzi gotowych się zabić, że od tego cieleć wyrastają dwie głowy. Teoria płaskiej ziemi nie przyciąga nawet 1 proc., ale dobrze uzasadniona teoria, że cała ta „walka z globalnym ociepleniem” to zwykłe wariactwo i przekręt, przyciąga ok. 20 proc., a teoria, że szczepionki na COVID to w najlepszym przypadku gigantyczny szwindel (podobnie jak szczepionki na świńską grypę), a w najgorszym tajemnicza manipulacja, spowodowała, że ok. 40 proc. ludzi zdołało się nie zaszczepić (i jakoś żyją).

Konfederacja opierała się na tym elektoracie protestu. Nagły skok poparcia dla Konfederacji nastąpił, gdy nowy prezes Nowej Nadziei ogłosił słynną „piątkę Mentzena”: „Nie lubimy Żydów, podatków, gejów, aborcji i UE”. Te pięć elektoratów to w sumie ponad 70 proc. Polaków – na nieszczęście nie pokrywają się, ale i tak jest to solidna baza.

Kanonem Konfederacji było, że III Rzeczpospolita to twór śp. gen. Czesława Kiszczaka, władcy obojga bezpiek z czasów śp. gen. Wojciecha Jaruzelskiego, który wpadł na pomysł, że skoro ludzie już nie wierzą w PZPR, to trzeba dać im wybór: niech głosują na jedną partię z czterech – ale kto by wygrał (uwaga: walka jest prawdziwa, bo zwycięzca bierze kasę), budujemy eurosocjalizm i wchodzimy do UE. Jedni udają tu entuzjazm, inni udają obrzydzenie – ale podpisują wszystko, co Bruksela każe. Na przykład pakiet klimatyczny... W dodatku w Magdalence, w przytomności reformatorów z PZPR, działaczy Solidarności i po prostu agentów Kiszczaka, ustalono, że „prawica nigdy nie ma dojść do władzy”. Ku radości np. Adama Michnika czy śp. Lecha Kaczyńskiego (który w odróżnieniu od brata centrysty był lewicowcem).

W tym celu jedna partia miała udawać liberałów (którzy nigdy żadnego podatku nie obniżyli), druga konserwatystów, trzecia socjalistów, a czwarta była partią chłopską. I to działa znakomicie przez 35 lat.

Wracamy do Konfederacji. Gdzieś tak od stycznia, w obliczu nadciągających wyborów, nastąpił nagły zwrot: stopień ostrza.

Są tu dwa wyjaśnienia. Pierwsze: jacyś zli ludzie podsunęli liderom Konfederacji

(która do wyborów przekazała władzę wykonawczą kolegom Krzysztofowi Bosakowi i Sławomirowi Mentzenowi) myśl, że radykalny elektorat się wyczerpał, nikt już nie pamięta heroicznej walki Konfederacji pod wodzą kolegi Grzegorza Brauna z „walką z COVID” i niżej podpisanego z ukraińskimi matactwami – więc trzeba szukać nowych wyborców w mainstreamie; a radykałowie i tak poprą, bo nie będą mieli wyboru.

Drugie wyjaśnienie wiąże się z kilkukrotnym powtórzeniem przez Jarosława Kaczyńskiego, że „może zawrzeć koalicję z Konfederacją – ale bez Brauna i Korwin-Mikkego”.

Nie są one zresztą ze sobą sprzeczne. Trzeba więc liczyć się z tym, że drugie jest prawdziwe.

Nie wiem, jak kolega Braun, ale ja czułem się bezradny. W TVN nie byłem od 11 lat, w Polsacie od trzech, w TVP od dwóch, w żadnym radiu (poza Radiem Plus) od 15 lat. Prasa mnie w ogóle szykanowała, Facebook (gdzie miałem 800 tys. fanów) mnie zlikwidował, na Twitterze miałem podczas wyborów shadowbana – a portale Konfederacji nie publikowały żadnych moich tekstów – nawet najlepszych i „po linii”; mogłem to odbierać wyłącznie jako przyłączenie się do Totschweigen. Odczuwałem zresztą wprost niechęć albo wrogość. Ale nie to było najgorsze.

„PIĄTKA MENTZENA” NAZWANA ŻARTEM

Gdzieś w lipcu Konfederacja, a nawet prezes Nowej Nadziei, zaczęli wręcz zaprzeczać całemu programowi. Ba, żeby tylko programowi! Zakazano poruszania dwóch tematów: COVID i Ukrainy! Tymczasem to były nasze pièces de résistance! Kolega Braun włożył ogromny wysiłek (i sporo pieniędzy) w demaskowanie kłamstw faszystów od szczepień; ja włożyłem całą swą reputację w tłumaczenie, że z tą Ukraina to nie całkiem tak, jak wciska nam reżymowa propaganda. Straciliśmy na tym dużo – i oto teraz, gdy zaczęło się pokazywać, że mieliśmy rację, zawiązano nam usta. W efekcie to PiS ustawił się w roli obrońcy Polaków przed szczepionkami i lockdownami (choć trzeba przyznać, że „opozycja d...kratyczna” rzeczywiście domagała się jeszcze większej interwencji) i przed pretensjami tych okropnych Ukraińców!

Nie sposób tego zrozumieć inaczej jak znową z PiS. Lub totalnym zgłupieniem, oczywiście.

Podobnie zresztą z UE, gdzie kolega Bosak zaplawał się, że np. polexit nie jest [w programie] przedstawiony jako scenariusz bazowy, tylko jako „wyjście awaryjne”. I znów wychodziło, że PiS jest tak samo jak Konfederacja obrońcą Polski przed Brukselą – tylko... bardziej wiarygodnym!

Kolega Mentzen zapierał się jak św. Piotr, że kiedykolwiek wygłaszał „piątkę Mentzena”, że miał w programie likwidację podatku dochodowego lub zniesienie przymusu płacenia na ZUS. W efekcie dramatycznie przegrał dyskusję z Ryszardem Petru, bo nie mógł szczerze mówić prawdy. Nie jest przy tym ważne, że przegrał – to się może każdemu zdarzyć – lecz to, że wszystkie przypominane mu własne postulaty nazywał albo „żartem”, albo „nieporozumieniem”, albo „przekręceniem słów poza kontekstem”. W tym właśnie momencie sondaże pokazały pierwszy poważny spadek notowań Konfederacji.

Co gorsza, kolega Mentzen przekreślił się jako poważny polityk podczas drugiej dyskusji z panem Petru, w Poznaniu. Gawiedzi mogło się podobać wrzeszczenie o jamnikach – jednak w oczach myślących ludzi (na szczęście niezbyt przecież licznych) przestał się liczyć.

Tym niemniej Konfederacja podtrzymała tezę, że żadnej „piątki Mentzena” nigdy nie było, że jest to wymysł wrogów Konfederacji – a ogromna większość sympatyków Konfederacji, przyzwyczajona, że konkurencja przekręca wszystko, bez oporu przyjęła tę wersję, nie wnikając w szczegóły. Bo nie jest ważne, co mówią wrogowie, którzy i tak na nas nie zagłosują...

A teraz wyobraźmy sobie, co by się stało, gdyby po przypomnieniu „piątki Mentzena” i wyparciu się jej przez autora Konfederacja zaczęła przeproszać za Mentzena. Gdyby w telewizji, radiu i w sieci pojawiali się kolejni przedstawiciele Konfederacji twierdzący, że potępiają poglądy Mentzena, że jest to tylko prezes Nowej Nadziei i nie reprezentuje poglądów Konfederacji, której nigdy nie przyszłyby do głowy antysemitizm, antyunionizm czy niechęć do podatku

dochodowego! Pełna katastrofa – nieprawdaż?

Otóż to właśnie zrobiono ze mną. Jestem zwolennikiem patriarchy i gdy dowiedziałem się, że powstaje jakaś fundacja „Patriarchat” i ma pierwsze zebranie akurat koło dworca, z którego miałem trzy godziny potem odjechać na prawybyry do Wieruszowa, postanowiłem tam wpaść, do czego zresztą zachęcało mnie dwóch kolegów. Trzeba trafić (lub nietrafić...), że pojawił się tam nieznany mi pan Ronald Lasecki, który wygłosił słynną opinię, że kobiety powinny być traktowane jako część dobytku mężczyzny...

MIAŁEM SIĘ NIE ODZYWAĆ

Wzbudziło to oburzenie w postępowej części kraju – przy czym skrupiło się to na mnie i na Konfederacji, choć jej członków było na sali trzech (na 40), czyli mniej niż średnia w społeczeństwie – a Lasecki jest akurat przeciwnikiem Konfederacji!

Skrupiło się dlatego, że Konfederacja, zamiast to pokazać, natychmiast się ode mnie odcięła i potępiła moje poglądy! Przyczyną afery jest więc nie to, co było (a w odróżnieniu od przykładu z „piątką Mentzena” nie trzeba było bronić fałszu, tylko wykazać prawdę, choćby o stanowisku politycznym Lasockiego), lecz postępowanie Konfederacji. Wyszlibyśmy na tym na plus – przynajmniej w oczach naszych wyborczyń i wyborców – poprzez pokazanie, że wrogowie jak zawsze nas oczerniają i fałszują, co się da.

Ciekawe, że po aferze „patriarchatu” sondaże nie spadły – a jednocześnie pojawiły się setki i tysiące przykładów kobiet, które naprawdę przestały popierać Konfederację! Nie mówiły, że przestały (a nie miały nigdy zamiaru popierać), tylko naprawdę przestały! Wyjaśnienie jest proste: ogromna większość elektoratu Konfederacji to mężczyźni i wystarczy wzrost poparcia u mężczyzn o 15 proc. (a mężczyzn szowinistów jest bardzo dużo...), by wyrównać utratę połowy głosów kobiet. Ale to byłoby przesunięciem Konfederacji na pozycję radykalną, a nie do mainstreamu, gdzie obowiązuje narzucony przez neomarksistów werbalny hołd składany feministycznemu lobby (tak jak w PRL trzeba było składać werbalny hołd klasie robotniczej).

Potem była druga afera – z Pandora-gate. Gdy przypadkiem się o niej dowiedziałem, postanowiłem odrobić straty z „patriarchatu” i nagrałem klip, w którym wyśmiałem absurdalny „urzędowy wiek zgody”, domagając się uznania praw kobiet (by to dziewczyna i jej matka – oraz ewentualnie sąd – decydowały, czy jest dojrzała) – a nie Sejm, co prowadzi do absurdu, gdzie mogę dziś pójść do więzienia za coś, co po dwóch dniach jest bezkarne. Zakończyłem żądaniem, by tych youtuberów szybko postawić przed sądem. Po czym ta druga połowa mojej wypowiedzi została odcięta i we wszystkich telewizjach pojawiła się informacja, że Korwin-Mikke popiera tych youtuberów; bo skoro chce znieść urzędowy „wiek zgody”...

I znów: zamiast uderzyć w manipulantów, pokazując obok siebie klip oryginalny i zmanipulowany, Konfederacja się odcięła, przeprasząc za moje poglądy. Tym razem już straciła – ale to dlatego, że nie zaatakowała, tylko zaczęła przepraszać. Jeśli partia przeprasza, to znaczy, że przyznaje, iż zrobiła błąd. A kto głosuje na partię, która robi błędy?!

Najgorsze, że w obydwu przypadkach szef sztabu zabronił mi prostowania fałszerstw i odmówił pozwania winnych w trybie wyborczym! Miałem się nie odzywać – czyli nie mogłem się bronić.

Ja jednak straciłem znacznie więcej – ale na to złożyło się kilka czynników.

Startowałem z rodzimego „obwarzanka”, dość konserwatywnego. Za mną byli Karina Bosakowa i kolega Jacek Wilk. Zakładając, że pani Bosakowa startuje tylko po to, by dodać trochę głosów dzięki nazwisku, a ja zdobędę jakieś 30 tys. głosów, postanowiliśmy po raz trzeci zastosować znany trick. Przez całą kampanię wzywałem do głosowania na kolegę Wilka – zakładając, że przeskoczy on Bosakową – a ja przecież mam potem pewne wejście do unioparlamentu...

Ta afera przyniosła jednak dramatyczne tąpnięcie moich notowań. Na domiar złego nie tylko kolega Bosak w telewizji sugerował (o co nie mam pretensji), by zamiast głosować na kogoś podejrzanego o pedofilię, głosować na jego żonę, lecz także – o zgrozo – uczynił to mój partyjny kolega, Przemysław Wipler! I nie wezwał, by głosować na kolegę Wilka, tylko właśnie na panią Bosakową.

Co dało wynik, jaki dało. Zamiast obydwaj przeskoczyć panią Bosakową, obydwaj zostaliśmy przez nią przeskoczeni. Cóż: nosił wilk razy kilka...

DEMAGOGIA I ATAK

Niestety, okazało się, że są i w Konfederacji, i w Nowej Nadziei ludzie świetnie wiedzący, jak było naprawdę – którzy wykorzystali ten wynik do demagogicznego ataku na mnie. Mam przy tym nieodparte przekonanie, że był to pretekst, by sprawnie wykonać połowę zadania: „pozbyć się Brauna i Korwina”.

Na początek sąd Konfederacji, o którego posiedzeniu dowiedziałem się o godz. 14.30, o 15.30 „zawiesił mnie na miesiąc” (co oznacza automatyczne usunięcie z Rady Liderów). Po czym kolega Mentzen, główny winny tego wyniku, znalazł kozła ofiarnego i jednoosobowo ogłosił, że nie wystartuję nigdy z list Nowej Nadziei.

Co, oczywiście, podziślało na mnie korzystnie: jak zgnięty ostrogą (kłopoty to moja specjalność!) odmłodziłem o jakieś 20 lat i rozpatruję obecnie różne możliwości – przy czym najbardziej oczywistą jest założenie nowej partii. Partii odrzucającej kompromisy z mainstreamem, walczącej o autonomię Polski w UE lub nawet o odzyskanie suwerenności, bezkompromisowo walczącej z socjalizmem itd. Ksawery Milei, być może w tej chwili już prezydent Argentyny, pokazał, że można walczyć o prezydenturę, odważnie głosząc, że zlikwiduje wszystkie zasiłki socjalne.

Co powinien wziąć pod uwagę prezes Mentzen; ale, obawiam się – nie weźmie.

Stety czy niestety wynik wyborów nie pozwala sprawdzić hipotezy, czy wszystko to było przygotowaniem do koalicji z PiS (o co głównym posądzanym jest kolega Wipler). Ujawnienie ostatniego dnia „taśm Banasia” spowodowało dużą stratę głosów i PiS (bo prezes NIK uważa PiS za straszne zło), i Konfederacji (bo spiskuje z PO) – a zyskała nieoczekiwane Trzecia Droga. I teraz nie wiemy, co by nastąpiło.

Na razie jestem członkiem (a nawet prezesem założycielem) Nowej Nadziei – i w tym charakterze nie wyrażę zgody na jakąkolwiek koalicję... jeśli oddałaby nas ona od celu. A ja od 60 lat walczę o wolność, własność i sprawiedliwość. I nie mam zamiaru przestać.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

Pierwszą ofiarą wojny jest prawda” – głosi powiedzenie przypisywane amerykańskiemu politykowi Hiramowi Johnsonowi. Był on zdecydowanym przeciwnikiem wejścia Stanów Zjednoczonych do pierwszej wojny światowej, później zaś jednym z przywódców amerykańskich izolacjonistów. Johnson dobrze wiedział, co mówi. Był naocznym świadkiem bezprecedensowej kampanii propagandowej, zainicjowanej w Stanach Zjednoczonych w celu skłonięcia społeczeństwa amerykańskiego do przystąpienia do wojny. Jedną ze sprężyn tej kampanii był sam prezydent amerykański Woodrow Wilson, który w trakcie kampanii wyborczej w 1916 r. gromko zapewniał wyborców, że do europejskiej jatki przystąpić nie zamierza. Hasło wyborcze Wilsona brzmiało wówczas tak: „On trzymał nas z dala od wojny”. Walczący o reelekcję prezydent obiecywał swoim wyborcom, że zamierza czynić tak nadal. Już kilka miesięcy po wygranych przez niego wyborach amerykańscy żołnierze płynęli przez Atlantyk do Francji.

ZACHOWANIE PAŃSTW NEUTRALNYCH

Zupełnie zrozumiałe jest prowadzenie przez strony uczestniczące w konflikcie wojny propagandowej. Kiedy żołnierze setkami giną na froncie, a tysiące ich kolegów stają się inwalidami lub idą do niewoli, dziennikarzom trudno jest uchylać się od służenia interesom swojego kraju. Czynią tak rzadko, także w obawie przed różnego rodzaju nieprzyjemnymi konsekwencjami. Jakże powinny być obowiązki mediów na wojnie i czy jest tam miejsce na wierne opisywanie faktów – to temat zarówno ciekawy, jak i trudny do rozstrzygnięcia. Media służą przecież społeczeństwu, dla którego jednym z celów jest zwycięstwo nad wrogiem. Nie jest to jednak cel jedyny. Wojna nie zawiesza przecież podmiotowości społeczeństwa, które, aby podejmować racjonalne decyzje, musi być o otaczającej rzeczywistości rzetelnie informowane. Jeśli media, zaprzęgnięte do rydwanu wojennej propagandy, produkują głównie historyczne emocje i celową dezinformację, to czy wojnę prowadzi jeszcze demokratyczne, rządzone przez upodmiotowionych obywateli państwo? Skąd

mogą oni czerpać wiedzę niezbędną do podejmowania roztropnych decyzji?

Są to jednak dylematy stojące przed aparatem propagandowym krajów uczestniczących w wojnie. W wypadku państw neutralnych (a takim – zarówno wobec wojny na Ukrainie, jak i konfliktu na Bliskim Wschodzie – jest Polska) sprawa powinna być zdecydowanie prostsza. Media państwa neutralnego zobowiązane są jak najrzetelniej informować obywateli, którzy właśnie w obliczu konfliktów zmuszeni są podejmować najważniejsze, brzemiennie dla przyszłości wspólnoty

decyzje. Mam tu na myśli zjawisko opisywania pewnych faktów falami, przy pomocy bliźniaczych fraz, a zarazem równie stadnego przemilczania innych zjawisk.

Gdy należało zachwycać się potęgą i rozmachem ukraińskiej kontrofensywy, zachwyty takie królowały na łamach wszystkich polskich mediów głównego nurtu. „Powolna, ale nieubłagana” – komentowano w prasie ślimacze tempo natarcia. Eksperci widzieli w tym nawet oryginalny, skuteczny wynalazek Ukraińców – „kontrofensywę pełzającą” – a jeden z nich przypisał naszym

Atak w samoobronie



Dariusz Wieroniewicz

Media w Polsce nie odgrywają poprawnie swojej roli. Widać to szczególnie wyraźnie na przykładzie relacjonowania przez nie wojny na Ukrainie, a ostatnio konfliktu w Gazie

decyzje. W żadnym innym czasie nie mają one do odegrania równie odpowiedzialnej roli. Obywateli uczestniczących w pokojowym życiu publicznym w najważniejszych dotyczących ich sprawach okłamywać się nie powinno. Reguła ta przestała obowiązywać nad Wisłą.

Propagandowy charakter naszych mediów widać szczególnie wyraźnie na przykładzie wojny na Ukrainie, a ostatnio konfliktu w Gazie. I w jednym, i w drugim przypadku przekaz zdominowały głosy skrajnie emocjonalne, silnie wartościujące opisywane wydarzenia, a także – co szczególnie ciekawe – masowo wybór-

sąsiadom zastosowanie po raz pierwszy w historii „kontrofensywy hybrydowej”, która frontu co prawda nie przesuwła, ale atakuje „operacjami wymierzonymi w infrastrukturę krytyczną w samej Rosji”. Im bardziej ofensywy nie było, tym głośniejsze sukcesy reklamowały media.

„Zapowiadana kontrofensywa właśnie trwa. Nie chodzi o spodziewane frontalne natarcie armii. Tego raczej nie zobaczymy” – przekonywał propagandzista przedstawiany jako ekspert od bezpieczeństwa międzynarodowego.

Po prawie sześciu miesiącach chóralnego powtarzania podobnych fantazji

■ ktoś nagle „przełożył wajchę”. Jeden z polskich generałów orzekł niespodziewanie, że żadnej ofensywy w ogóle nie było. Działania na froncie nie odpowiadały „podręcznikowym definicjom” kontrofensywy, miały charakter nie operacyjny, a taktyczny, terytorium odbitego przez Ukraińców jest po wielu miesiącach tyle, co pół polskiego powiatu. Dla powodzenia kontrofensywy niezbędne jest panowanie w powietrzu, którego Ukraińcy nie mieli. Fakty te – sprawiające wrażenie łatwych do ustalenia – miesiącami umykały uwadze dziennikarzy i „ekspertów”. Niedługo później do fiaska przyznał się ukraiński dowódca, gen. Żałużny, co debatę o „hybrydowym sukcesie” ostatecznie zamknęło.

Żałużny wziął przynajmniej winę na siebie – polskie media nie przyznały się do żadnych przekłamań. Jak oczywista i udana była kontrofensywa wiosną i latem, tak niebyła i niemożliwa stała się w połowie jesieni.

SPEKTAKULARNE ZMIANY POGLĄDÓW

Szczególnie jaskrawo objawiają się spektakularne zmiany poglądów w stawianych gromko zarzutach popełniania zbrodni wojennych. Amunicja kasetowa była zakazana i zbrodniczą wtedy, gdy używali jej Rosjanie. Gdy tylko Stany Zjednoczone dostarczyły ten rodzaj broni Ukraińcom, jej ludobójcze właściwości ulotniły się niczym poranna rosa. Te same media, które w emocjonalnych spazmach rozpisywały się nad ogromem zadawanych przy jej pomocy cierpień, teraz oschle stwierdziły, że USA, Polska i Ukraina konwencji o zakazie amunicji kasetowej nie podpisały i nazywanie jej „zabronioną” to grube nieporozumienie. Ci, którzy w stosowaniu amunicji kasetowej widzieli dowód rosyjskiego ludobójstwa, odkryli po prostu jego „hybrydowy” charakter.

Amunicja fosforowa, gdy używać jej mieli Rosjanie na Ukrainie, była bronią przerażającą i zakazaną. Oto jak sugestywnie opisywał jej działanie relacjonujący wojnę na Ukrainie dziennikarz „Rzeczpospolitej”: „Ostrzał białym fosforem wygląda na pierwszy rzut oka jak pokaz sztucznych ogni rozświetlających nocne niebo. Jego skutki są jednak

zdecydowanie bardziej przerażające. W kontakcie z ciałem płonąca substancja, osiągająca temperaturę ponad tysiąca stopni Celsjusza, pali je do kości. Nie da się jej ugasić wodą. Często jedynym ratunkiem dla człowieka jest wycięcie palącego się fragmentu skóry”. Jakby tego było mało – jak pisze autor – „biały fosfor może przedostać się do krwiobiegu, zatruwając nerki, wątrobę oraz serce. Ludzie mogą umrzeć, po prostu wdychając jego opary”. Spalający się fosfor wytwarza bardzo silnie trujący gaz. Dlatego też człowiek, który znajdzie się w zasięgu tej broni, albo umrze w męczarniach z powodu oparzeń, albo powoli dusząc się toksycznymi oparami”.

Użycie tak „niehumanitarnej” broni pośród ukraińskiej ludności cywilnej opisywane było jako ewidentna zbrodnia wojenna. „Prawo międzynarodowe zabrania atakowania osób cywilnych i obiektów cywilnych. Walczące strony powinny je odróżniać od celów wojskowych. Masowe ataki naruszają tę zasadę.

Atak jest również niezgodny z prawem, jeśli można oczekiwać, że spowoduje on przypadkowe straty wśród cywilów, które są nadmierne w stosunku do spodziewanej korzyści wojskowej. To zasada proporcjonalności. Z kolei zasada ostrożności wymaga od walczących stron podjęcia środków w celu uniknięcia krzywdy ludności cywilnej” – tłumaczyła „Rzeczpospolitej”, oczywiście w odniesieniu do Ukrainy, holenderska ekspertka od prawa międzynarodowego.

Amunicja fosforowa zmienia jednak swoje fizyczne i prawne właściwości, kiedy używa jej Izrael w Strefie Gazy. Udostępnione przez organizację Human Rights Watch filmy, na których widać jej użycie, przedstawiać zaczynają enigmatyczne „smugi białego dymu”. Zdaniem ogarniętej nagłym sceptycyzmem „Rzeczpospolitej”: „Palestyńskie kanały telewizyjne emitowały w ostatnich dniach nagrania pokazujące cienkie smugi białego dymu na niebie nad Strefą Gazy, które według nich były spowo-





Ratowanie ofiar bombardowania
w Khan Yunis na południu
Strefy Gazy, 7 listopada

FOT. LOAY AYYOUB/THE WASHINGTON POST/GETTY IMAGES

dowane przez taką amunicję”.

Jak wywodzi w tym samym artykule „Rzeczpospolita”: „Amunicja z białym fosforem może być legalnie używana na polach bitew m.in. do tworzenia zasłon dymnych, oznaczania celów lub palenia bunkrów i budynków”.

Co więcej – niespodziewanie, choć z wyraźną satysfakcją polski dziennik odkrywa: „Ponieważ ma legalne zastosowania, biały fosfor nie jest zakazany jako broń chemiczna na mocy konwencji międzynarodowych, ale może powodować poważne oparzenia i wznęcać pożary. Biały fosfor jest uważany za broń zapalającą na mocy Protokołu III do Konwencji o zakazie użycia pewnych broni konwencjonalnych. Protokół zabrania używania broni zapalającej przeciwko celom wojskowym znajdującym się wśród ludności cywilnej. Izrael nie podpisał go i nie jest zobowiązany do jego przestrzegania”.

Holenderskiej ekspertki, cytowanej przy okazji bombardowań ukraińskich

cywilów, tym razem o komentarz nie poproszono.

ZABYTKI OPŁAKIWANE I TE INNE

Jak widać, amunicja fosforowa, przemieszczając się z Ukrainy do Strefy Gazy, staje się bronią jak najbardziej legalną – a zarazem niemożliwą do rozpoznania. Jest to niewątpliwie zmiana na lepsze. Odwrotną ewolucję przechodzą zabytki – im dalej na południe, tym mniejsza staje się ich wartość.

Zabytkowe budowle uszkodzone przez Rosjan na Ukrainie wzbudzają żywiołowe jęki ekspertów, muzealników i dziennikarzy. Zniszczony izraelskimi pociskami prawosławny kościół św. Porfiriusza w Gazie prawie nie wzbudził zainteresowania polskich mediów. W kościele chronili się wierni, z których co najmniej kilkunastu zginęło. Świątynia, pochodząca z V w. n.e., uważana jest za jeden z najstarszych kościołów chrześcijańskich na świecie. Chroni ona grobowiec św. Porfi-

riusza, zmarłego w roku 420. Natknięcie się w polskich mediach na wzmiankę o współczesnych losach tego kościoła – zakrawać może na cud, dokonany zapewne za sprawą świętego.

Wielokrotnie więcej miejsca poświęciły polskie media zniszczeniu przez Rosjan w niewielkiej osadzie Iwanków 20 obrazów ukraińskiej artystki ludowej Marii Prymaczenko. Już w roku 1966 otrzymała ona Narodową Nagrodę im. Tarasa Szewczenki, zajmując się głównie rysunkiem, haftem i malarstwem ceramicznym. W latach 70. wiele z jej prac zdobyło zasłużoną sławę, pojawiając się na sowietkich znaczkach pocztowych, o czym informowały nas z należytym przejęciem Onet, „Rzeczpospolita” i „Gazeta Wyborcza”.

MEDIA TRACĄ AUTORYTET SPOŁECZNY

Jest rzeczą zrozumiałą, że wojna na Ukrainie odbija się w polskich mediach większym echem niż masakra Palestyńczyków w Gazie. Rozumiem, że wielu dziennikarzy czuje do dzielnych Ukraińców zrozumiałą sympatię i chęć niesienia pomocy. Pomoc nie może jednak polegać na otoczeniu wojny na Ukrainie zasłoną kłamstw. Postępujący tak propagandyści wyświadczać Ukraińcom niedźwiedzią przysługę. Fakt, że przykład dali im politycy, nie jest żadnym wytłumaczeniem.

Podobnie mają się sprawy w przypadku prowadzonej przez Izrael wojny. Trwający od dziesięcioleci konflikt izraelsko-arabski trudny jest do jednoznacznej oceny i postronnym obserwatorom wydawać się może niezrozumiałą zagadką.

Szeregi obrońców w ruiny cywilnych budynków nie są jednak szaradą niezrozumiałą dla dziennikarza lub widza. Setki cywilnych ofiar w zbombardowanym przez Izrael obozie dla uchodźców nie zasługują z pewnością, by opisując tę tragedię portal Interia brał słowo „masakra” uparcie i wielokrotnie w cudzysłowie.

Polskie media nie tylko tracą w ten sposób autorytet społeczny, lecz także jawnym zakłamywaniem rzeczywistości deprawują swoich czytelników i widzów. Biorą tym samym w cudzysłów nie tylko dziedzictwo kultury, której powinniśmy bronić, lecz także samą prawdę – należną od nas tysiącom niewinnych i nieusprawiedliwionych ofiar.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Z Moniką Jabłońską,
autorką książek o Janie Pawle II
rozmawia Radosław Wojtas

Świadek nadziei



FOT. CHUCK FISHMAN/GETTY IMAGES

RADOSŁAW WOJTAS: Czy książka „Papież oczami świata” jest reakcją na to, co dzieje się ostatnio wokół postaci Jana Pawła II?

MONIKA JABŁOŃSKA: Książka nie jest reakcją na ataki na Jana Pawła II. To jest moja druga publikacja o polskim papieżu. Jest kontynuacją mojej pracy nad tematyką związaną z Janem Pawłem II, która rozpoczęła się ponad 20 lat temu. Pomysł na książkę narodził się dawno temu. Wtedy nikt nawet nie pomyślał, że taka okropna sytuacja może mieć miejsce w kraju Jana Pawła II. Polacy? Naprawdę? Czy rodacy mogliby zrobić coś tak obrzydliwego swojemu papieżowi? Do dzisiaj trudno w to uwierzyć.

O Janie Pawle II powstały setki książek, tysiące artykułów, wiele filmów itd. Wydawać by się mogło, że o papieżu Polaku powiedziano tak wiele, że trudno cokolwiek dopowiedzieć. Czy od swoich rozmówców dowiedziała się pani czegoś nowego?

Powiedziano dużo, ale nie wszystko. Ciągłe jest coś nowego do odkrycia, zbadania, przemyślenia. Osobiście pracuję nad nowymi projektami poświęconymi polskiemu papieżowi. Wiedzy o Janie Pawle II nie sposób zgłębić, wyczerpać. Każde świadectwo o Janie Pawle II zawarte w mojej nowej książce to kopalnia wiedzy o Wielkim Człowieku. Jan Paweł II jest

nadal autorytetem dla świata i myślę, że także dla wielu ludzi w Polsce. To człowiek Solidarności, wolności, pokoju i miłości. Po atakach na Jana Pawła II w jego ojczystym kraju pomyślałam, że niektórzy Polacy nie wyciągnęli żadnych lekcji z historii i nie doceniają człowieka, któremu tak wiele zawdzięczają. Resztę już znamy.

Zaskakujące mogą być słowa kard. Angelo Comastri, który opowiadał w rozmowie z panią o lękach Jana Pawła II. Okazuje się, że ten, który z takim przekonaniem mówił „nie lękajcie się”, sam miewał momenty, gdy się czegoś bał.

To jest raczej pytanie do kard. Comastriego, a nie do mnie. Nie będę spekulować. Strach jest ludzki. Jan Paweł II był człowiekiem. Czy miał prawo się czegoś bać? Pewnie tak. Czego się bał? Tego nie wiem. Mogę się tylko domyślać, że bał się o swój kraj i rodaków, gdy wprowadzono stan wojenny. Przecież mogła nastąpić tragedia antykomunistycznego powstania i sowieckiej interwencji. Na szczęście tak się nie stało.

Na liście pani rozmówców znaleźli się bliscy współpracownicy Jana Pawła II, duchowni, historycy, a także artyści czy... syna Ronald Reagana i żona Donalda Trumpa. Według jakiego klucza dobierała pani osoby dające świadectwo o Janie Pawle II?

Nie miałam żadnego klucza. Pracując w temacie Jana Pawła II od ponad 20 lat, miałam dobre rozpoznanie co do osób, które chciałam zaprosić do swojego projektu. Niektóre z nich poznałam przy rozmaitych okazjach. Inne związane były z moją papieską pasją. Większość z tych osób to autorytety w temacie Karola Wojtyły, komunizmu, Jana Pawła II i jego pontyfikatu. Z niektórymi współpracuję zawodowo, niektóre osoby to bliscy przyjaciele, inni to znajomi. Zależało mi na tym, aby zaprosić do projektu różne osoby, z różnych środowisk, wówczas tematyka rozmów jest różnorodna i przez to ciekawsza. Przyświecał mi jeden cel, aby historie moich rozmówców dotarły do jak największego grona publiczności – zarówno w Polsce, jak i na świecie.

Iloma językami władał Jan Paweł II? Czy polski pozostał najważniejszym językiem „papieża z dalekiego kraju”?

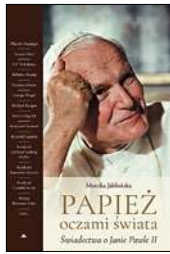
Jan Paweł II był prawdziwym poliglota, mówił kilkoma językami obcymi. Potrafił czytać w kilkunastu. Język polski pozostał jednak najważniejszym językiem dla papieża. Potwierdził to ks. Paweł Ptasznik, który na co dzień pracował z Ojcem Świętym. W mojej książce wspomina: „Jan Paweł II zawsze pisał po polsku [...]”. Nie ukrywał tego, że najpełniej udaje mu się wyrazić myśl w języku polskim, a zależało mu na precyzji wypowiedzi. Poza tym jego wrażliwość na sprawy ludzkie i przeżycia duchowe była zakorzeniona w kulturze i literaturze polskiej. Był mistrzem słowa i czasem w oparciu o znaczenie jednego słowa potrafił zbudować całe przemówienie”.

Czy jest jakiś jeden wspólny dla wszystkich pani rozmówców obraz Jana Pawła II? Jakie cechy czy przemyślenia pojawiają się najczęściej?

Wielki człowiek. Autorytet. Świadek nadziei. Człowiek wiary, modlitwy, wolności, solidarności, pokoju, miłości i prawdy. Papież, który zapisał się na kartach historii jako człowiek niezwykle i wyjątkowy.

Jedno pytanie przewija się w każdej z rozmów: „Czego potrzebujemy dzisiaj, aby odbudować cywilizację miłości?”. Dlaczego akurat to pytanie?

Ponieważ cywilizacja miłości jest źródłem życia, gwarantem prawdy i wartości. Moje pytanie ma na celu przypomnieć ludziom, że na kryzys cywilizacji trze-



**MONIKA
JABŁOŃSKA**
**„PAPIEŻ OCZAMI
ŚWIATA. ŚWIA-
DECTWA O JANIE
PAWLE II”**
**WYDAWNICTWO
AA 2023**

ba odpowiedzieć cywilizacją miłości opartą na uniwersalnych wartościach pokoju, prawdy, solidarności, sprawiedliwości i wolności. Cywilizacja miłości jest przypomnieniem o ludzkiej godności i naszych ludzkich obowiązkach. W świecie globalizacji tylko od nas, ludzi, szczególnie rządzących, będzie zależeć, czy społeczeństwo wybierze zasady „służące ludzkiej osobie, stworzonej na obraz i podobieństwo Boże”. Każdy z nas może zmienić świat.

Czego więc „potrzebujemy dzisiaj, aby odbudować cywilizację miłości”?

Boga. Modlitwy. Prawdy.

Wiele stawianych przez panią pytań i uzyskiwanych odpowiedzi jest gorzkich, nie pozostawiają wątpliwości, że znaleźliśmy się w kryzysie, że niewiele z nauki Jana Pawła II w nas zostało.

Od lat mam wgląd w różne projekty o Janie Pawle II, które dzieją się w Polsce i na świecie, byłby pan zdumiony, jak wiele

z nauki Jana Pawła II pozostało w ludzkich sercach. Są ludzie i organizacje, miejsca, które żyją nauką i spuścizną Jana Pawła II. Może nie pisze się o nich na pierwszych stronach gazet czy nie mówi w programach telewizyjnych, ale to m.in. dzięki nim dzieją się na świecie rzeczy dobre, wielkie i piękne. Moim zdaniem największy kryzys, który dotknął świat, to kryzys duchowy. Człowiek żyjący bez Boga. Człowiek pogrążony

w rozterkach i chaosie. Człowiek samotny i biedny. Człowiek, który oszalał z nadmiaru wolności. Na wyzwania zsekularyzowanego świata, radykalne zmiany społeczne i kulturowe czy też rozkład tradycyjnych form, kryzys osoby ludzkiej, kryzys człowieka, rozpad rodziny, kryzys wartości i „jakąś wolność, a czasem szat wolności uwikłanej w gąszcz” jedyną propozycją jest Chrystus. „Człowieka bowiem nie można do końca zrozumieć bez Chrystusa. A raczej: człowiek nie może siebie sam do końca zrozumieć bez Chrystusa. Nie

może zrozumieć, ani kim jest, ani jaka jest jego właściwa godność, ani jakie jest jego powołanie i ostateczne przeznaczenie” – jak powiedział Jan Paweł II. Ludzie mogą drwić z tych słów, ale prawda jest taka, że bez wiary, bez Boga, bez modlitwy życie człowieka traci sens. Prędzej czy później każdy z nas dojdzie do takiej refleksji. Oby tych gorzkich lekcji cierpienia dla wielu było jak najmniej.

Zadała pani wiele pytań wielu osobom o Jana Pawła II. Jaka jest pani refleksja na temat Jana Pawła II? Kim jest w pani życiu?

Jest kimś, kto na zawsze zmienił moje życie. Mówię to ze wzruszeniem i z ciepłem w sercu. Im bardziej brnę w głąb myśli Karola Wojtyły/Jana Pawła II, tym bardziej jestem pełna wzruszeń, zachwytów, wrażeń i poznai.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



Monika Jabłońska – autorka książek o Janie Pawle II. Ukończyła prawo w Polsce i Stanach Zjednoczonych.

REKLAMA

Wyzwiska, ośmieszanie, bicie. Przemocy w szkole trzeba powiedzieć NIE

Dla jednych szkoła to miłe wspomnienie - lata zdobywania wiedzy i nauki, niezapomniane chwile i przeżycia, wycieczki, przyjaźnie na lata. Niestety, dla wielu uczniów w Polsce sama myśl o szkole to koszmar. Nie ze względu na konieczność nauki, ale przemoc, jakiej doświadczają ze strony rówieśników. To nie tylko przemoc fizyczna, ale często wyniszczająca przemoc psychiczna. Jakimkolwiek przejawom agresji rówieśniczej trzeba powiedzieć zdecydowanie NIE.

Tomek jest uczniem technikum ekonomicznego. Swoją przyszłość wiąże z rodzinną firmą, dlatego jest zdeterminowany do nauki, by w przyszłości odziedziczyć biznes po ojcu. Zawsze pilnie się uczył, był przygotowany na każdy sprawdzian, z odpowiedzi dostawał piątki. Właśnie dlatego przez wielu był nazywany kujonem. Jego determinacja i zaangażowanie rozdziły nienawiść ze strony rówieśników. Początkowo był wyśmiewany i wytykany palcami na szkolnym korytarzu, ale nikt na to nie reagował, bo przecież to "normalne w tym wieku". Tomek czuł się jednak coraz bardziej zastraszony, a negatywne zachowania ze strony kolegów ze szkoły zaczęły się nasilać. Brak reakcji na psychiczne znęcanie doprowadziło do niekontrolowanej eskalacji napięcia.

Koleczy z klasy Tomka umówili się i napadli go, gdy wracał po szkole do domu. Gnębili chłopaka, zmuszali go do poniżających zachowań, w końcu skopali i zostawili na pastwę losu. Całe zdarzenie nagrywali telefonem, a później udostępnili w sieci. Sytuację zauważyła nauczycielka, która zadzwoniła na policję i odstraszyła napastników. Kilka dni później mama Tomka została wezwana do szkoły, gdzie udało się ją namówić do wizyty w Lokalnym Punkcie Pomocy Pokrzywdzonym Przepęstewem, gdzie Tomek uzyskał profesjonalną pomoc psychologiczną i prawną. Do tej sytuacji mogłoby nie dojść, gdyby ktokolwiek z otoczenia nastolatka zareagował i pomógł mu w odpowiednim momencie zatrzymać przemoc.

Widzisz przemoc? Nie możesz milczeć!

Takich historii w całej Polsce niestety nie brakuje. Przemoc w szkole poważny problem, który często jest lekceważony i tłumaczony wiekiem buntu. Dlatego tak ważne jest zapobieganie i przeciwdziałanie wszelkim przejawom agresji i przemocy. Zwracamy uwagę na nasze otoczenie - kolegów ze szkoły, znajomych. Gdy widzimy, że komuś dzieje się krzywda, powinniśmy reagować natychmiast. Naszą czujność powinna wzbudzić każda zmiana zachowania, uciekanie od kontaktu, izolowanie się od znajomych. Słyszysz krzyki i płacz za ścianą? To wołanie o pomoc! Nie udawaj, że ich nie ma, bo właśnie ta decyzja może zdecydować o czymś bezpieczeństwie.

Zauważyłeś, że dziecko Twoich sąsiadów jest nieśmiałe i ma siniaki na ciele? Jego rodzice znów tłumaczą, że przewrócił się na rowerze? Nie odwracaj wzroku i reaguj. Dzięki temu możesz powstrzymać kolejną tragedię - zadzwoń na Całodobową Linie Pomocy Pokrzywdzonym - 222 309 900, a w przypadku realnego zagrożenia zdrowia lub życia pod numer alarmowy 112.

Jeżeli jesteś ofiarą lub świadkiem przemocy nie bój się prosić o pomoc. Każde dziecko zasługuje na szczęśliwe i bezpieczne dzieciństwo, a każdy dorosły na spokojne i bezpieczne życie. Każdy pokrzywdzony przestępstwem, świadek oraz osoba im najbliższa może skorzystać z bezpłatnej pomocy w ramach Funduszu Sprawiedliwości. Jest ona udzielana w Lokalnych Punktach i Okręgowych Ośrodkach Pomocy Pokrzywdzonym Przepęstewem, których na terenie całej Polski jest 305. Pomoc realizowana jest przez specjalistów, którzy pomogą rozwiązać nawet najtrudniejsze sprawy - są wśród nich m.in. prawnicy, psychologowie, psychoterapeuci i psychiatrzy, doświadczeni także w pracy z dziećmi i młodzieżą. Placówkę blisko miejsca zamieszkania można znaleźć na stronie:

<https://www.funduszsprawiedliwosci.gov.pl/pl/znajdz-osrodek-pomocy/>

Do dyspozycji poszkodowanych jest także **Całodobowa Linia Pomocy Pokrzywdzonym Przepęstewem (222 309 900)**, adres e-mail: info@numersos.pl oraz specjalny czat online.

**Nie bądź obojętny, reaguj na przemoc!
Nie bój się prosić o wsparcie!**

**WIDZISZ PRZEMOC?
NIE MOŻESZ MILCZEĆ!**

WYZWISKA

OŚMIESZANIE

BICIE

**PRZEMOCY W SZKOLE
TRZEBA POWIEDZIEĆ**

NIE

CAŁODOBOWA LINIA POMOCY
POKRZYWDZONYM
222 309 900

Fundusz
Sprawiedliwości



Piotr Semka

Wystawa w Berlinie pokazuje, jak w mechaniczny sposób używa się zasad „wokeizmu” do definiowania kulturowego dziedzictwa Niemiec

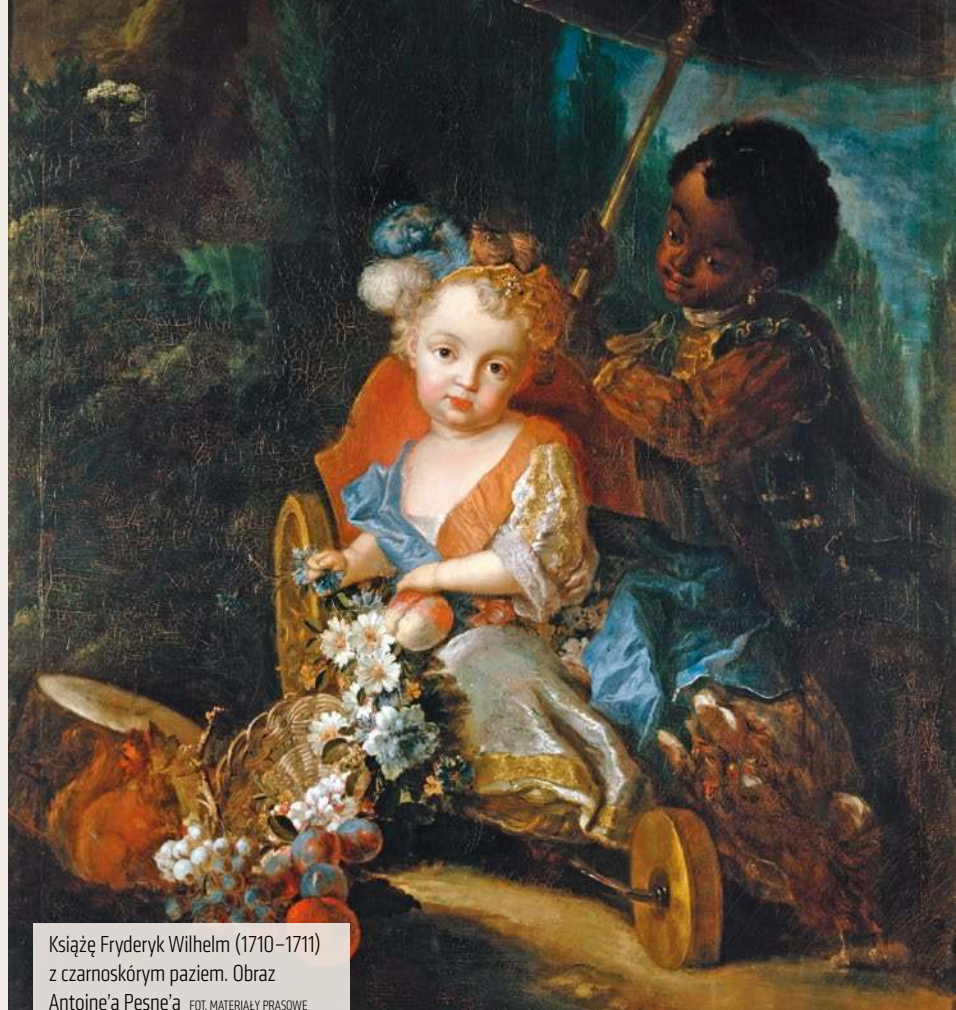
Fundacja Pruskie Pałace i Ogrody to działająca w RFN instytucja zajmująca się pielęgnowaniem dziedzictwa po królewskich i książęcych rezydencjach pałacowych.

Jakiś czas temu zrobiło się o niej głośno, gdy niemiecka pełnomocnik rządu do spraw kultury Claudia Roth zapowiedziała, że zmieniona zostanie nazwa tej instytucji. Ów przymiotnik „pruski” w nazwie odnosił się do tego, że po wojnie potrzebna była jakaś instytucja, która zajęłaby się majątkami po cesarskim rodzie Hohenzollernów i objęte opieką obiekty znajdowały się na terenie byłych Prus. Ale dzisiaj ta instytucja obejmuje znacznie więcej obiektów w różnych częściach Niemiec i przydomek pruski jest już pewnym anachronizmem. Fundacja bardzo ostro broni swojej nazwy i, jak się wydaje, w ramach tej akcji obronnej postanowiła zademonstrować swoją wrażliwość na nowe trendy. Być może dlatego zakończona niedawno wystawa „Pruskie pałace i ich kolonialne historie” wykazała ideologiczny zapał godny amerykańskiej kultury woke. Wystawa w zamku Charlottenburg miała być podsumowaniem imperialistycznego dziedzictwa Prus, Brandenburgii, a w końcu Cesarstwa Niemieckiego.

DWIE NIEUDANE PRZYGODY KOLONIALNE

Jeśli być ścisłym, to były dwa niemieckie epizody podbojów kolonialnych. Pierwszy w latach 1683–1717, kiedy to elektor brandenburski Fryderyk Wilhelm stworzył kompanię, która miała założyć faktorię na brzegu Ghany i czerpać zyski z handlu złotem, kością słoniową i niewolnikami. Pruscy władcy szybko zorientowali się jednak, że cała impreza jest o wiele bardziej kosztowna w stosunku do zysków, niż im się wydawało, i w 1717 r. resztki interesu sprzedano

Prusy na czarno



Księżę Fryderyk Wilhelm (1710–1711) z czarnoskórym paziem. Obraz Antoine'a Pesne'a

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Holendrom. Druga epoka kolonialna to lata 1884–1918, kiedy to wskutek imperialnych ambicji cesarza Wilhelma II Niemcy zdobyły trzy kolonie w Afryce oraz parę wysepek na Pacyfiku, na czele z jedyną sporą kolonią na terenie północnej części obecnej Papui-Nowej Gwiney i wreszcie w ramach zdobywania przyczółków na terenie Chin wyszarpały sobie port Tsingtao.

Obie przygody trwały tyle samo – po 34 lata. Na tle blisko 450-letniej epopei kolonialnej Portugalii, niewiele krótszej przygodzie z zamorskimi terytoriami

Hiszpanii czy ok. 300 lat budowy brytyjskiego i francuskiego imperium kolonialnego niemiecka przygoda z podbojem w tropikach wydaje się krótka. Choć oczywiście, a szczególnie w tym drugim okresie na przełomie wieków XIX i XX, Niemcy zdążyły zaznaczyć się na kartach historii brutalnymi pacyfikacjami z najbardziej znanym ludobójstwem grup etnicznych Herero i Nama na terenie dzisiejszej Namibii. Ale polityczna poprawność ma swoje prawa. Nic więc dziwnego, że studia i badania nad niemieckim kolonializmem przeżywają rozkwit.

Tym bardziej że Niemcy dorobiły się już sporej grupy badaczy o korzeniach afrykańskich lub azjatyckich, którzy z chęcią podejmują ten temat. To oni zresztą w dużej mierze zostali zaproszeni do projektu „Pruskie pałace i ich kolonialne historie”.

Wystawa zaczyna się od bardzo zasadniczego przesłania: „Niemiecka przeszłość kolonialna jest widoczna w pałacach Berlina i Brandenburgii. Fundacja nasza zaczyna zwracać uwagę w sposób otwarty na tę część swego dziedzictwa. Biografie osób (z krajów egzotycznych, które służyły na dworach) są częścią pruskiej historii, podobnie jak kolonialne akcenty w sztuce i kolekcjach artystycznych. Ta wystawa ma pomóc zmierzyć się z tym dziedzictwem”.

Autorzy wystawy ostrzegają, że w salach można trafić na rasistowskie i oparte na stereotypach wizualizacje i rasistowskie terminy używane w przytoczonych źródłach. Najbardziej drażliwą kwestią okazało się niemieckie słowo „Mohr”, czyli tłumacząc na polski – „Maur”. Słowo to występuje w podpisach i komentarzach ekspozycyjnych w przedziwnej formie litery M i następującym po niej prostokątku wypełniającym ileś liter odpowiadających „niewymawianemu” określeniu.

Ale wróćmy do kolonialnych ambicji Brandenburgii. Wystawę otwiera portret Ottona Fryderyka hrabiego von der Groebena (1657–1728). Ten niemiecki awanturnik pochodził z Napratów koło Lidzbarka Warmińskiego. W ciągu życia był kolejno żołnierzem armii króla Augusta Sasa, korsarzem na Morzu Śródziemnym, najemnikiem w armii hiszpańskiej, a potem weneckiej. Z racji swej sporej wiedzy o egzotycznych krajach zrobił bardzo dobre wrażenie na elektorze brandenburskim, który zazdrościł zagranicznym władcom fortun wyrosłych na handlu korzeniami, kością słoniową i niewolnikami. Powstała specjalna kompania do wspierania handlu z Afryką i von Groeben zdobył i wybudował pierwszy skrawek brandenburskiej posiadłości na terenie Afryki. Był to fort Gross Friedrichsburg na wybrzeżu dzisiejszej Ghany.

Na portrecie von Groebena eksponowanym na wystawie pruski hrabia wręcza plan przyszłej fortecy czarnoskóremu mężowi (kierownik budowy?).

Kroniki odnotowują, że w ciągu 34 lat istnienia fortu pod sztandarem Brandenburgii, a potem Prus przybyło do nich aż 97 statków. Ilu zabrały niewolników – nikt nie wie. Oszczędną następcą wielkiego elektora pruskiego, król pruski Fryderyk I, z czasem trzeźwo ocenił, że kolonialna awantura zjada więcej pieniędzy, niż daje zysków. Fort przejęli Holendrzy, którzy od początku traktowali Prusaków na afrykańskim wybrzeżu jako niepożądanych konkurentów. A po całej inicjatywie kampanii afrykańskiej został tylko przedstawiany na wystawie medal z klęczącym niewolnikiem trzymającym przed sobą ogromną tacę z licznymi słoniowymi kłami. Niewiele.

PRUSKIE PAŁACE POD LUPĄ

Skoro kolonialna awantura skończyła się bardzo szybko, to o czym jeszcze traktuje wystawa? – spyta ktoś.

Historycy przyjrzeni się dokładnie byłym pałacom rodu Hohenzollernów i innych pruskich arystokratów. Jak piszą autorzy ekspozycji: „Pruskie pałace uważane są za wspaniałe, imponujące i bogato wystrojone. Jednocześnie są one miejscami naznaczonymi akcentami rasizmu, egzotyizmu, z licznymi nawiązaniami do niewolnictwa, rabunkowej eksploatacji i przemocy”. Jak samokrytycznie wyznają autorzy wystawy: „Niegdyś nie poruszano tych wątków, ale nawiązania do rasizmu rzucają się w oczy, im mocniej podejmujemy rozliczenie z niemieckim kolonializmem”.



Czarnoskóry sługa H.K. Kerallach z psami księcia Karola Pruskiego. FOT. MATERIAŁY PRASOWE

No i tu zaczyna się problem. Bo cały XVII- i XVIII-wieczny pociąg do egzotyki, sporządzanie artystycznych personifikacji pozaeuropejskich kontynentów czy latarnie w kształcie Murzynów z kłami słonia w dłoniach zostają na wystawie zaliczone do godnych potępienia nośników ideologii kolonialnej.

Oto na wystawie oglądamy grafiki pokazujące wielkie widowisko, które na rozkaz króla Fryderyka II odbyło się w Berlinie w 1740 r. Był to pokaz wołyżerki z jeźdźcami ubranymi w wyobrażenia starożytnych strojów. Show miał przedstawiać cztery ludy antyczne: Rzymian, Persów, Greków i Kartagińczyków. Rekonstruktorów kartagińskich, do czego zatrudniono pruskich jeźdźców, wysmarowano czarną farbą, co każe autorowi podpisać zaliczyć cały pokaz do demonstracji rasizmu. Ale patrząc na rysunki, nic nie wskazuje, że „czarni” Kartagińczycy przedstawieni byli w trakcie jeździeckiego show jako jakaś gorsza lub godna pogardy nacja. Już sam fakt zrównania ich z narodami, które w europejskiej tradycji uważane były za bitne i heroiczne, nie przynosi owym malowanym Kartagińczykom żadnego uszczerbku na honorze.

Kolejnym dowodem na pogardę wobec ludzi z innych kultur ma być fakt, że na plafonie jednej z sal pałacu w Charlottenburgu na malowidle mitologicznym „Wjazd Aurory (Jutrzenki)” uwieczniony jest czarnoskóry chłopiec próbujący zatrzymać koła rydwanu bogini. I znów w podpisie cały esej, jak to z czarnym kolorem skóry kojarzono niegdyś demoniczność i ciemnotę.

Następnym przykładem na rasistowską nienawiść do „innego” to drewniane pachołki na turnieju jeździeckim zorganizowanym w 1648 r. przez elektora pruskiego w Jülich wystylizowane na postaci Turków z charakterystycznymi turbanami. Ale czy można, tak jak tego chcą autorzy wystawy, uznawać to za dowód jakichś morderczych skłonności wobec narodów Orientu? Wiek XVII to okres licznych wojen Świętego Cesarstwa Narodu Niemieckiego z osmańską Turcją. Drewniane pachołki, w które wbijano oszczep albo które siekano szablą, były reminiscencją walk z janczarami służącymi wielkiemu sułtanowi z Konstantynopola. Na tej samej zasadzie na

■ szwedzkim okręcie „Wasa” z 1628 r. jest wyrzeźbiona prześmiewcza figura spętanego polskiego szlachcica – symbol Rzeczypospolitej, z którą w XVII w. Szwecja prowadziła liczne wojny.

Kolejny przykład, który przedstawiany jest jako prezentacja ignorancji wobec kultur pozaeuropejskich, to portret wielkiego księcia Wilhelma Karla (1783–1851), brata króla Fryderyka Wilhelma III, który przedstawiony jest w kostiumie hinduskiego monarchy Aurangzeba, władcy z epoki Wielkich Mogołów. Ale znów, jeśli dokładnie wczytać się w podpis pod portretem, można zorientować się, że owo przebranie na wielki bal dworski w 1821 r. było echem bardzo wówczas popularnego poematu pseudohistorycznego Thomasa Moore’a pt. „Lalla-Rookh”. Owszem, bal, na którym książę Wilhelm Karol zachwycał wszystkich swoim efektownym przebraniem, wywołał w Prusach wielką falę mody na orientalizm. Ale tak naprawdę poemat Moore’a był ubraną w kostium hinduski krytyką bezwzględnej kolonizacji Irlandii przez Anglików w początkach XIX w.

Kolejnym tematem, którym zajmują się autorzy wystawy, jest moda na oranżerie stylizowane na Bliski Wschód, które powstawały w wielu rezydencjach pruskich arystokratów. Modelowym przykładem takiej zabawy w Orient była oranżeria na Wyspie Pawiej w okolicy podberlińskiej posiadłości Wannsee. Ale znówu jedyne, co można zarzucić twórcom takich przebraniek kulturowych, to to, że tworząc własne wyobrażenia o odległych rajskich zakątkach sułtanów i emirów, popełniali wiele błędów. Czy można to jednak traktować jako wrogie zawłaszczenie kulturowe, jak to z wyraźną naganą sugerują autorzy wystawy?

EPOKA „PAŁACOWYCH MAURÓW”

Chyba najciekawszą częścią wystawy jest opisanie fenomenu „pałacowych Maurów” (po niemiecku Kammermohr lub Hofmohr), czyli orientalnych służących, na których moda pojawiła się w końcu XVII w. Byli to pokojowcy, wołyżerzy, chłopcy do posługiwania młodym księżętom, których sprowadzano z zagranicy z racji ich egzotycznej czarnej skóry. Jak piszą autorzy wystawy: „Czarne dzieci trafiały na dwór królewski i dwory arystokratyczne jak egzotyczne trofea. Pruski dwór uspra-



Konny pomnik elektora Brandenburgii Fryderyka Wilhelma (1620–1688) FOT. MATERIAŁY PRASOWE



Alegoria Afryki – figurka z 1767 r. Według katalogu motyw małpki u boku Afrykanina to rasistowski stereotyp FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wiedliwiało to niewolenie ludzkich istnień dobrodziejstwami chrztu i edukacji”.

Owszem, z dzisiejszej perspektywy widać, że młodych czarnoskórych chłopców traktowano jak żywe zabawki. Ale czy traktowano ich jak godnych pogardy podludzi? Gdyby tak było, to ich ojcami chrzestnymi nie zostawiliby członkowie z rodzin królewskich lub postacie z samej czołówki dworskich elit. Bardzo często władcy sponsorowali wychowanie i edukację owych pałacowych „Maurów”. Niektórzy z nich dochodzili do bardzo wysokich stanowisk. Na wystawie przedstawiony jest jeden z nich, który z rozkazu króla Fryderyka Wilhelma I dostawał roczną pensję w wysokości 472 talarów, co odpowiadało solidnej gaży arystokratycznych lokai.

Osobnym zjawiskiem byli czarnoskórzy dudziarze, których król Fryderyk Wilhelm I dobierał do swojej armii. Autorzy wystawy zaznaczają, że spotykali się oni z nietolerancją innych białych żołnierzy, ale funkcjonowali oni na konkretnych etatach żołnierskich ze stałą pensją i prawem do przywilejów żołnierskich kombatantów. Jeszcze ciekawszy jest przykład niejakiego Statusa Frieso,

czarnego sługi, który uciekł z dworu króla Saksonii i który ożenił się z bogatą berlińską mieszczką, aby polepszyć swoją sytuację. Z treści jego biogramu na wystawie można wywnioskować, że nikt nie oponował wobec jego małżeństwa z białą kobietą. Historycy przygotowujący ekspozycję odtworzyli biogramy parunastu czarnoskórych sług pałacowych i prawie we wszystkich wypadkach ich ojcami chrzestnymi byli członkowie rodziny panującej lub margrawowie bądź generałowie armii pruskiej.

Końcowym akordem wystawy są figurki przedstawiające postacie ze świata Orientu, wyobrażenia murzyńskich władców czy wreszcie popularne jeszcze 30 lat temu nawiązania do egzotycznych postaci na reklamach niemieckiej kawy czy czekolady. Autorzy bardzo surowo piętnują te wyobrażenia jako pozostałości rasistowskich stereotypów w życiu publicznym. Czy słusznie? W wielu z tych lepszych lub mniej udanych przedstawieniach jest stereotyp. Ale czy koniecznie stoi za nim jakaś doktryna rasowego upośledzenia?

Wystawa w Charlottenburgu pokazuje, jak w mechaniczny sposób używane są kwalifikowania kulturowego dziedzictwa zasady „wokeizmu”. Najlepszym przykładem, jak bardzo te reguły stosowane są instrumentalnie, jest fragment tekstu na wystawie, odnoszący się do konnego pomnika elektora Fryderyka Wilhelma na dziedzińcu pałacu Charlottenburg. Statua elektora otoczona jest na postumencie czterema zakutymi w łańcuchy jeńcami wziętymi do niewoli w czasie kolejnych bitew władcy Brandenburgii. Jak zaznacza tekst – kolejnych czterech jeńców to Szwed, Francuz, Polak i Turek osmański. Ale – jak czytamy w opisie zamieszczonym w katalogu – tylko personifikacja przedstawiciela Orientu w łańcuchach budzi krytycyzm autorów wystawy. Jak z tego wynika, rzeźba Polaka zakutego w kajdany już na żadne oburzenie nie zasługuje. Polskiego zwiedzającego aż świerzbí ręka, aby wyciągnąć mazak i wywóć ten spuentować cytatem z Mrożka: „Polacy to też murzyni, tylko że biali”. Ale kto by taki dopisek w ogóle zrozumiał...

© © Wszelkie prawa zastrzeżone

Wystawa „Pruskie pałace i ich kolonialne historie – biografie i kolekcje” była czynna w pałacu Charlottenburg w Berlinie między 4 lipca a 31 października 2023 r.



LESZEK ŻEBROWSKI

KOMUCHOŻERCA

„Dąbrowszczacy”

Mocno zapomniana dziś kategoria „zawodowych rewolucjonistów”, uczestników wojny domowej w Hiszpanii (1936–1939), odegrała później szczególną rolę w budowie Polski Ludowej.

Z II RP udało się do Hiszpanii, w celu walki z ramienia sowieckiego Kominternu, kilka tysięcy „ochotników”, w istocie na rozkaz partii komunistycznej. Zrewoltowana Hiszpania stała się poligonem zbrodniczej ideologii, w celu krzewienia światowej rewolucji. Sowietzi byli bardzo zainteresowani tym konfliktem. Hiszpania zapłaciła przerażającą cenę – 500 tys. zabitych. Ofiarami strony gen. Francisca Franco byli głównie uczestnicy wcześniejszych działań zbrojnych po stronie republikańskiej oraz formacji rewolucyjnych. Republikanie skierowali swe ostrze przede wszystkim przeciwko hierarchii Kościoła katolickiego i wiernym. Stosowano wobec nich wyrafowane okrucieństwo, porównywalne z nieco późniejszymi mordami na ludności polskiej, popełnianymi przez ukraińskich nacjonalistów.

Główną siłą republikańską byli międzynarodowi komuniści różnych odniami (w tym stalinistami i trockiści), którzy zamordowali 12 biskupów, 4194 księży, 2365 zakonników i 283 zakonnice. Orgie antykatolickie były porównywalne jedynie ze zbrodniami popełnionymi przez bolszewików po 1917 r. Spór o wojnę

domową w Hiszpanii (czyli o kolejną rewolucję) został zdominowany przez lewicowych, a w istocie prokomunistycznych „intelektualistów” europejskich i światowych. Byli już nauczeni doświadczeniem o skuteczności „pozytywnej” propagandy o „państwie robotników i chłopów”, utrwalali przez dziesiątki lat obraz szlachetnych rewolucjonistów, którzy dzielnie zmagali się z faszyzmem.

Zracji różnorodności językowej rewolucjonistów były problemy z komunikacją między nimi. Jeden z nich, „ochotnik” z Polski, wpadł na pomysł, aby porozumiewać się w języku jidysz. „Przeglądałem się ich uśmiechniętym twarzom i odkryłem coś znajomego w ich wyrazie. »Towarzysze« – spytałem – »czy znacie jidysz«? Ku mojemu zaskoczeniu wielu żołnierzy tej jednostki było Żydami. Niektórzy z nich mówili w jidysz lub rozumieli niektóre słowa w tym języku. Ich rodziny pochodziły z Polski i Rosji, a oni sami byli pierwszym pokoleniem urodzonym w USA. W tych okolicznościach nie miałem trudności z porozumiewaniem się. Dowodzi to po raz kolejny, że jidysz jest językiem międzynarodowym”.

Dziś środowiska lewicowe i lewackie w Polsce usiłują doprowadzić do ich medialnej rehabilitacji (jako sił „postępu i tolerancji”), choć znakomita większość z nich była po prostu zbrodniarzami. Ale, niestety, nieosądzonymi. ©



SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Premiera „Wesela”

Jak wiadomo, najstłynniejszy dramat Stanisława Wyspiańskiego miał swój rzeczywisty pierwowzór, a było nim wesele poety Lucjana Rydla i Jadwigi Mikołajczykówny, które odbyło się 20 listopada 1900 r. w Bronowicach pod Krakowem. Było to wielkie wydarzenie towarzyskie w życiu grodu pod Wawelem, ale jego prawdziwa sława zaczęła się kilka miesięcy później. Niebawem po imprezie Wyspiański zaczął bowiem pisać dramat, który po trzech miesiącach, w połowie lutego, przeczytał w salonie ówczesnego dyrektora Teatru Miejskiego w Krakowie, Józefa Kotarbińskiego. Reakcja była pomyślna i sztuka została przeznaczona do wystawienia.

W tamtych czasach wszystko toczyło się w błyskawicznym tempie i premiera miała miejsce już w połowie marca następnego roku. Sensację wywołał fakt, że w pierwotnej obsadzie nie pojawiali się Dziennikarz czy Radczyni, a w zamian Dolcio (Rudolf Starzewski, redaktor naczelny krakowskiego „Czasu”) i Antonina Domańska. Chociaż wszyscy w mieście wiedzieli, że pierwowzorem dramatu była ślubna impreza Lucjana Rydla, to jeszcze nikt nie zdecydował się na wprowadzenie osób żyjących i powszechnie znanych na scenę teatralną.

Chociaż Wyspiański pod wpływem Kotarbińskiego ostatecznie zrezygnował z tego zabiegu, to prapremiera odbyła się w atmosferze skan-

dal. Część widzów wyszła znudzona po pierwszym akcie, a po scenie z hetmanem Branickim ostentacyjnie opuścił swoją łóżę przywódca krakowskich konserwatystów, hrabia Stanisław Tarnowski. Był żonaty z prawnuczką Branickiego i przedstawienie hetmana jako zdrajcy bardzo mu nie odpowiadało.

Inna sprawa, że zapewne nie zrozumiał dramatu, w czym zresztą nie był osobniony. Henryk Sienkiewicz, zażywający już wówczas ogromnej sławy, po obejrzeniu jednego z przedstawień stwierdził, że albo sam jest grafomanem, „albo to jest grafoman”.

Ciekawa była reakcja publiczności, już w drugim akcie zaczęło rosnąć napięcie na widowni, a po trzecim zapadła całkowita cisza. Wreszcie zerwała się burza oklasków, wołano, by ukazał się autor. Wyspiańskiego jednak już w teatrze nie było, wyszedł wcześniej, zgodnie ze swoją zasadą, że „zależy mu na obsadzie” i inscenizacji, ale na recenzji i odbiorze już niekoniecznie.

Inna sprawa, że niebawem zaczęły się kłopoty towarzyskie. Włodzimierz Tetmajer, w którego chałupie odbyła się impreza, i Lucjan Rydel napisali do niego listy z wymówkami. Rydel poszedł tak daleko, że zabronił żonie oglądać jej własne wesele na scenie. W efekcie Jadwiga zobaczyła pierwszy raz dramat ćwierć wieku po premierze, już po śmierci swojego męża. ©

Tajemnice „niewidzialnej kopuły”



Politycznym „ojcem” izraelskiej bomby atomowej był urodzony w Płońsku Dawid Ben Gurion – pierwszy premier Izraela. FOT. GETTY IMAGES



Piotr Włoczyk

W sprawach atomowych Izraelczycy do dziś udają Greków. Czy państwo żydowskie porzuci kiedyś strategię „amimut”?

Smigłowiec izraelskiej armii musiał błyskawicznie zawracać. Pilot usłyszał w słuchawkach piorunującą informację – przed chwilą w powietrzu wzbily się egipskie myśliwce i lecą dokładnie w jego kierunku. Obecny na pokładzie płk Icchak Jaakow był poirytowany, ale jednak nie wracał z „pustymi rękoma”. „Byliśmy

bardzo blisko. Zobaczyliśmy tamtą górę i zobaczyliśmy też, że jest tam miejsce, w którym mogliśmy się schować – jakiś kanion” – wspominał po latach Jaakow (już jako emerytowany generał).

Ten rekonesansowy lot odbył się tuż przed wybuchem wojny sześciodniowej, gdy Izrael nie był pewien, czy nie ulegnie jednak połączonym siłom zbrojnym swoich arabskich sąsiadów. Armia Izraela musiała się szykować na najgorszy scenariusz.

Pułkownik Jaakow miał dowodzić operacją, która byłaby ostatnią deską ratunku dla Izraela, gdyby jednak jego armii nie udało się pokonać przeciwników. Oddział izraelskich żołnierzy miał przetransportować helikopterami na jedną z gór na półwyspie Synaj (wówczas jeszcze należącym do Egiptu) bombę ato-

movą w częściach, zmontować ją, ukryć się i wywołać eksplozję. Izraelczycy szacowali, że błysk będzie widoczny aż w Kairze. Ta demonstracja siły – mimo że bezkrwawa – miała przerazić arabskich sojuszników i zatrzymać ich armie. Byłby to jednocześnie pierwszy prawdziwy test izraelskiej bomby. Podobnie bowiem jak Amerykanie ponad 20 lat wcześniej izraelscy naukowcy nie mogli być w 100 proc. pewni, że zbudowana przez nich broń masowej zagłady faktycznie zadziała.

Ostatecznie jednak armii izraelskiej na tyle łatwo udało się rozbić przeciwników, że płk Jaakow nie musiał wdrożyć nuklearnego planu „B”. Informacje na temat jego rekonesansowej misji wypłynęły dopiero 50 lat po wojnie sześciodniowej – w 2017 r. Upublicznił je prof. Avner

Cohen, czołowy znawca historii izraelskiego programu atomowego, dla którego Jaakow był jednym z ważnych źródeł.

Obaj wpadli w tarapaty, gdy okazało się, że izraelskie władze bardzo nie lubią, gdy ktoś upublicznia ich sekrety. O ile jednak w przypadku izraelsko-amerykańskiego historyka chodziło głównie o zmagania z cenzurą, o tyle gen. Jaakow został skazany przez izraelski sąd na dwa lata więzienia w zawieszeniu. Przy czym informacje na temat broni atomowej, którymi ten były wojskowy podzielił się zarówno z prof. Cohenem, jak i z izraelskim dziennikarzem śledczym Ronenem Bergmanem, trudno uznać za przełomowe.

„AMIMUT”

Emerytowany generał złamał jednak tabu – Izraelczykom nie wolno w ten sposób dyskutować o bombie atomowej. Być może Izrael posiada taką broń, a być może nie. Niech wrogowie domyślają się, co dokładnie Izrael może mieć w swoim arsenale, jak szybko – i w jaki sposób – może dostarczyć „to” nad stolicę wrogiego państwa i wreszcie – w jakich okolicznościach może się na taki krok zdecydować.

Ta polityka ma nawet swoją nazwę. „Amimut” można z hebrajskiego przetłumaczyć jako „niejednoznaczność”. Żaden inny kraj z klubu atomowego nie zachowuje się w ten sposób. Wszyscy otwarcie mówią o swojej broni atomowej, niektórzy wręcz chwalą się nią w groteskowy sposób (Kim Dzong Un) i właściwie wszyscy jasno określają zasady jej użycia.

Tymczasem izraelscy politycy od samego początku właściwie nie wspominają o tej broni, ściśle przestrzegając „amimut”. W Izraelu nie ma miejsca dla atomowego pohukiwania choćby w stylu Dmitrija Miedwediewa. Dlatego taką awanturę wywołały słowa Amihaja Elijahu, izraelskiego ministra dziedzictwa ze skrajnie prawicowej partii Żydowska Siła, który podczas rozmowy w radiu stwierdził, że zrzucenie bomby atomowej nad Gazą „jest jedną z opcji”. Czołowe izraelskie media od razu wezwały do ukarania nieodpowiedzialnego ministra i Benjamin Netanjahu nie mógł się tu zachować inaczej – musiał zawiesić Elijahu.

Izraelscy politycy wyjątkowo rzadko robią aluzje do swojego arsenału

atomowego i jeżeli już tak się dzieje, to zazwyczaj robią to premierzy. Oczywiście wszystko dzieje się w ściśle wyznaczonych ramach „amimut”. „Arena operacyjna w niewidzialnej kopule nad nami składa się ze zdolności obronnych oraz ofensywnych, a także z – jak nazywają to media zagraniczne – »innych zdolności« – powiedział rok temu ówczesny premier Ja’ir Lapid podczas uroczystości w Izraelskiej Komisji Energii Atomowej. – Te »inne zdolności« utrzymują nas przy życiu i będą nas utrzymywały przy życiu tak długo, jak mieszkamy tu wraz z naszymi dziećmi”.

TEKSTYLNE KŁAMSTWO

Politycznym „ojcem” izraelskiej bomby atomowej był urodzony w Płońsku Dawid Ben Gurion – pierwszy premier Izraela, który rządził z krótką przerwą od 1948 do 1963 r. Ben Gurion uznał, że Izrael koniecznie musi stworzyć broń atomową, jeżeli chce przetrwać otoczony przez „arabskie morze”.

Żaden inny kraj z klubu atomowego nie zachowuje się w ten sposób. Wszyscy otwarcie mówią o swojej broni atomowej

Jeszcze zanim powstał Izrael, w kwietniu 1948 r. Ben Gurion zachęcał listownie swojego współpracownika działającego w Europie, by ten wyluskiwał żydowskich naukowców z Europy Wschodniej, którzy mogliby „zwiększyć możliwości albo zabijania mas, albo leczenia mas; obie te rzeczy są ważne”.

„Determinacja Ben Guriona, by rozpocząć projekt atomowy, była rezultatem jego intuicji strategicznej i obsesyjnego strachu, a nie doskonale przemyślanego planu. On wierzył, że Izrael potrzebuje broni atomowej jako polisy ubezpieczeniowej, na wypadek gdyby nie był już w stanie rywalizować z Arabami w wyścigu zbrojeń, i jako broni ostatecznej, gdyby groziła mu skrajnie trudna sytuacja wojskowa” – wyjaśnia prof. Avner Cohen w swojej książce „Israel and the bomb”.

Amerykanie nie byli skłonni pomóc Izraelczykom w zbudowaniu ich programu atomowego. Ben Gurion był jednak w stanie w latach 50. połączyć siły z Francuzami i to właśnie pomoc Paryża była kluczowa dla budowy potencjału nuklearnego państwa żydowskiego. Od Francuzów Izraelczycy otrzymali najważniejsze materiały i technologię. Głównym ośrodkiem prac atomowych było Nuklearne Centrum Badawcze Negew, zbudowane niedaleko osady Dimona. Utrzymywanie tajemnicy jak najdłużej było absolutnie kluczowe, by arabscy sąsiedzi nie zniszczyli centrum na pustyni Negew, a także by sami nie zaczęli uruchamiać na wyścigi własnych programów atomowych, chcąc nadrobić stracony czas. Izraelczycy nie cofali się nawet przed okłamywaniem swojego najważniejszego sojusznika – USA. Gdy amerykański ambasador dopytywał się, co to za wielki obiekt powstaje obok Dimony, Izraelczycy odpowiedzieli, że to fabryka tekstyliów...

Doktor Warner D. Farr, amerykański znawca dziejów izraelskiego programu atomowego, uważa, że w znacznej mierze można uważać francuski i izraelski program atomowy za jedno przedsięwzięcie. „Francuski test atomowy w 1960 r. sprawił, że na arenie międzynarodowej pojawiły się dwie potęgi nuklearne, a nie jedna – tak głęboka była tamta współpraca”.

ZNAKI ZAPYTANIA

Ile głowic atomowych posiada dziś Izrael? Szacunki mówią o przedziale między kilkadziesiąt a kilkaset. Niewiele wiadomo też o środkach przenoszenia tej broni. Izrael również w tym temacie zachowuje daleko posuniętą powściągliwość w informowaniu świata. Wiadomo tylko, że państwo żydowskie jest w stanie wystrzelić produkty swojej „fabryki tekstylnej” z morza, ziemi i powietrza.

Prawą ręką Ben Guriona w pogoni za atomem był Szymon Peres (1923–2016). Ten był minister obrony, premier, a także prezydent po latach wyłożył w swoich wspomnieniach „No room for small dreams” istotę „amimut”: „Nauczyliśmy się, że w niejednoznaczności tkwi olbrzymia siła. Wątpliwości były potężną siłą odstraszającą wszystkich tych, którzy chcieli drugiego Holokaustu”.

Rok 2024 z pewnością wstrząśnie geopolitycznym światem. I nie chodzi tylko o wynik wyborów do Parlamentu Europejskiego. W listopadzie przyszłego roku do urn pójdą bowiem miliony Amerykanów, którzy w kluczowych wyborach zdecydują nie tylko o przyszłości Stanów Zjednoczonych, lecz także o losach dużej części świata.

Znany z ostrego języka były prezydent jeszcze zaostriżł swą retorykę. Zdecydowany faworyt w wyścigu po nominację Partii Republikańskiej przekonuje, że natychmiast zatrzyma „inwazję na południową granicę” oraz upora się z załewem nielegalnych migrantów, którzy „zatruwają krew” Ameryki, wwożąc do USA najróżniejsze choroby. – Przysięgamy wam, że wyrwiemy z korzeniami komunistów, marksistów, faszystów i radykalnie lewicowych zbirów. To robactwo, które żyje w naszym kraju. Kłamią, kradną, oszukują podczas wyborów i zrobią wszystko, co w ich mocy, legalnie lub nielegalnie, aby zniszczyć Amerykę i by zniszczyć amerykański sen – oznajmił podczas przemowy w Dniu Weteranów 11 listopada, zapowiadając największą akcję deportacyjną w historii USA oraz zniesienie tzw. prawa ziemi, na mocy którego dzieci urodzone na terenie Stanów Zjednoczonych automatycznie otrzymują obywatelstwo tego kraju.

Donald Trump zapowiedział nie tylko „eksmisję Joe Bidena z Białego Domu”. – Wyrzucimy na bruk chorą klasę polityczną, która nienawidzi naszego kraju. A obłudne media zaczną mówić prawdę – grzmiał najbardziej prawdopodobny kandydat Partii Republikańskiej w przyszłorocznych wyborach prezydenckich. Trump zapowiedział także, że po wygranych przez siebie w listopadzie wyborach prezydenckich nie tylko zakończy wojnę na Ukrainie, lecz także zażąda od europejskich sojuszników, aby przekazali Stanom Zjednoczonym pieniądze niezbędne do pokrycia kosztu odtworzenia rezerw uzbrojenia wysłanego przez administrację Joe Bidena do Kijowa. Były prezydent kolejny raz powtórzył, że rosyjsko-ukraiński konflikt zbrojny zamierza zakończyć nie tylko przed oficjalną inauguracją (tradycyjnie odbywającą się w styczniu), lecz także „zakończy wojnę w 24 godziny”, ponieważ potrafi dogadać się z przy-

Trump 2.0 coraz bliżej



Jacek Przybylski

Sondaże pokazują jasno: były przywódca USA ma coraz większe szanse na powrót do Białego Domu. Przedstawiając zarys programu wyborczego, obiecał rozprawić się z nielegalnymi imigrantami. Chce też zakończyć wojnę na Ukrainie i przerwać płynący do tego kraju „niekończący się strumień amerykańskich środków”

wódcą Rosji Władimirem Putinem. Nie powiedział jednak, czy będzie żądał od Putina wycofania się ze zdobytych przez rosyjskie wojska ukraińskich terytoriów. Od wielu miesięcy powtarza za to, że za jego prezydentury „Rosja szanowała USA”. „Putin gra na Bidenie jak na bębnie. To nie jest przyjemny widok” – mówił już w ubiegłym roku.

W ostatnich dniach Trump oznajmił także, że zamierza „fundamentalnie zrewidować” misję oraz cel istnienia NATO. Ten ostatni postulat też nie jest niczym nowym. Dawni współpracownicy byłego prezyden-

ta twierdzą, że jeszcze podczas pierwszej kadencji Donald Trump bliski był ogłoszenia, że USA wychodzą z paktu północnoatlantyckiego. Były prezydent po powrocie do Białego Domu chce też wprowadzić cła na większość importowanych towarów, a także doprowadzić do znaczącego spadku importu z Chin kluczowych towarów, w tym elektroniki, stali czy farmaceutyków.

BIDEN PRZEGRYWA W KLUCZOWYCH STANACH

Niecały rok przed wyborami prezydenckimi w USA Donald Trump ma już także



FOT. REBA SILDANNA/AP/EAST NEWS

zlecenie CNN. Gdyby wybory odbyły się w listopadzie 2023 r., a nie 2024 r., Trump uzyskałby 49 proc., a Biden 45 proc. Z tego badania wynika jeszcze jedna ważna rzecz: zaledwie jedna czwarta Amerykanów sądzi, że 80-letni Biden jest wystarczająco bystry i krzepki, aby skutecznie sprawować funkcję prezydenta, podczas gdy Trumpa za zdolnego sprawować ten urząd uważa 53 proc. ankietowanych. Odsetek wątpliwych w Bidena wyraźnie widać nawet wśród zwolenników Partii Demokratycznej. Tylko 51 proc. zwolenników demokracji twierdzi, że Biden jest wystarczająco silny, aby rządzić Ameryką. W przypadku republikanów pewnych fizycznych atutów swego kandydata jest aż 90 proc. respondentów.

Siedemdziesięciosiedmioletni Donald Trump również do młodziaków nie należy. I podobnie jak Biden on także popełnia wiele gaf (pod koniec października premiera Viktora Orbána nazwał „przywódcą Turcji”, choć w tym przypadku dość szybko poprawił błąd i już poprawnie nazwał szefa rządu w Budapeszcie „liderem Węgier”). Republikanom udało się jednak sprawić, że to na wpadki Bidena media zwracają największą uwagę i to wiek walczącego o reelekcję prezydenta najbardziej przeszkadza respondentom.

Obdarzony ogromną charyzmą Donald Trump, mimo wyroku uznającego go winnym molestowania, a także czterech procesów karnych, we wszystkich sondażach w wyścigu po nominację Partii Republikańskiej nie tylko prowadzi, lecz także dosłownie miażdży swych republikańskich konkurentów. Nie bierze więc udziału w debatach, a swych partyjnych konkurentów bezpardonowo obraża.

I chociaż partyjne elity zdają sobie sprawę z tego, że radykalna retoryka Trumpa pozbawia konserwatystów głosów wśród umiarkowanych Amerykanów, to równie dobrze wiedzą, iż nie mogą odciąć się od byłego prezydenta, bo mogłoby on doprowadzić do rozłamu w partii, co oznaczałoby długie rządy Partii Demokratycznej.

DEMOKRACI STRASZĄ HITLEREM

Rzecznik kampanii Bidena publicznie nie zamartwia się zbytnio fatalnymi wynikami sondaży swego szefa. „Wyniki prognozowane z rocznym wyprzedze-

niem mają to do siebie, że przeważnie rok później wyglądają jednak nieco inaczej” – powiedział CNN Kevin Munoz. Demokraci coraz poważniej obawiają się jednak ryzyka utraty Białego Domu.

Liderzy Partii Demokratycznej liczą na to, że kolejne rozprawy w sądach zmniejszą popularność Donalda Trumpa. Ma on bowiem niewielkie szanse na wygraną w toczących się przeciwko niemu procesach. Problemy prawne na razie mu jednak nie szkodzą. Przeciwnie. Były prezydent wykorzystuje kolejne rozprawy do prowadzenia kampanii wyborczej, publicznie zarzuca prokuratorom oraz sędziom polityczne uprzedzenia, a przesłuchania na ławie oskarżonych zamienia w polityczny show, który przysparza mu tylko kolejnych zwolenników. W poście opublikowanym na założonej przez

Obdarzony ogromną charyzmą Donald Trump, mimo czterech procesów karnych, we wszystkich sondażach dosłownie miażdży swych konkurentów walczących o partyjną nominację

siebie platformie społecznościowej Truth Social zapowiedział więc bez ogródek, że gdy wygra wybory, to prokuratorzy, którzy prowadzą sprawy przeciwko niemu, „wylądują w ośrodkach psychiatrycznych”.

Jednocześnie Trump ma problemy nie tylko prawne, lecz także biznesowe. Nie zdołał np. przekonać milionów Amerykanów do porzucenia liberalnego Facebooka i przejścia na założoną przez siebie platformę mediów społecznościowych. Truth Social – bo tak nazywa się serwis byłego prezydenta – od uruchomienia na początku ubiegłego roku przyniósł już ponad 70 mln dol. strat.

Demokraci mają jednak świadomość, że Donald Trump będzie dla nich potencjalnie bardzo groźnym przeciwnikiem. Hillary Clinton – była szefowa amerykańskiej dyplomacji, która choć przez wiele dekad przygotowywała się do objęcia urzędu prezydenta Stanów Zjednoczo-

przewagę nad prezydentem Joe Bidenem w aż pięciu stanach, które są kluczowe dla wyniku głosowania (tzw. swing states). Były gospodarz Białego Domu w listopadowym sondażu „The New York Times” zdecydowanie prowadzi z Bidenem w Arizonie (49 proc. do 44 proc.), Georgii (49 do 43), Michigan (48 do 43), Nevadzie (52 do 41) oraz w Pensylwanii (48 proc. do 44 proc.). Jedynie w stanie Wisconsin górą jest urzędujący prezydent, ale prowadzi on 47 do 45 proc.

Donald Trump wygrał również w sondażu przeprowadzonym przez SSRS na

nich, to przegrała najpierw walkę o nominację z Barakiem Obamą, a następnie wyborcze starcie z Donaldem Trumpem – w listopadzie tego roku ostrzegła przed „dyktatorskimi i autorytarnymi skłonnościami” swego dawnego republikańskiego rywala. Siedemdziesięciosześcioletnia Clinton w wywiadzie telewizyjnym wprost porównała również Trumpa do... Adolfa Hitlera i próbowała przekonywać, że jego druga kadencja oznaczać będzie istną katastrofę. „Myślę, że byłby to koniec naszego kraju, takiego, jakim go znamy, i nie mówię tego lekko” – powiedziała była pierwsza dama USA na antenie talk-show „The View”. „Trump mówi nam, co zamierza zrobić. Wierzcie mu na słowo. Ten człowiek zamierza wrzucić do więzienia ludzi, którzy się z nim nie zgadzają, zamknąć legalne media i zrobić, co w jego mocy, aby dosłownie podważyć praworządność i demokrację w naszym kraju wartości” – ostrzegła niedoszła pierwsza prezydent Ameryki.

W podobnym tonie wypowiedział się także rzecznik Białego Domu, oświadczając, że w języku używanym przez Trumpa „słychać echa Hitlera i Mussoliniego”. Zaostrzenie retoryki przez rywala wykorzystał także Joe Biden podczas spotkania ze sponsorami jego kampanii przedwyborczej. Urzędujący prezydent ostrzegł publicznie, że jego rywal nie tylko używa języka nazistowskich Niemiec lat 30. XX w., lecz także powiedział, że jeśli Trump wygra, to wykorzysta prezydenturę, aby zemścić się na swoich przeciwnikach.

GOSPODARKA, GŁUPCZE!

Myśl o ponownym pojedynku tej pary przyprowadza o młodości wielu Amerykanów. Zarówno jeden, jak i drugi polityk mają bowiem rekordowo wysoki elektorat negatywny.

W przyszłorocznych wyborach tradycyjnie dużą rolę grać będą kwestie podejścia do aborcji oraz imigracji, „ratowania demokracji”, a także bezpieczeństwa narodowego (wielu Amerykanom nie podoba się nie tylko wsparcie USA dla Ukrainy, lecz także bezwarunkowe poparcie Bidena dla działań Izraela w wojnie w Strefie Gazy). Wiele wskazuje jednak na to, że duży wpływ na zwycięstwo w 2024 r. będą miały wyniki gospodarcze. Jeśli Biden

Szanse Bidena na reelekcję zmniejsza rosnące wśród Amerykanów przekonanie, że sprawy w Stanach Zjednoczonych zmiierzają w złym kierunku

miałby rzeczywiście pokonać Trumpa, to musiałby przekonać większość Amerykanów, że jego „Bidenomia” działa i że to za jego rządów żyje im się dostatniej. Strategia brzmi może prosto, ale obecnie to niemal „mission impossible”. Większość Amerykanów wini bowiem Bidena m.in. za bardzo wysoką inflację, która trapiła USA za jego rządów. I chociaż tempo wzrostu cen istotnie spada, to Białe Dom choćby nie wiadomo, jak chciał, to nie da rady doprowadzić do obniżki cen (deflacji), nie wywołując przy tym recesji.

Tymczasem, jak zauważył dziennik „Financial Times”, jedynie 14 proc. amerykańskich wyborców uważa, że żyje im się lepiej finansowo, odkąd do Białego Domu wprowadził się Joe Biden. Według sondażu przeprowadzonego na zlecenie „FT” niemal 70 proc. respondentów uważa, że ekonomiczne pomysły Bidena albo osłabiły amerykańską gospodarkę, albo nie miały na nią żadnego wpływu. W tej grupie jest aż 33 proc. wyborców, których zdaniem rządu Bidena „znacząco osłabiły gospodarkę”. I to mimo że bezrobocie w USA jest na bardzo niskim poziomie, a PKB rośnie w tempie, o którym wiele państw w Unii Europejskiej może tylko pomarzyć. Jeśli jednak specjalistom od wizerunku urzędującego prezydenta nie uda się sprawić, by Amerykanie uwierzyli w konkretne osiągnięcia Bidena, to ich szef w przyszłym roku niechybnie przegra wybory.

Szanse Bidena na reelekcję zmniejsza rosnące wśród Amerykanów przekonanie, że ogólnie sprawy w Stanach Zjednoczonych idą w złym kierunku (uważa tak już ponad 70 proc. pytaných), a także niemal powszechne poczucie, że nie nadaje się on na najważniejsze stanowisko w państwie. Wszystkie te czynniki sprawiają, że obecny prezydent traci

poparcie nawet w grupach należących wcześniej do jego twardego elektoratu.

ODWRÓT MŁODYCH I LATYNOŚÓW

Wskaźniki poparcia dla urzędującego prezydenta niemal w każdej z kluczowych kategorii są wyraźnie niższe niż przed wyborami w roku 2020. Z badań opinii publicznej wynika np., że Bidena popiera coraz mniej młodych wyborców. Według jednego z sondaży wśród osób poniżej 30. roku życia jego przewaga nad Trumpem wynosi zaledwie 1 p.p. Inny pokazuje z kolei, że wśród Amerykanów poniżej 35. roku życia Biden może liczyć na 47 proc. głosów, a Trump na 48 proc. Tymczasem w 2020 r. przewaga Bidena wynosiła ponad 20 p.p. Również w społeczności Latynosów Biden prowadzi już zaledwie kilkoma punktami procentowymi (choć w 2020 r. jego przewaga przekraczała 30 p.p.). Obecny gospodarz Białego Domu nadal ma co prawda przewagę w dużych miastach, ale jest ona dwa razy mniejsza niż przewaga Trumpa poza miastami. Joe Biden wciąż może liczyć na zwycięstwo wśród kobiet, ale mężczyźni zdecydowanie wolą byłego prezydenta.

Szanse na nagły zwrot akcji są niestety niewielkie. Zarówno Trump, jak i Biden mają bowiem rekordowo wysoki elektorat negatywny. We wspomnianym wyżej sondażu przeprowadzonym w listopadzie na zlecenie CNN aż 51 proc. respondentów stwierdziło, że nie ma żadnych szans, aby oddać swój głos na obecnego prezydenta, a jedynie 4 proc. oznajmiło, że co prawda obecnie go nie popiera, ale mogłoby to rozważyć. W przypadku Donalda Trumpa 48 proc. pytaných twierdzi, że nigdy nie odda na niego głosu, a gotowość do zastanowienia się, czy nie poprzeć go w przyszłości, deklaruje zaledwie 2 proc. ankietowanych.

Wiele wskazuje więc na to, że Amerykanie wyrobili już sobie zdanie o kandydatach i przez najbliższe miesiące większość sondaży będzie pokazywała minimalne różnice między Trumpem a Bidenem. Mimo to przyszły rok z pewnością do nudnych należeć nie będzie. A Era Trumpa 2.0 wydaje się coraz bardziej prawdopodobna. A na fali niechęci do Bidena republikańscy mogą odzyskać nie tylko Białe Domy, lecz także swą przewagę w Kongresie.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

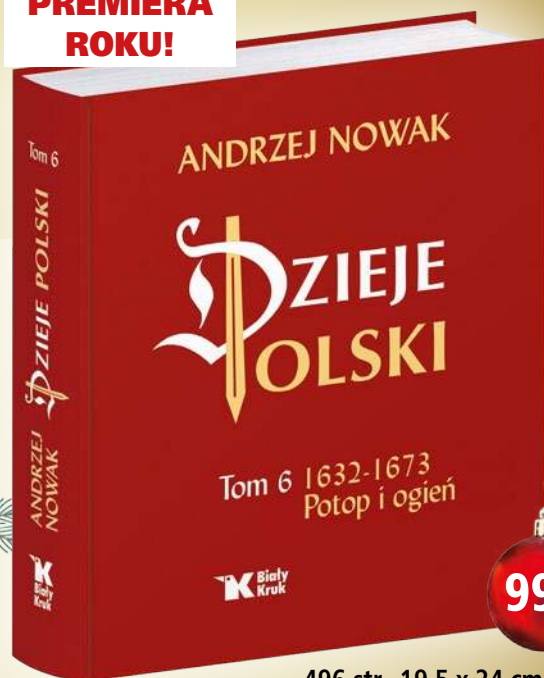
Dzieła narodowe najlepszym prezentem na Święta!

**PREMIERA
ROKU!**

**KUP W PAKIECIE LUB
UZUPEŁNIJ BRAKUJĄCE TOMY**



384 + 384 + 464 + 456 + 488 str.,
19,5 x 24 cm, twarda oprawa,
złocenia, tłoczenia



496 str., 19,5 x 24 cm,
twarda oprawa, złocenia, tłoczenia.
Szósta część monumentalnej serii „Dzieje Polski”



512 + 334 str.,
16,5 x 23,5 cm,
miękka oprawa



400 str.,
16,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa



512 str.,
19,5 x 23,5 cm,
twarda oprawa, złocenia, tłoczenia

www.bialykrak.pl

Zadzwoń, zapytaj o rabaty!

ZAMÓWIENIA: 12/260 32 90, 12/254 56 04, 12/254 56 02 lub e-mail: handlowy@bialykrak.pl.
Przy zamówieniu powyżej 200 zł koszty przesyłki (17 zł) ponosi wydawnictwo.



ATA
ANM
10



Sen Kara Mustafy się nie spełni

Wiele osób powątpiewa, czy rzeczywiście tureckiemu prezydentowi Recepowi Tayyipowi Erdoğanowi zależy na członkostwie Turcji w Unii Europejskiej. W ostatnich latach wykazywał bardziej zainteresowanie zwrotem na wschód, czyli budowaniem tureckiej strefy wpływów na Bliskim Wschodzie, na Kaukazie Południowym czy też w Azji Centralnej. Jednakże z wielkomocarstwowych planów niewiele wyszło, a projekt neoosmański przekształcił się w hybrydowego potworka: połączenie eurazjaty-



Witold Repetowicz

Członkostwo Turcji w Unii Europejskiej to całkowity absurd. Zwłaszcza tej erdoganowskiej, a innej przecież nie ma i długo nie będzie. Ekstremiści islamistyczni i nacjonalistyczni, dominujący w polityce tego kraju, nijak się mają do czegokolwiek, co reprezentuje sobą Europa

zmu z neoosmanizmem, panturkizmem, ze szczyptą neokemalizmu. Słowem: reaktywność i zwroty o 180 stopni bez

uzyskania czegokolwiek. Byleby ciemny lud anatolijski kupował bajkę o potężnym sułtanie, przed którym możni tego

TÜRKÜ A TÖRENİ CASIM 2023

Recep Tayyip Erdoğan, prezydent
Turcji, podczas obchodów 85. rocznicy
śmierci Atatürka, Ankara, 10 listopada

FOT. AA/ABACA/EAST NEWS

doświadczenia. W 2015 r. przeczołgał Angelę Merkel i Donalda Tuska, zmuszając ich do wypowiadania peanów na swój temat, natomiast w 2021 r. upokorzył Ursulę von der Leyen, a z Charlesa Michela zrobił pajaca. Bardziej problematyczne jest jednak to, że władze Niemiec udają, iż nie widzą, jak w ich kraju panoszą się tureckie służby specjalne z siatką ok. 6 tys. agentów, a także islamistyczna struktura DİTİB zarządzająca tysiącem meczetów, nie mówiąc już o jeszcze bardziej ekstremistycznej Milli Gorus czy też nacjonalistycznych ekstremistach spod znaku Szarych Wilków. Dla świętego spokoju i w imię multi-kulti Niemcy woleli tego nie ruszać. Bożyszcze niemieckich fanów piłki nożnej, Mesut Ozil, może więc tatuować sobie symbolikę Szarych Wilków (turecki odpowiednik swastyki) na piersi, a i tak znajdzie się wielu, którzy każdą jego krytykę uznają za rasizm. Bo Niemcy nie ogarniają problemów z tureckimi ekstremistami i ogarniać ich nie chcą.

Erdoğan potrzebuje jednak Unii Europejskiej nie tylko po to, by poniżyć jej liderów, lecz także z powodów ekonomicznych. Turcja bardzo potrzebuje pogłębienia unii celnej z UE, bo jej gospodarka zdycha, a Unia jest jej najważniejszym partnerem handlowym. W 2022 r. wymiana handlowa między Turcją a UE wyniosła 198 mld euro, z czego eksport z Turcji do UE to 98 mld euro, czyli 42 proc. całego tureckiego eksportu. Warto dodać, że zarówno w przypadku Chin, jak i Rosji Turcja ma gigantyczny deficyt handlowy. Odwrócenie się od Europy przez Turcję w chwili jej ekonomicznego dołka to dla niej katastrofa i Erdoğan o tym doskonale wie. Więc czemu by nie zyskać wpływu na decyzyjność Unii? Szwedzkie dążenie do członkostwa w NATO nadaje się tu idealnie jako dodatkowy instrument nacisku.

POLITYCZNE SAMOBÓJSTWO

Tyle że to absurd i liderzy Unii Europejskiej musieliby do reszty oszaleć, by na coś takiego przystać. I nie chodzi przede wszystkim o kwestie gospodarcze, lecz polityczno-cywilizacyjne.

Zacznijmy od tego, że jeśli ktoś spodziewa się, że Erdoğan pójdzie na ustępstwa w kwestii praw człowieka i demokracji w celu pchnięcia negocjacji

do przodu, to jest bardzo naiwny. Warto pamiętać, że lekceważenie wyroków Europejskiego Trybunału Praw Człowieka w sprawie wypuszczenia na wolność więźniów politycznych, takich jak mający szerokie kontakty międzynarodowe filantrop i obrońca praw człowieka Osman Kavala czy charyzmatyczny lider Kurdów Selahattin Demirtas, nie spotkało się z żadnymi konsekwencjami. ETPC nie jest organem UE, lecz Rady Europy, do której Turcja należy, więc jest to łamanie jej zobowiązań międzynarodowych.

Organy Unii Europejskiej mogą sobie przyjmować rezolucje na temat „praworządności” w Polsce czy na Węgrzech, jednak sytuacja w Turcji jest na zupełnie innym poziomie. Wystarczy sięgnąć po raporty organizacji monitorujących takie kwestie, by zobaczyć przepaść. To, że Erdoğan przeprowadził niesfałszowane wybory, nie zmienia faktu, że w tureckich więzieniach pełno jest więźniów politycznych, że wybranych samorządowców pozbawia się mandatu i wyznacza komisarzy, a winni skrytobójczym mordom nie są w ogóle ścigani. W ciągu ostatnich kilku lat UE przyjęła tysiące uchodźców politycznych z Turcji. W Polsce ochronę uzyskało ok. 200, ale znacznie więcej osób mających problem z tureckim reżimem przebywa u nas na podstawie pozwolenia na pobyt czasowy lub stały. Dlatego nawet myśl, że erdoğanowska Turcja mogłaby stać się członkiem UE, jest w tym kontekście absurdalna.

Argument, że skoro negocjacje akcesyjne Turcji zostały rozpoczęte, więc wypadałoby je zakończyć, jest mniej więcej na takim poziomie, jakby stwierdzić, że skoro samobójca załadował pistolet, to powinien strzelić sobie w łeb. To, że Polska wielokrotnie deklarowała wsparcie dla członkostwa Turcji w UE, można natomiast przyjąć z pewnym politowaniem. Można sobie coś wspierać, jeśli wiadomo, że nic z tego nie będzie. Rosnące w siłę ugrupowania konserwatywne w Europie w większości są przeciw wejściu Turcji do UE, bo wiedzą, że nie ma i nigdy nie miała ona nic wspólnego z europejską wspólnotą i jej wartościami, a taki zastrzyk muzułmanów pogłębi problem zderzenia cywilizacji, z którym mamy już do czynienia.

Z kolei dla środowisk lewicowo-liberalnych, wśród których nie brak osób

świata kłękają z pokorą. To był główny powód jego zwycięstwa w tegorocznych wyborach.

Problem w tym, że bogaci monarchowie arabscy, do których niedawno Erdoğan wybrał się na żebry, absolutnie nie zamierzają przed nim kłękać. Podobnie jest z Xi Jin Pingiem, a nawet Putinem, którego Erdoğan może teraz trochę przeczołgać w azjatyckim stylu (tak jak wcześniej robił to wobec niego Putin), ale sultan wie, że nie może sobie na za dużo pozwolić. Tymczasem w kontaktach z liderami UE Erdoğan ma zupełnie inne

■ pochodzenia kurdyjskiego, wprowadzenie autorytarnego reżimu do wspólnoty opartej na demokracji i prawach człowieka to jakiś totalny absurd.

Wreszcie z perspektywy kluczowych graczy, takich jak Niemcy czy Francja, oznaczałoby to trwałą zmianę układu sił w Europie. Zwłaszcza jeśli do Unii weszłyby też Ukraina. Można się oczywiście również spodziewać, że Cypr zrobi wszystko, by taką akcesję zablokować. Za wejściem Turcji do UE mogą być natomiast ci, którzy chcą, by Unia się rozleciała, bez względu na koszt tego rozpadu.

ISLAMIZACJA EUROPY

Populacja Unii Europejskiej to obecnie niespełna 450 mln, a największy kraj to Niemcy z 83 mln. Turcja ma 86 mln, a ok. 10 mln osób tureckiego pochodzenia, w tym 3 mln obywateli tureckich, mieszka w Europie. Oznacza to, że Turcy stanowiliby na starcie 17,5 proc. populacji UE. Jak pokazały ostatnie wybory w Turcji, dwie trzecie z nich to albo ekstremalni islamiści, albo skrajni nacjonaliści, wierzący w Wielką Turcję, u której stóp czołgają się narody europejskie. Fakt, są też Turcy, których percepcja niewiele różni się od europejskiej, ale jest ich zdecydowana mniejszość. To oznacza, że tureccy nacjonaliści i islamiści stanowiliby co najmniej 12–15 proc. składu europarlamentu, uzyskując w ten sposób znaczny wpływ na proces decyzyjny w coraz bardziej spolaryzowanej Europie. Zresztą bardzo szybko Erdoğan mógłby znaleźć sojuszników, np. Orbána (który przecież wprowadził Węgry do Organizacji Państw Turkijskich jako członka obserwatora), i rozbudować swoją frakcję w europarlamencie do 100–150 eurodeputowanych, czyniąc z niej drugie lub trzecie ugrupowanie w Europie.

Ale potencjał Erdoğan w Europie na tym się nie wyczerpuje, gdyż jeśli zmusiłby on UE do przyjęcia Turcji, to jego autorytet w świecie muzułmańskim wzrósłby w sposób znaczny. To zaś oznacza, że miliony europejskich muzułmanów ujrzałyby w sultanie swego lidera. Warto przy tym pamiętać, że w wyborach do europarlamentu osoby mające stałe miejsce zamieszkania w danym kraju mogą z niego startować, bez względu na posiadane obywatelstwo (oczywiście o ile są obywatelami UE).

Dlatego Erdoğan nie miałby najmniejszego problemu z wystawieniem turecko-islamistycznych list w wielu krajach Europy. Tylko w Niemczech jego islamistyczna lista mogłaby uzyskać kilka, a może nawet kilkanaście mandatów. Co by to oznaczało?

Z jednej strony Turcy byłiby w pewnym sensie sojusznikiem dla tych, którym nie podoba się liberalna agenda ideologiczna UE, coraz silniej wybrzmiewająca z ław europarlamentu. Lewicowi zwolennicy multi-kulti szybko bowiem przekonaliby się, że Europa wpuściła do siebie patriarchalny koszmar z ich najczarniejszych snów i ten koszmar nie zamierza siedzieć cicho, lecz chce decydować o przyszłości Europy. Miałoby to jednak swój koszt w postaci islamizacji Europy i zwiększania w niej tureckich wpływów.

Wpuszczenie Turcji do UE przyspieszyłoby proces islamizacji i napływu migrantów

Z drugiej strony Turcja w Europie byłaby sojusznikiem zwolenników polityki otwartych drzwi. Ci, którym się wydaje, że jako członek UE wsparłaby ona politykę powstrzymywania nielegalnej migracji, nie wiedzą, o czym mówią. Turcja, a w szczególności Erdoğan, nie miałaby w tym żadnego interesu, a Europa, która już teraz nie jest w stanie niczego od Turcji wyegzekwować, tym bardziej nie będzie do tego zdolna, gdy Turcja zyska znaczny wpływ na proces decyzyjny UE.

Na początek Erdoğan pozbędzie się w końcu tych kilku milionów uchodźców syryjskich, którym po prostu stopniowo będzie dawał obywatelstwo i legalnie ekspediował do innych krajów UE, przyczyniając się do ich destabilizacji, a przy okazji poszerzając swoją bazę wyborczą poza Turcję. A tymczasem Unia zyska granicę z takimi państwami jak Iran, Irak i Syria.

Napływ muzułmańskich migrantów do Europy i torpedowanie jakichkolwiek procesów ich asymilacji jest nie tyle w interesie Erdoğan, ile jest jego celem.

Chodzi o to, by Europę zmienić i ją opadować. Aby stała się słaba, podzielona i jeszcze bardziej uległa, a jednocześnie, by postępowała jej islamizacja. W tym planie to nie Europa ma zmienić Turcję, lecz Turcja Europę.

Potem w europarlamencie pojawią się rezolucje dotyczące karania za islamofobię i nakazujące uznanie prawa muzułmanów do stosowania prawa szariatu w kwestiach rodzinnych. Brzmi nieprawdopodobnie? Kilka dekad temu nieprawdopodobne było to, co się dziś dzieje na ulicach europejskich miast. Nikt też nie przypuszczał, że sprowadzanie obywateli tureckich do Niemiec doprowadzi do przeniesienia do tego kraju konfliktu kurdyjsko-tureckiego. Islamizm? Przecież gdy Turcja składała wniosek o przyjęcie do Unii w 1987 r., była rządzona przez świecki reżim prozachodniego premiera Turguta Ozala. To, że ta świeckość zależała od niezbyt demokratycznego gwaranta, którym była armia, już umknęło europejskim decydentom. Wymuszona demokratyzacja utorowała drogę do władzy islamistom i Erdoğanowi. W tym czasie Turcy w Europie przede wszystkim pracowali i nie wykazywali tendencji islamistycznych. Tyle że wystarczyło 25 lat kontroli nad tureckimi meczetami ze strony nowej, islamistycznej władzy w Turcji, by to uległo całkowitej zmianie.

Tak będzie też z losem Europy, gdyby Turcja stała się członkiem UE. Byłby to pośmiertny triumf Kara Mustafy 350 lat po tym, jak Jan III Sobieski powstrzymał jego inwazję u bram Wiednia.

Oczywiście każda akcja rodzi reakcję, więc o ile już teraz ugrupowania przeciwnie polityce multi-kulti, islamizacji i napływowi migrantów, a jednocześnie bardziej lub mniej eurosceptyczne, zyskują poparcie, o tyle wpuszczenie Turcji do UE przyspieszy ten proces. Utoruje to zatem drogę do władzy nie tylko Marine Le Pen we Francji czy Geertowi Wilderowski w Holandii, lecz także Alternative für Deutschland w Niemczech. Jedyną szansą na obronienie się przed turecką agendą stanie się rozwiązanie Unii. Ale Europa i tak już nie byłaby taka sama. Całe szczęście gotowość na samobójcze spełnianie marzeń Kara Mustafy i Erdoğan jest w Europie coraz mniejsza.

© Wszelkie prawa zastrzeżone

HISTORIA
DO
RZECZY

NAJNOWSZY NUMER OD ŚRODY W SPRZEDAŻY!



**BOLSZEWICKA
WOJNA Z BOGIEM
– SZATAŃSKI PLAN
LENINA I STALINA**

Golgota polskich księży – część kapłanów pozostała po wojnie w ZSRS i krzewiła wiarę pomimo brutalnych represji

Pierwszy wróg Polan – jak Mieszko I uporał się z zagrożeniem ze strony Wichmana

Niderlandy na drodze do potęgi – „szał obrazoburców” był początkiem dramatycznej serii zdarzeń, które doprowadziły do niepodległości Holandii

Pyrrusowe zwycięstwo Rumunów – gen. Antonescu już latem 1941 r. zrealizował swoje cele wojenne, po czym przyjął propozycję Niemców, czego efektem były olbrzymie problemy

Zapomniana rosyjska „demokracja” – Republika Nowogrodzka to dowód, że w Rosji nie zawsze i nie wszędzie panował despotyzm

Polska Sowietka – nikt inny z Polski nie spotykał się ze Stalinem tak często. Co tak naprawdę łączyło Wandę Wasilewską i Stalina?

I WIELE, WIELE WIĘCEJ
CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**



DZIENNIKARSKI EKSPERT OD PUTINA

Niemiecki dziennikarz i autor książek m.in. „Władza Putina. Dlaczego Europa potrzebuje Rosji?” Hubert Seipel otrzymał od putinowskiego oligarchy w sumie ok. 600 tys. euro w ramach „sponsoringu”. Seipel znany jest z wielu wywiadów z Putinem i kreowania wizerunku przychylnego dyktatorowi. Niemiecki tygodnik zaznaczył, że dziennikarz spotkał się z Władimirem prawie 100 razy, a w stacji ARD był uznawany za eksperta w tłumaczeniu jego działań, ponieważ „spędził więcej czasu z szefem Kremla niż jakikolwiek inny zachodni dziennikarz”.

FOT. MIKHAIL SNETKOV/GETTY IMAGES

BIAŁY PROSZEK W BIAŁYM DOMU

Amerykańskie media opublikowały zdjęcia i informacje o „białym proszku” w Białym Domu. Kokaina została znaleziona 2 lipca w szafce dostępnej dla gości zapraszanych do urzędu indywidualnie. Śledztwo w sprawie tego, kto wniósł narkotyki, nie powiodło się. Powód? Podobno na woreczku z narkotykiem było za mało odcisków palców, a kamery niefortunnie akurat nie nagrywały tego obszaru w budynku.

UCZYŁ DZIECI PATRIOTYZMU, SĄSIADÓW POBIŁ

Żołnierz rosyjski Dmitrij Kiruchin wrócił na urlop z wojny na Ukrainie do Atkarska. Tam w szkole i przedszkolu prowadził dla dzieci „lekcje z odwagi”. Radio Swoboda niezwykle przychylnie nagłaszało jego działalność. Do czasu, aż uczący o patriotyzmie mężczyzna dotkliwie pobił swojego sąsiada i jego żonę.

ZA GRUBY NA WIĘZIENIE

Dimitri Fricano dźgnął ukochaną 57 razy nożem za to, że oskarżyła go o rozsypywanie okruszków jedzenia na łóżku. Został we Włoszech skazany na 30 lat pozbawienia wolności. Właśnie wyszedł, po zaledwie kilku latach. Powód? Przytył ze 120 kg do 200 kg. Władze więzienia orzekły, że w takim stanie potrzebuje do poruszania się wózka inwalidzkiego i kul, których nie są w stanie mu zapewnić, dlatego resztę kary odbędzie w areszcie domowym u swoich rodziców.

KULOODPORY AMULET NIE DZIAŁA

W południowo-wschodniej części Nigerii, w stanie Bauczi, 43-letni mężczyzna Muhammad Ali zginął, testując amulet, który miał zapewniać kuloodporność. Amulet zakupił od uzdrowiciela, który oddał strzał w jego kierunku, aby zapewnić go, że przedmiot działa. Nie działał. ©©

Łukasz Zboralski



JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Koniec oszukiwania?

Black Friday – największe na świecie święto czyhających na promocje konsumentów – w tym roku w Polsce ma szansę być naprawdę udany (ewentualnie stanie się okazją, aby czarno na białym pokazać dotychczasowe „chwyty marketingowe” internetowych sprzedawców, którzy sprawiali, że Czarny Piątek był nie tyle świętem kupujących, ile okazją do wielkiego zarobku dla nieuczciwych przedsiębiorców).

W tym roku pierwszy raz podczas Black Friday obowiązywać będzie bowiem unijna dyrektywa Omnibus. Jej zadaniem jest ochro-

na konsumentów przed nieuczciwymi praktykami sprzedawców. Sklepy chcące się pochwalić gigantycznymi obniżkami będą musiały więc tym razem naprawdę obniżyć ceny, a nie – jak często bywało wcześniej – najpierw je podnieść, aby potem beczelnie ogłosić spektakularną promocję i cenę obniżyć do poziomu tylko nieco niższego lub czasem nawet znacząco wyższego niż przed strategiczną podwyżką.

Tym razem sprzedawcy muszą poinformować o najniższej cenie danego produktu w ciągu 30 dni przed wprowadzoną obniżką.

Przyłapani na tylko iluzorycznych promocjach sprzedawcy ryzykują dotkliwą karę od UOKiK.

Tegoroczna edycja Black Friday ułatwi więc poszukiwanie prawdziwych okazji. Faktyczne promocje (czytaj: obniżki zamiast ukrytych podwyżek) powinny obowiązywać też w Cyber Monday, czyli 27 listopada. Można się jednocześnie spodziewać, że sklepów ogłaszających cięcia o 70 proc. nagle będzie mniej. A i tak warto zachować ostrożność: część „sprytnych” handlowców ceny podniosła bowiem 32 dni przed promocją... ©©



Świat polityki „od kuchni” – niepopularne opinie, wyciszane tematy i niewygodne dla „mainstreamowych” mediów zagadnienia. **Marek Jakubiak** i **Marian Kowalski** podyskutują o ważnych tematach i bieżącej sytuacji politycznej w najnowszym programie publicystycznym Telewizji Republika.

Reasumując

*Jakubiak
Kowalski*



premiera
w każdy **piątek**

22:00

w Telewizji Republika



RepublikaTV



@RepublikaTV



Telewizja Republika



@RepublikaTV

Telewizję Republika odbierać można drogą satelitarną, przez sieci kablowe oraz przez dostępną telewizję naziemną z lokalnych nadajników MUX w Katowicach, Warszawie, Gdańsku i Wrocławiu, a także w Internecie na stronie www.tvrepublika.pl.

epiropa.pl 2809061060

Zazwyczaj odpowiedzialność za politykę fiskalną ponoszą poszczególni ministrowie finansów. Pamiętnej dziury Bauca nikt nie nazywał przecież „dziurą Buzka”. Od czasu, gdy w 2017 r. premierem został Mateusz Morawiecki, kolejni ministrowie finansów byli już jednak coraz bardziej anonimowi i nieposiadający żadnej istotnej pozycji w partii. Od samego początku oczywiste dla wszystkich było to, że sprawując uprzednio funkcję szefa polskich finansów oraz mając doświadczenie w sektorze finansowym, Morawiecki będzie chciał przejąć bezpośrednią kontrolę nad polityką budżetową, i tak też się stało. W efekcie Ministerstwo Finansów pozbawione było silnych osobowości zdolnych przeciwstawić się premierowi, a zawrotną karierę robiły takie osoby jak Piotr Patkowski czy Jan Sarnowski, które w błyskawicznym tempie zaliczyły awans z szeregowych urzędników na stanowiska wiceministrów. W ich osobach premier znalazł zresztą wyjątkowo oddanych apologetów nawet najbardziej szkodliwych poczyną.

FOT. FILIP WALUKIEWICZ/REPORTER



Dziura

NIEZRÓWNOWAŻONY DEFICYT

Znany z predylekcji do zrównoważonego rozwoju i modnych na lewicy nurtów przedsiębiorczego państwa czy też raportowania ESG Mateusz Morawiecki urządził przez ostatnie lata polskie finanse w autorski sposób. Mając dodatkowo ze strony Jarosława Kaczyńskiego pełen kredyt zaufania, nie musiał zaudać przejmować się wewnętrzną krytyką swoich poczyną. Obecny stan finansów państwa to zatem niemal w 100 proc. jego odpowiedzialność i nie ma co do tego żadnej wątpliwości.

W ustawie budżetowej na obecny rok po nowelizacji zapisane zostało 92 mld zł deficytu, lecz zaprezentowane zaledwie trzy dni po wyborach przez Ministerstwo Finansów dane wskazały na nieco słabsze wykonanie budżetu po trzech kwartałach. Dla przejmującej władzę opozycji dostarczyły one pretekst, aby pospiesznie wycofać się ze złożonych obietnic, choć w gruncie rzeczy nie ujawniły one niczego szczególnie niepokojącego. Ogólne ramy budżetowe na obecny i przyszły rok znane są od wielu miesięcy i jeśli eksperci od finansów KO czy też Trzeciej Drogi nie wkalkulowali przy tworzeniu programu ryzyka niższych wpływów do



Jakub Wozinski

„Dziura Morawieckiego” to wprawdzie nie dziura Bauca, ale prowadząc w minionych latach nierozsądną politykę budżetową, ustępujący premier dał się zapędzić w kozi róg

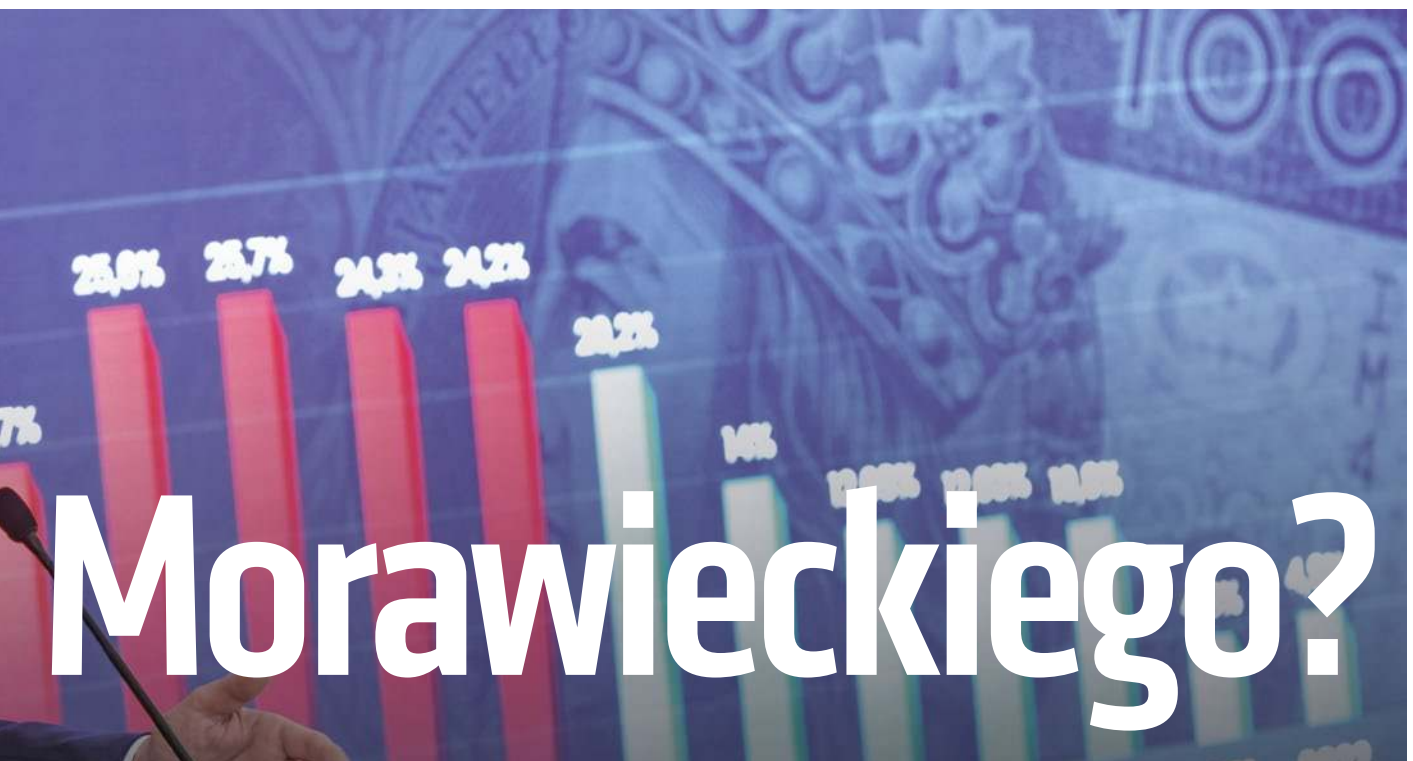
budżetu, to świadczyć to może jedynie o ich amatorszczyźnie.

Głosów krytycznych względem polityki fiskalnej rządu Morawieckiego nie można jednak zbywać tylko dlatego, że ich autorami są tak wątpliwej jakości analitycy jak Izabela Leszczyna czy Ryszard Petru. Również na łamach „Do Rzeczy” alarmowaliśmy od bardzo długiego czasu, że sposób, w jaki obóz Zjednoczonej Prawicy zarządza publicznymi środkami, pozostawia wiele do życzenia. Wydarzenia z ostatnich tygodni wniosły zresztą dodatkowy kontekst dla tych obaw, ukazując jeszcze bardziej, dlaczego polityka prowadzona przez Morawieckiego była tak bardzo błędna.

IDZIEMY NA REKORD

Tego dodatkowego kontekstu dostarczyła wysłana jak co roku w październiku

ku do Komisji Europejskiej notyfikacja fiskalna, w której rząd przyznał się do deficytu całego sektora publicznego na poziomie aż 192 mld zł, czyli dokładnie 100 mld zł więcej, niż wynosi sam deficyt budżetu centralnego. Jak dobrze wiadomo, według metodologii unijnej do ogólnego rachunku wlicza się także wszystkie zobowiązania jednostek pozabudżetowych, które pod rządami Mateusza Morawieckiego rozkwitły w bezprecedensowy sposób. Fundusz Przeciwdziałania COVID-19, Fundusz Pomocy czy też Fundusz Inwestycji Strategicznych i inne tego typu jednostki (których jest aż kilkadziesiąt) wygenerowały łącznie potężną kwotę, a oprócz tego swoją cegiełkę dołożyły także biedniejące w czasach „dobrej zmiany” samorządy (których deficyt sięgnął 18,8 mld zł).



Tak naprawdę całkiem spory deficyt pojawił się już w ubiegłym roku, lecz niewiele osób zwracało na to uwagę. Deficyt samego tylko budżetu centralnego za 2022 r. wyniósł zaledwie 12,4 mld zł, lecz poza budżetem był już wielokrotnie wyższy. Skupieni wokół opozycji ekonomiści bili początkowo na alarm, że faktyczny deficyt liczony na sposób unijny miał wynieść aż 206 mld zł, lecz na podstawie oficjalnych danych przekazanych Brukseli okazało się, że jego wartość wyniosła ostatecznie 115 mld zł.

Zawrotna kwota 192 mld zł to dotychczasowy rekord, jeśli chodzi o wysokość deficytu budżetowego, a dodatkowo od sierpnia (gdy przedstawiono założenia budżetu na 2024 r.) mamy niemal pewność, że zostanie on pobity. Według wstępnych szacunków w przyszłym roku deficyt bazowego budżetu centralnego wyniesie ok. 164 mld zł, a jeśli dodatkowo uwzględnimy jednostki budżetowe, to z pewnością pęknie bariera 200 mld zł (niektóre szacunki mówią nawet o 277 mld zł). Mateusz Morawiecki zapowiedział wprowadzić na początku tego roku, że doprowadzi wreszcie do uporządkowania wszystkich funduszy pozabudżetowych i skonsoliduje finanse publiczne, ale skończyło się tylko na słowach.

Zasadniczy problem związany z istnieniem rozmaitych funduszy, które tak bardzo urosły pod zarządem Mateusza Morawieckiego, jest taki, że funkcjonują w „szarej strefie” prawnej i nie do końca wiadomo, jaka jest ich kondycja. Formalnie posiadają obowiązek regularnego raportowania swojego budżetu, lecz nie zawsze czynią to z odpowiednią pilnością. W rezultacie zanim Ministerstwo Finansów nie prześle oficjalnego raportu do Brukseli, nie wiadomo nigdy dokładnie, jakiego wykonania można się spodziewać.

INFLACJA I SPOWOLNIENIE

Rosnący deficyt nie byłby aż tak bardzo martwiący w sytuacji, gdyby gospodarka rozwijała się w dynamicznym tempie, a wraz z nią szybko wzrastały dochody budżetowe. Na tle całego niemrawego kontynentu rozwijamy się, szczególnie w okresie po pandemii, niemal najszybciej na kontynencie, ale w tym roku w tempie zaledwie ok. 0,3 proc. Dochody budżetowe przez pewien czas rzeczywiście szybko rosły, lecz wynikało to głównie z galopującej inflacji. Nie wkładając wystarczającego wysiłku w poskromienie inflacji, rząd do spółki z NBP sprawił natomiast, że jeszcze szybciej niż przycho-

dy zaczęły rosnąć wydatki. Szczególnie że na ostatniej prostej kampania wyborcza zaczęła przypominać wielką licytację na obietnice socjalne.

W numerze 36 „Do Rzeczy” („Nie tak niskie zadłużenie”) wskazywałem, że wysoka inflacja stała się przejściowo fałszywym sprzymierzeńcem władzy, zbijając na moment poziom zadłużenia do zaledwie 48,1 proc. PKB. Już teraz widać jednak, że przy dwóch kolejnych budżetach z deficytem na poziomie co najmniej 190–200 mld zł wskaźnik ten ulegnie wyraźnemu pogorszeniu. Przy obecnych planach Komisji Europejskiej dotyczących reformy reguł fiskalnych w perspektywie kilku lat grozi nam przekroczenie progu ostrożnościowego i uruchomienie procedury przymusowej redukcji deficytu zgodnie z życzeniami eurokratów. Z punktu widzenia polskiego państwa reforma fiskalna UE niesie ze sobą szczególne zagrożenie, ponieważ może skutecznie zablokować wydatki na rozbudowę armii. Niehamujące się w swoich imperialnych ambicjach Niemcy nie będą miały żadnych skrupułów i nie pozostawią Polsce niemal żadnego pola manewru – tym bardziej że minister obrony RFN Boris Pistorius stwierdził niedawno wyraźnie, że to jego kraj chce

■ na siebie wziąć rolę głównego gwaranta bezpieczeństwa w Europie.

TRAGIZM ROZDAWNICZEJ LICYTACJI

Tragizm obecnej sytuacji polega głównie na tym, że polskie państwo jest w pewien sposób skazane na wydawanie ogromnych kwot pieniędzy. Po pierwsze dlatego, że musi się potężnie dozbroić; po drugie zaś dlatego, że główne partie sceny politycznej doprowadziły do absurdu licytacji na rozdawnictwo. W efekcie nawet politycy Trzeciej Drogi czy Koalicji Obywatelskiej, którzy wcześniej szli do wyborów z hasłami „końca rozdawnictwa”, już teraz zadeklarowali wolę utrzymania niemal wszystkich programów socjalnych wprowadzonych przez PiS. Słowność nigdy nie była ich silną stroną, ale z pewnością nie zaryzykują drastycznego zredukowania wysokości transferów socjalnych.

Główna odpowiedzialność za licytację na transfery socjalne spoczywa ewidentnie na Mateuszu Morawieckim, który z dosypywania kolejnych uposażeń i dopłat uczynił główne narzędzie radzenia sobie ze spadkami notowań w sondażach wyborczych. „Rewolucja godnościowa”, która w gruncie rzeczy stanowiła wypełnienie socjalnych postulatów ideologii zrównoważonego rozwoju, mogła być uprawiana bezkarnie w czasach, gdy dobra koniunktura na rynkach finansowych pozwalała na zadłużanie się po względnie niskich kosztach. Koszty obsługi długu w ciągu minionych trzech lat wzrosły jednak zauważalnie i mimo tego, że pozostają wciąż niższe niż 2 proc. PKB, osiągnęły poziom aż 50 mld zł rocznie. Trwający właśnie na świecie kryzys na rynku obligacji zwiastuje nowy okres niepewności, a tymczasem nasze potrzeby pożyczkowe są największe w dotychczasowej historii. Wypełniając założenia budżetu na przyszły rok, zadłużenie polskiego państwa wzrośnie wkrótce do zawrotnej kwoty 2 bln zł.

Skokowy przyrost zadłużenia (który rząd rozpiął m.in. w wieloletnim planie finansowym państwa) wydarzył się w najgorszym dla Mateusza Morawieckiego momencie. On sam był jeszcze do niedawna przekonany, że jego formacja porządzi co najmniej do 2031 r., dlatego zakładał, że będzie miał jeszcze sporo czasu na opanowanie sytuacji. W praktyce okazuje się jednak, że po sześciu latach zarządza-

nia polskimi finansami dostarczył opozycji obfitego paliwa do uzasadnionej krytyki. Oprócz wspomnianej już „szarej strefy budżetowej” jednostek pozabudżetowych Morawiecki błędnie założył, że epoka niskich stóp procentowych będzie trwała wiecznie. Skupiając się na „rewolucji godnościowej” czy też na obsypywaniu Ukraińców prezentami, zmarnował wiele miliardów, a gdy sytuacja geopolityczna zmusiła go do wielkich wydatków na armię, okazało się, że musi dla nich szukać dodatkowej przestrzeni w specjalnych zabiegach na rzecz ominięcia reguł fiskalnych. Polskie państwo mogło już kilka lat temu osiągnąć wreszcie nadwyżkę w budżecie, która zapewniłaby dziś dużo większy margines działania, lecz niestety priorytety były inne.

SKUTKI UBOCZNE

Szykująca się do przejęcia władzy opozycja nigdy tego nie przyzna, ale „dziury Morawieckiego” nie byłoby nigdy w takich rozmiarach, gdyby nie sławetna „polityka pandemiczna” w dobie koronawirusa. Rzekomo totalna opozycja popierała wówczas wszystkie decyzje rządu i NBP, które doprowadziły do załamania finansów

„Dziury Morawieckiego” nie byłoby nigdy w takich rozmiarach, gdyby nie sławetna „polityka pandemiczna” w dobie koronawirusa

publicznych i gospodarki, a w konsekwencji także do napędzenia inflacji. Kolosalne błędy popełniane w tym okresie ciągną się wciąż za Morawieckim i dają o sobie znać choćby przez totalny bałagan związany z realizującym m.in. dopłaty do węgla Funduszem Przeciwdziałania COVID-19.

W porównaniu z większością innych państw europejskich stan polskich finansów publicznych jest jednak wciąż bardzo przyzwoity. Nadchodzący rok z rekordowymi wydatkami i rekordowym deficytem sprawi, że dług wzrośnie co najmniej do poziomu 54 proc. Na tym poziomie, a nawet dużo wyższym, jeszcze się nie bankrutuje. Daleko nam jeszcze do Włoch,

Grecji czy innych chronicznie zadłużonych państw. Rozpisany program wydatków pozostawia jednak przejmującym relatywnie niewielkie pole manewru. Na samą obronność zapisano w przyszłym roku ponad 137 mld zł, co stanowi aż 16 proc. wszystkich wydatków i rekordową kwotę w historii polskiego państwa. Nie wiadomo jeszcze, jak dokładnie postąpi obóz dowodzony przez Donalda Tuska, ale nawet zakładając, że nie będzie dążył do stworzenia aż 300-tysięcznej armii, i tak nie odważy się drastycznie naruszyć programu rozwoju potencjału bojowego. Po 1989 r. jeszcze żaden rząd przejmujący władzę nie był tak bardzo „na musiku”, jeśli chodzi o stronę wydatków, i zapewne właśnie ten fakt przyczynił się do tak wielkiej frustracji po stronie liberalnej.

Warto przy tym zauważyć, że uskuteczniła przez dotychczasową opozycję opowieść o sprokurowanej przez Morawieckiego nowej dziurze Bauca została przedstawiona w bardzo amatorski sposób. Przekaz o braku pieniędzy w państwowej kasie miałby większy sens, gdyby przystąpiono do głoszenia go tuż po przejęciu wszystkich urzędów i odkryciu ewentualnych nieprawidłowości. Obóz liberalny stwierdził zaś istnienie dziury w sposób niejako zdalny, posilując się danymi znanymi powszechnie od wielu miesięcy.

Największym testem dla nowej władzy będzie to, czy rzeczywiście uda się jej skonsolidować publiczne finanse i znacząco odchudzić jednostki pozabudżetowe. Z narracji o rzekomym bankructwie ukrytym w „drugim budżecie” opozycja uczyniła przecież jeden ze swoich największych zarzutów pod adresem „dobrej zmiany”. Dotychczasowe rządy koalicji PO-PSL pozwalają jednak wątpić w to, czy zarządzanie budżetem czeka jakkolwiek odmiana na lepsze. Pod rządami Donalda Tuska wpływy do budżetu rosły niemiernie, na systemie podatkowym pały się rozmaite mafie, a zadłużenie rosło tak szybko, że potrzebna była pamiętna „reforma OFE”. Wszystko wskazuje więc na to, że obecna „dziura Morawieckiego” nie tylko nie zostanie zasypana, lecz także wręcz powiększy swój rozmiar. Tym razem będzie się to jednak działo przede wszystkim w imię zielonej transformacji i zeroemisijnego socjalizmu, którym tak bardzo oddany jest nowy-stary obóz władzy.

© © Wszelkie prawa zastrzeżone



PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Rozdawnictwo 2.0 czas zacząć!

Jak wiadomo, nic – nic, a nic! – nie wiadomo o tym, żeby rząd Tuska, który zapewne wkrótce powstanie, miał w planach rozdawać mniej pieniędzy publicznych niż niedościgniony w tej dyscyplinie rząd Morawieckiego. A nawet – niż dwa rządy Morawieckiego, ponieważ – jak pamiętamy – były dwa takie gabinety, jeden lepszy od drugiego.

A zatem zupełnie nic nie wiadomo o tym, żeby rząd Tuska planował rozdawać mniej pieniędzy podatników niż dwa rządy Morawieckiego, któremu zapewne trzeciego rządu sformować się nie uda i który – jak niesie wieść – w imieniu PiS miałby po przejściu do opozycji pilnować premiera Tuska, żeby ten wywiązywał się ze swoich zobowiązań rozdawniczych co do joty. Czyli by rozdawał co najmniej tyle publicznego grosza, ile obiecał rozdawać, a najlepiej jeszcze więcej, a na pewno ani złotówki mniej.

I, jak sądzę, możemy być pewni, że ze strony byłego premiera doping do wydawania grosza publicznego przez przyszłego premiera nie zabraknie, bo akurat w sprawie rozdawnictwa nie zwykł on sobie folgować. A nawet, że będzie to doping szczególnie aktywny, bo innego ze strony byłego premiera pod adresem przyszłego premiera po prostu nie sposób się spodziewać.

Wszelako to, czy premierowi Tuskowi uda się dotrzymać słowa, z czym – jak wiadomo – miewa niejaki kłopot, może

zależeć od tak – wydawałoby się – marginalnej kwestii jak ta, czy mu wystarczy grosza w publicznej kasie. Lecz przecież na takie drobiazgi zważać nie warto; wystarczy – idąc tropem rządu PiS, który niemal podwoił odziedziczony po rządzie PO-PSL dług publiczny Polski – dalej potęgować ją zadłużać, do czego – jak rozumiem – były premier Morawiecki będzie przyszedł, a premiera Tuska zachęcał i udzielał mu w tym zbożnym dziele wielkiego wsparcia; swojego i całego PiS.

A zadłużać Polskę trzeba będzie nie na żarty. Już z pobieżnych szacunków Money.pl wynika, iż nowy rząd, by zrealizować tylko najbardziej rzucające się w oczy obietnice, które przed wyborami nieopatrznie rzucił, będzie natychmiast potrzebował nie mniej niż 50 mld zł.

A istnieją też przecież rachunki dokładniejsze. Ot, choćby Fundacja Obywatelskiego Rozwoju, we frapującej analizie „Rozdawnictwo plus”, podliczyła koszty obietnic nowej koalicji. I wyszło jej, że na realizację przyrzeczeń Koalicji Obywatelskiej potrzeba 120 mld zł, Trzeciej Drogi – 126 mld zł, a Lewicy – 216 mld zł. Niektóre z nich się powtarzają, więc może wystarczy w sumie... 300 mld zł? 300 mld zł co roku!

Przyszły premier Tusk, dopingowany przez byłego premiera Morawieckiego, już dziś więc powinien się ostro brać do roboty. Rozdawnictwo 2.0 czas zacząć! ©©



ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

PMM obroni nas przed sobą?

W czasie inauguracyjnego posiedzenia Sejmu X kadencji Mateusz Morawiecki wygłosił wystąpienie, w którym wskazywał na niebezpieczeństwa, które wynikać mają z planów faktycznej federalizacji UE. Zrobił to, omawiając poprawki do unijnych traktatów, które zaproponowała komisja konstytucyjna Parlamentu Europejskiego w swoim niedawno uchwalonym sprawozdaniu.

W pewnym momencie pan premier powiedział, że bez możliwości zawetowania, a także bez możliwości sprzeciwienia się przez Sejm UE będzie mogła nałożyć na Polaków nowe, europejskie podatki. To prawda – takie uprawnienie wynikałoby z proponowanych nowych zapisów, dotyczących tzw. zasobów własnych UE. I tu pan premier powiedział: „A przecież wszyscy znamy pomysłowość urzędników z Brukseli i wiemy, jakie mogą wymyślić podatki, np. od samochodów spalinyowych”.

Myślałem, że się przesłyszałem – ale nie. Mateusz Morawiecki naprawdę to powiedział. Czyli z trybuny sejmowej ostrzegał, że jeśli dojdzie do zmian traktatowych, które jego rząd (gdyby powstał) oczywiście powstrzyma, to nie będzie można nałożyć na Polaków

podatku, na który... już zgodził się rząd Morawieckiego. Tak jest, dobrze państwo czytają. Te podatki, które mają być skutkiem federalizacji UE, przyklepał już dawno rząd Mateusza Morawieckiego, w tajemniczych okolicznościach uzgadniając z Brukselą Krajowy Plan Odbudowy. Opłata rejestracyjna od nowych aut spalinowych to warunek E3G, szósta transza bezzwrotna w wysokości 2,3 mld euro. Podatek od aut spalinowych to warunek E4G, transza dziewięta, 4,1 mld euro.

Często mówi się, że problemem tych, którzy już kiedyś rządzili, jest wiarygodność. W tym konkretnym wypadku mamy nawet coś więcej: polityk, który w zamian za pieniądze z UE zobowiązał Polskę do wypełnienia kilkuset warunków, w tym skrajnie uciążliwych dla obywateli, nagle przedstawia się sam jako ten, który stawi opór niecnym pomysłom – na które sam się już wcześniej zgodził.

Nieszczęście polega na tym, że o ile plany, które przedstawiła Komisja Spraw Konstytucyjnych PE (na razie to tylko załącznik do rezolucji parlamentu), są faktycznie radykalne i skrajnie dla Polski niekorzystne, o tyle dotychczas rządzący są nie bardziej wiarygodni w deklaracjach obrony przed ich realizacją, niż byliby ich następcy. ©©

SUZUKI SWIFT 1.4 SPORT HYBRID

Mały, ale wariat. To określenie idealnie pasuje do kultowej japońskiej zabawki marki Suzuki. Popularny model po face liftingu zyskał nowy ekologiczny silnik 1.4 BoosterJet z układem tzw. miękkiej hybrydy. Na szczęście „ekologiczna” ewolucja nie ujęła niczego z radości z jazdy.

Mimo znaczka „hybrid” towarzyszącego napiewowi „sport” na klapie bagażnika auto nadal prowadzi się niczym rasowy gokart. A kolor nazwany fachowo Champion Yellow sprawia, że w mieście przyciąga wzrok zwłaszcza dzieci (tych małych i tych, które już dawno odebrały dowód osobisty). Podobac mogą się też sportowe akcenty, jak tylny zderzak z dyfuzorem czy podwójne końcówki wydechu. Na autostradzie auto budzi zaś zazdrość zwłaszcza właścicieli audi i beemek, którzy nie mogą znieść, że takie maleństwo nie tylko nie boi się lewego pasa, lecz także jeszcze potrafi ich wyprzedzić.

Auto sprawnie radzi sobie również na krętych drogach, sprawiając wrażenie, jakby było mocniejsze, niż jest w rzeczywistości. Suzuki Swift 1.4 Sport Hybrid ma bowiem pod maską ukrytych „zaledwie” 129 KM. Maksymalny moment obrotowy wynosi zaś 235 Nm. Nie jest to więc typowo sportowy wóz. Na szczęście niewielka masa (1045 kg) sprawia, że usportowione Suzuki sprawnie przyspiesza nie tylko do pierwszej setki (sprint od zera do 100 km/h zajmuje niecałe 9 s). Maluch teoretycznie może się

rozpedzić aż do 220 km/h (tego akurat na polskich autostradach nie sprawdzałem).

Gdyby to było zwykłe małych rozmiarów woźdółko, to ponarzekalbym pewnie trochę na wyciszenie kabiny, ale przy dynamicznej jeździe zadziornym japońskim maluchem donośne pomruki silnika jeszcze zwiększają uśmiech na twarzy kierowcy. Frajdę sprawia tu nawet sześciobiegowa skrzynia.

Powodu do zmartwień nie dają też wizyty na stacji benzynowej. Auto według producenta spala średnio 5,6 l/100 km. Podczas testu na autostradzie, w mieście i drogach krajowych średnie spalanie wyniosło 6 l/100 km. Też nieźle.

Przeznaczone głównie do miasta auto ma oczywiście swoje ograniczenia, jak choćby niewielki kufer – ustawny bagażnik ma zaledwie 265 litrów

pojemności. W razie potrzeby autem można próbować jednak przewieźć więcej rzeczy, ponieważ po złożeniu tylnej kanapy przestrzeń ładunkowa rośnie aż do 579 l.

Minusy? Jakość obrazu z kamery cofania mogłaby być istotnie lepsza. Również system multimedialny jak na drugą dekadę XXI w. wygląda nieco oldskulowo. Android Auto działa jednak sprawnie. Do tego japoński maluch jest w standardzie wyposażony w adaptacyjny tempomat, system ostrzegania przed obiektami znajdującymi się w martwym polu lusterek, a także monitorowania ruchu poprzecznego z tyłu pojazdu (szczególnie przydatna funkcja na zatłoczonych parkingach położonych przy ruchliwych ulicach).

Za Suzuki Swift 1.4 BoosterJet mild Hybrid 2WD 6MT Sport trzeba zapłacić 105,9 tys. zł. ☺☺



FOT. PAP

LENOVO TAB P11 (2. GEN)

Dobry ekran o rozdzielczości 2K z częstotliwością odświeżania 120 Hz, solidne wykonanie, niezłe głośniczki, rysik w zestawie i całkiem atrakcyjne wzornictwo – to największe zalety tabletu Lenovo Tab P11 drugiej generacji chińskiej firmy Lenovo.

Na rynku opanowanym przez różnej maści smartfony – w tym coraz częściej składaki, które potrafią ukrywać w sobie już naprawdę duże ekrany – o swoją niszę walczą wciąż tablety. Projektanci testowanego urządzenia w udany sposób połączyli tworzywo sztuczne i aluminium. Solidnie wykonany, ważący 520 g model Tab P11 jest smukły (grubość to 8 mm) i wygląda atrakcyjnie, choć sam design serca raczej nikomu nie skradnie.

Spodobać może się za to duży ekran o przekątnej 11,5 cala i rozdzielczości 2000 x 1200 z częstotliwością odświeżania 120 Hz i certyfikatem TÜV, który ma dawać użytkownikowi pewność, że akurat ten wyświetlacz nie będzie zbyt mocno męczył oczu. Na dużą pochwałę zasługują także cztery głośniczki obsługujące system Dolby Atmos oraz wytrzymała bateria o pojemności 7700 mAh.

Sercem urządzenia jest ośmiordzeniowy procesor MediaTek Helio G99, który współpracuje z 6 GB pamięci RAM. Na dane producent przeznaczyl 128 GB



pamięci, którą można rozszerzyć za pomocą karty SD. Aplikacje uruchamiają się szybko, nic się nie zacina, choć w tej półce cenowej pod względem wydajności superfajerków spodziewać się nie należy.

W zestawie znajduje się także przydatny w wielu sytuacjach rysik Precision Pen 2. A także – w zależności od wybranej przy zakupie wersji – klawiatura pełniąca przy okazji funkcję etui (można też kupić najpierw tablet, a później oddzielnie klawiaturę).

Wady? W codziennym życiu z tym tabletem najbardziej przeszkadzałyby mi to, że w obudowie nie ma żadnego miejsca na rysik. Tymczasem rysik należy do tych gadżetów, które bardzo lubią się gdzieś głęboko schować albo nawet zgubić. Rozczarowani byłiby też ci, którzy chcieliby tym tabletem robić zdjęcia. Rozdzielczość aparatu tylnego wynosi 13 MP, a przedniego 8 MP. Warto z nich skorzystać tylko do wideokonferencji lub wówczas, gdy trzeba zrobić zdjęcie dokumentów. Aby zrobić dobre, pamiątkowe zdjęcie, lepiej sięgnąć po smartfona.

Mimo tych wad testowany model oferuje dość dobry stosunek ceny do jakości i możliwości. Za zestaw z rysikiem i klawiaturą trzeba zapłacić 1799 zł. ☺☺

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Łucki zjazd monarchów



JACEK KOMUDA

Zamek w Łucku, jak na stan podobnych obiektów na Ukrainie, zachował się w miarę dobrze, częściowo dzięki rekonstrukcji murów w sowieckich latach 70. To kolejne miejsce pełne historycznych wspomnień Litwy i Królestwa Polskiego. Pierwszym budowniczym zamku był książę połocki Lubart, ochrzczony jako Dymitr, jeden z synów Giedymina. Kiedy w 1340 r. zmarł otruty książę halicko-włodzimierski Jerzy II Trojdenowicz, Lubart powołując się na skomplikowane powiązania rodzinne, włączył się do wojny o jego posiadłości i zajął Łuck. Około połowy XIV w. rozpoczął rozbudowę kompleksu zamkowego, dobudowując do starego, drewnianego grodu wieżę i fragment murów, zapewne wznosząc także dom książęcy. Kiedy w 1387 r. syn Lubarta Fedor utracił Łuck na rzecz Witolda, ten w kolejnych latach rozbudowywał zamek, wznosząc kolejne obiekty. Ostatecznie dopiero za panowania Świdrygiełły, w latach 30. XV w., dobudowano ostatnie wieże i zamknięto zamek w pierścieniu ceglanych fortyfikacji, który możemy podziwiać do dziś.

W 1429 r. na zamku miał miejsce tzw. zjazd łucki, który rozpoczął się 6 stycznia. Było to zgromadzenie wszystkich monarchów i politycznych graczy z Europy Wschodniej. Przybyli tutaj oczywiście król Polski Władysław Jagiełło i wielki książę litewski Witold. Król Węgier i Czech Zygmunta Luksemburski, władca Danii, Szwecji i Norwegii Eryk Pomorski, wielki mistrz zakonu krzyżackiego Paul von Russdorff i mistrz jego gałęzi inflanckiej Cisse von dem Rutenberg. Następnie trochę mniejsi rozgrywający, jak Wasyl Wasylewicz, książę moskiewski, gospodarz Wołoszczyzny Aleksan-



FOT. DOMENA PUBLICZNA

der Dobry, księżęta mazowieccy, wysłannicy cesarza Bizantyjskiego Jana VIII Paleologa, legat papieski, liczni biskupi i duchowieństwo. Celem zjazdu było wspólne przeciwstawienie się zagrożeniu tureckiemu, sułtan bowiem dążył do zajęcia Konstantynopola, co dawałoby mu ścisłą kontrolę nad Bałkanami i jeszcze mocniej zagrażało Węgrom. Jednak jak to zwykle bywało, zjazd przekształcił się w polityczny szantaż. Król Węgier Zygmunta Luksemburski, pierwowzór dzisiejszego unijczyka, wściekle nienawidzącego Polski, zaproponował Witoldowi koronę królewską, próbując rozbić unię polsko-litewską. Postawił Jagiełłę w niezręcznym położeniu: sprzeciwiając się temu, nastawiał Litwinów przeciwko sobie, zgadzając się – wywoływał wściekłość polskich panów, gdyż dochodziło do rozpadu związku obu państw. Na szczęście legat papieski nie zgodził się na powołanie nowego królestwa, uznając, że korona może być nadana wyłącznie przez papieża, a nie cesarza. Jednak pomimo tego Luksemburczyk jeszcze kilkakrotnie próbował nadać godność królewską Witoldowi. Bezskutecznie,

a za jego sprawą zjazd łucki utonął w sporach; nie stał się początkiem nowego przymierza antytureckiego ani krucjaty.

Po śmierci Witolda zamek w Łucku znalazł się w rękach Świdrygiełły – zbuntowanego księcia litewskiego, który dopiero w 1437 r. poddał się Królestwu Polskiemu, przekazując mu twierdzę. Od tej pory zamek i miasto weszły w skład Korony, stając się miejscem sejmików oraz siedzibą biskupa. Na początku XVII w. warownia została przebudowana w stylu renesansowym – otrzymała zdobione attyki, które podziwiać można i dzisiaj na dwóch bramach. W 1781 r., po pożarze domu wielkiego, starosta łucki Józef Klemens Czartoryski kazał zbudować niepasujący do reszty gotyckiego zamku mury dwór szlachecki zachowany do naszych czasów. Pokazuje on, podobnie jak na zamku w Liwie, jakie były często losy starych, średniowiecznych warowni. Kiedy stawały się mało wygodne na mieszkania dla oświeceniowych elit, po prostu budowano w ich pobliżu albo wprost na dziedzińcu nowe siedziby lub pałace – wyburzając części murów, aby mieć ładny widok z okien. Z kolei spalonych, zniszczonych siedzib nie opłacało się już remontować. Dla ludzi z końca XVIII w. zamek nie był bowiem – jak dla nas – malowniczym zabytkiem, ale ruiną.

W XIX w. na dziedzińcu zamku zbudowano dom władcy, który ostatecznie stał się powiatową skarbnicą. Obecnie zachowały się trzy wieże: Bramna, Styrowa i Władycza, działają w nich muzea: sztuki, gdzie zachowało się wiele portretów z czasów I Rzeczypospolitej, muzeum książek i dzwonów oraz bodaj najciekawsze – Muzeum Dawnej Techniki. ©





ANNA POPEK Z D. CHRZUK
I MAGDALENA M. KRUPA Z D. CHRZUK

W listopadowy długi weekend odwiedziliśmy Tbilisi. Gruzja zachwyciła nas swoją wspaniałą kuchnią i gościnnością. Polacy czują się tam jak w domu, bo chociaż dzieli nas ogrom kilometrów, to nasze historie miały podobny bieg, dlatego wzajemnie się rozumiemy i bardzo lubimy. Do tego mamy podobne temperamyenty i poczucie gościnności. Mówi się, że podobnie jak my Gruzini lubią biesiady i zabawy, a jeśli chodzi o liczbę wznoszonych toastów, to biją na głowę cały świat.

To, czego próbowaliśmy, to istne „niebo w gębie”, zaczynając od przystawek, czyli faszerowanych bakłażanów w formie roladek bogato wypełnionych pastą orzechową i posypanych owocami granatu czy faszerowanych pieczarek przepyszny gruzińskim serem. Następnie nasze ulubione chaczapuri, czyli zapiekany placek z serem podpuszczkowym. Najsmaczniejsze były tamtejsze pierożki chinkali w środku wypełnione gorącym rosołem i mięsem. No i oczywiście gruzińska charcho – zupa gęsta o konsystencji gulaszu, z dodatkiem mięsa albo ryb i obowiązkowo z drobno siekanymi orzechami laskowymi, włoskimi czy migdałami.

Na ulicach Tbilisi najwięksi rarytasem był świeżo wyciskany sok z granatu. Aromatyczny, o obłędnym kolorze. Granat uznawany za owoc zdrowia i miłości zawiera witaminy z grupy B oraz C, A, E oraz fosfor, magnez i potas, jod i wapń. Reguluje hormony, odmładza, reguluje stężenie cukru we krwi, obniża cholesterol i zapobiega miażdżycy. Ale przede wszystkim

SIOSTRY GOTUJĄ

Owoc zdrowia

poprawia nastrój, co w okresie jesienno-zimowym jest bardzo ważne. Warto zatem pić sok z granatu lub po prostu zjadać jego owoce.

Przepis na gruzińską zupę charcho

- 1 kurczak lub 8 sztuk podudzi lub skrzydełek
- 2 duże łyżki oliwy do smażenia
- 250 g orzechów włoskich drobno posiekanych
- duża cebula
- 2 łyżki oleju
- pęczek świeżej kolendry
- natka świeżej pietruszki
- 1 sztuka czerwonej papryki słodkiej i ostrej
- 2 łyżki stołowe koncentratu pomidorowego
- kurkuma, czosnek, sól i pieprz, słodka papryka – po jednej łyżeczce
- oryginalnie Gruzini dodają do zupy suszony mięsz z winogron, a my możemy dodać zmiksowane rodzynki, reguluje to kwaśność zupy
- liście laurowe – 3 sztuki
- ziele angielskie – 3 sztuki
- 1/2 łyżeczki papryki chili
- 1 łyżeczka mielonej kolendry
- 150 g ryżu
- 1 łyżka octu jabłkowego

Kurczaka posypujemy papryką i solą. Na rozgrzanej oliwie w dużym garnku podsmażamy mięso z każdej strony razem z posiekaną cebulą.

Dodajemy czosnek, zalewamy zimną wodą (ok. 2 l) i zagotowujemy pod przykryciem. Następnie dodajemy wszystkie pozostałe przyprawy i składniki.

Na koniec wsypujemy ryż i gotujemy jeszcze ok. 20 min.

Zupę podajemy posypaną pietruszką i świeżą kolendrą, na wierzchu posypujemy posiekanymi orzechami. ☺☺



NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU



JOANNA BOJAŃCZYK

Czapka



Nie dla ciepła, nie dla wygody. Więc po co? Po co w lipcu, kiedy jest ciepło, nosić czapkę? Dlaczego czapki noszą raperzy, skejci, hip-hopowcy, licealiści, reklamiarze, awangardowi artyści (nawet ci w wieku zbliżonym do emerytalnego), goście studia TVP Kultura, Tomasz Stańko, Monika Strzępka? W plenerze i w pomieszczeniach, bez względu na temperaturę i pogodę. Byłam świadkiem sceny, kiedy 70-letnia babcia próbowała skłonić 10-letniego wnuka, żeby siadając do obiadu, zdjął bejsbolówkę. Bezskutecznie.

Jest faktem, że czapka w ciągu ostatnich paru lat stała się atrakcyjnym, a przy tym niezbyt kosztownym akcesorium mody, artefaktem socjologicznym, który przekroczył granice wiekowe. W roli głównej – beanie, nakładana głęboko na czoło wełniana czapka z mankietem. Wzięła większość, ale wciąż toczy nierówną walkę z popularną bejsbolówką.

To wszystko dzieje się w czasie, kiedy nakrycia głowy przestały być ozdobą, oznaką statusu, grupy zawodowej, wyznacznikiem zamożności. Kapelusze damski karierę w latach 60. razem z upadkiem mieszczańskiej estetyki i wybuchem rewolucji obyczajowych. Męski podobnie. A jeszcze w latach 30. ani mężczyźni, ani kobiety nie wypadało pokazać się na ulicy bez nakrycia głowy. Ka-

pelusz był tak ważny, że stał się narzędziem komunikacji: uchyleniem rądo pozdrowiało się znajomych i wyrażało szacunek. Zostało z tego tylko powiedzenie: chapeau bas (po francusku: kapelusz z głowy). Oznacza wyrażenie szacunku lub podziwu.

Na wsi kobietom wystarczała wiązana pod głową chustka. Pokazanie się bez chustki nie uchodziło. Na miastowy kapelusz mogły przesiąść się tylko te, które doznały awansu społecznego. Dla mężczyzn robotniczym czy raczej proletariackim odpowiednikiem kapelusza była czapka maciejówka. Na pomnikach Lenin pozdrawia nią lud, trzymając w ręku czapkę.

No dobrze, ale dziś? Pytając kilka znajomych osób w różnym wieku i różnych zawodów, dlaczego noszą te wełniane czapki, otrzymałam różne odpowiedzi. – Bo mam już mało włosów (pracownik naukowy łódzkiej ASP), bo jest mi zimno w głowę (muzyk, łysy), bo tak jest fajnie, nie trzeba za bardzo dbać o fryzurę, wystarczy umyć włosy (studentka architektury), bo tak jest fajnie i ciepło (uczeń liceum), bo tak jest fajnie (wszyscy).

I pomyśleć, że jeszcze nie tak dawno za dzieckiem idącym do szkoły mama wolała z okna: „Włóż czapkę!”, bo dziecko natychmiast po wyjściu z domu rzeczoną zdejmowało.

Dzisiaj powinna zawołać: „Zdejmij wreszcie tę czapkę!”. ☺☺



JERZY KARWELIS

DEKAMERONKI

Jej wysokość frekwencja

Ciągle ta frekwencja i frekwencja. Wszyscy pieją. Jedni, że game-changer (to prawda), drudzy – jak pan prezydent na otwarciu Sejmu – uważają to za podwyższoną rangę święta demokracji, dowód doroszenia społeczeństwa we włączaniu się do wyboru własnych przedstawicieli. Ja tak nie uważam.

Ultrasem demokracji nie jestem, nie miejsce tu, by tłumaczyć tego powody, ale nie wierzę w podstawowe aksjomaty tego ustroju, takie jak jej autentyczność czy uświadomiona sprawczość, oraz to, że im większe grono decydentów, tym lepsza jakość decyzji (moim zdaniem jest tu odwrotnie), że istnieje coś takiego jak zbiorowa mądrość. Suweren w demokracji ma zawsze rację, nie dlatego, że podejmuje racjonalne decyzje, tylko że „robi pogodę” i jego decyzja jest kluczowa, nie zaś słuszna z definicji.

Uważam, że rekordowa frekwencja tych wyborów jest rzeczą... zasmucającą. No, bo popatrzmy – do urn ruszył lud ponadnormatywny w wyniku najbardziej brutalnej i polaryzującej kampanii wyborczej. To takie motywacje popchnęły niespotykane tłumy do wyborów. Czy się z tego cieszyć – nie wiadomo. Wystarczy porównać poziomy frekwencji i skorelować je ze sceną polityczną. Za postkomuny frekwencja ledwo dociągała do 50 proc. Widać trend wzrostu po pojawieniu się dwójpolówki PO-PiS. To wojna

polsko-polska, ten garb na naszych szansach modernizacyjnych, ekscytuje ludzi, popycha do urn. I jest to mechanizm osadzony nie na kalkulacjach, nawet nie na chronieniu interesów poszczególnych grup elektoratu (vide: głosowanie w sprawie Turowa de facto za zamknięciem jedyne źródła utrzymania). Tu wszystko stoi na emocjach, walce, wrogu ostatecznym i manichejskim podziale plemiennego świata. I wzrastająca frekwencja jest tylko dowodem rozszerzania się tego raka, ku radości depozytariuszy nieświadomości. Dziś plemiona zagłosowały jak zwykle, przyłączyła się zaś do nich frakcja wyborców „mniejszego zła”, nabierając się na obietnicę trzeciej drogi. W trzeci świat.

Wiem, PiS zasłużył jak nikt na ten wynik. Rozumiem motywację ponadnormatywnego suwerena, ale motywacji tych nie podzielam. A jako że robimy w systemie przedstawicielskim, to politycy będą realizować emocjonalne interesy swych wyborców. Polską znowu będą rządzić histeryczne poruszenia elektorackie, rekonkwisty – igrzyska zastąpią nam brakujący chleb. Będzie brakowało więc refleksji. Będziemy myśleli, a właściwie reagowali od kadencji do kadencji. Na użytek wewnętrzny, z krótką perspektywą konsekwencji zaniechań. Bo to kolejna wada demokracji, tego ustroju, dla którego (podobno) nie ma lepszej alternatywy. ©©



JAN POSPESZALSKI

#WARTO

Synodalna ustawka

Wszystko błędnie wobec intensywności sejmowej polityki i należy się przygotować, że jeszcze „będzie się działo”. Jednak wcześniej czy później powstanie rząd, a napięcia będą raz mniejsze, raz większe. Natomiast tym, co naprawdę wygląda groźnie, jest sytuacja w Kościele. Uruchomiony podczas tego pontyfikatu proces destrukcji w trakcie Synodu wszedł w fazę turbo. Jest już na takim etapie, że przewodniczący polskiego Episkopatu, abp Gądecki, do tej pory dość powściągliwy, uznał, że czas na zdecydowaną reakcję.

Widać to w opublikowanym 15 listopada „Sprawozdaniu z rzymskiej sesji Synodu Biskupów o synodalności”, a także w ujawnieniu listu do papieża Franciszka pisanego przez arcybiskupa w pierwszych dniach Synodu. List dotyczy dystrybuowanego na Synodzie dokumentu pt. „Decyzja Drogi Synodalnej Kościoła Katolickiego w Niemczech” i jest odpowiedzią przewodniczącego polskiego Episkopatu na zamiar dokonania w Kościele powszechnym rewolucji obyczajowej i prawnej, inspirowanej ideologiami lewicowo-liberalnymi, która właściwie już się dokonuje.

Ta niemiecka rewolucja wysuwa żądania zmian w trzech obszarach. Zmiana ustroju Kościoła, zmiana nauczania na temat moralności seksualnej oraz udzielanie kobietom święceń. Ponadto żądania obejmują także

reinterpretację Biblii, w tym Księgi Rodzaju 1, 27. Niemcy podają konkretne propozycje, np. w metryce chrztu nie będzie zapisywana płeć dziecka. Ponadto należy umożliwić zmiany imienia i płci w akcie chrztu poprzez zapewnienie osobom transgender dostępu do sakramentów, w tym do kapłaństwa i do życia konsekrowanego. Postulują też obowiązek używania w Kościele niedyskryminującego języka i treningu dla duchownych, jak służyć osobom transgender.

Arcybiskup Gądecki zauważa celnie, że rewolucja odbywa się „w imię tzw. najnowszych osiągnięć nauk społecznych. Istnieje jednak ryzyko, że ustalenia naukowe, na które powołuje się niemiecka Droga Synodalna, są błędne, podobnie jak w przypadku innej popularnej niegdyś teorii rasizmu”. Ostrzega, że te skrajnie niekatolickie i niedopuszczalne tezy niemieckiej „drogi” mogą zostać narzucone innym konferencjom kontynentalnego zgromadzenia. W sprawozdaniu zaś arcybiskup m.in. cytuje obecnego na Synodzie 91-letniego kard. Josepha Zen Zu-kuna. Synodalne procedury chiński purpurat otwarcie nazwał manipulacją, a zmiany seksualnej moralności są forsowane tak nachalnie, że według kardynała to „obraża naszą inteligencję”. Mocne słowa krytyki w sprawozdaniu przewodniczącego Episkopatu oraz w liście do papieża są wreszcie wyraźną obroną prawowiernej nauki katolickiej ze strony polskiej hierarchii. ©©

SŁAWOMIR
JASTRZĘBOWSKI

ĆWIERKOT

Wybraliśmy...

Proszę państwa, ale wybraliśmy! Stop. Reporterzy przyłapali w Sejmie posłankę Darię Gosek-Popiołek z Lewicy, która została wybrana na drugą kadencję. Stop. W pierwszej kadencji miała słynne wystąpienie, w którym na pytanie, ilu mamy posłów, powiedziała, że akurat wzięła i zapomniała. Stop. Teraz nie zadawano już tak podchwytliwych, tendencyjnych pytań. Stop. Dziennikarz był ciekaw, jak opozycja chce rozliczyć się z sędziami, którzy według opozycji zostali wybrani bezprawnie. Stop. I wtedy w oczach posłanki Darii zagościła próżnia idealna, a z ust dobyły się dźwięki: „Przepraszam, muszę zadzwonić”. Stop. Pewnie telefon do przyjaciela...

Proszę państwa, ale wybraliśmy. Stop. Posłanka Małgorzata Tracz z partii Zieloni wyjawiała główne punkty programu, który chce realizować dla Polski. Stop. Zapowiedziała powstanie Parlamentarnego Zespołu Przyjaciół Drzew. Stop. I w tym momencie fenomenologicznego objawienia z głębokim wstydem uświadomiłem sobie, że nie przyjaźnię się z żadnym drzewem. Stop. Z żadnym! Stop. Czy odczuwam potrzebę zmiany?

Tomasz Grodzki nazywany nie wiadomo czemu, ale wiadomo, że złośliwie Kopertą, nie będzie już marszałkiem Senatu. Stop. Oczywiście naturalne wydaje się pytanie dlaczego, przecież wygłaszał bardzo zajmujące orędzia i naprawdę to lubił. Stop. Otóż

oficjalnie nie podano dlaczego, ale ponoć tajemnica zaklęta jest w kopertach... Stop.

Trwają poszukiwania „Neo”. Stop. Jak nieoficjalnie ustaliliśmy, koncentrują się one w okolicach ulicy Wiertniczej w Warszawie, a jednym z podejrzanych o zajmowanie „Neo” ma być „paskowy” z TVN24. Stop. Neo-KRS istniał sobie spokojnie i dla części polityków oraz dziennikarzy haniebnie, a dla innych, że OK, ale w trakcie transmisji sejmowej, kiedy do tego ciała wybrano czterech posłów antypisowskich, z paska TVN24 nagle zniknął „Neo-KRS” i została zwykła Krajowa Rada Sądownictwa. Stop. Kodeks karny za kradzież przewiduje od trzech miesięcy do pięciu lat pozbawienia wolności. Stop.

Szukałem, szukałem, ale nie znalazłem, taka ze mnie niedojda. Stop. W umowie koalicyjnej nie znalazłem zapisów o obiecanej kwocie wolnej od podatku, czyli 60 tys. zł, nie znalazłem podatku babcino, kredytu zero procent czy podwyżek 30 proc. dla nauczycieli. Stop. Znalazłem natomiast zapowiedź przywrócenia emerytur ubekom i wyraz troski o nasze dzieci: „Zadbamy o zdrowe wyżywienie dzieci w szkołach”. Stop. To znaczy co? Stop. Teraz jest niezdrowe? PiS-owcy trują nasze dzieci jedzeniem? Hańba! Stop. Życzyłbym jednak sobie, żeby menu dla dzieci nie układała bezmleczna, beźmięśna pani Spurek... © ©

Autor jest właścicielem portalu Salon24.pl.

DARIUSZ
WIERMIEJCZYK

SPODE ŁBA

Sierotki we mgle

Bolesna, choć zawołowana krytyka spotyka ostatnio prezesa Prawa i Sprawiedliwości, Jarosława Kaczyńskiego. Choć polityk prawicy rządzi swoim ugrupowaniem twarzą, acz doświadczoną ręką, to nawet jemu nie udaje się jej uniknąć. Ostatnio przybiera ona formę aluzyjną, niejasną, skrytą za fałszywymi komplementami lub apokaliptycznymi przepowiedniami dotyczącymi jego osoby.

Ostatnio podzielił się nimi człowiek, który, jak wielu innych, zawdzięcza prezesowi prawie wszystko. Świeżo odwołany z ministerialnej funkcji Robert Telus wdał się z mediami w następujące dywagacje: „Nie ma innej osoby, która umiałaby spać wszystkie frakcje w PiS jak Jarosław Kaczyński. Prezes ma wielką charyzmę. Obawiam się, że jeśli kiedyś zabraknie Jarosława Kaczyńskiego w PiS, to wszystko się rozpadnie”.

W podobnie złowieszcze tony uderzył w niedawnym wywiadzie dla Radia Kraków rzecznik PiS, Rafał Bochenek. „Zawsze mówię, że nie ma PiS bez premiera Jarosława Kaczyńskiego. On spaja nasze środowisko, jest kreatorem myśli naszej partii, wyznacza kierunki i zmiany. On nas prowadzi od lat z sukcesami. To gwarant, że PiS będzie dalej funkcjonował w polityce”.

Wypowiadanie sądu, że po 20 latach niekwestionowanego przywództwa we

współtworzonej przez siebie partii politykowi nie udało się stworzyć struktury zdolnej do samodzielnego bytu, wydaje się komplementem wyjątkowo dwuznacznym. Czyżby zbudowanej przez Kaczyńskiego partii nie spały ideały służby publicznej? Jej paliwem jest przecież bezinteresowny patriotyzm własnoręcznie dobranej i po wielokroć wypróbowanego kręgu współpracowników. Ludzie godni i prawi zwykli otaczać się podobnymi do siebie. „Dzisiaj zarówno PiS, jak i Zjednoczona Prawica bez Jarosława Kaczyńskiego rozpadną się jak domek z kart. Gwarantem trwania tej koalicji, również mojej własnej partii, jest osoba naszego lidera” – twierdzi od dawna Joachim Brudziński.

Podobne zapewnienia mogą być odczytane jako prostoduszne pochlebstwa. Przyznanie się mimochodem do zamieszkiwania „domku z kart” ma jednak ukryte, umykające dworzanom znaczenie. Jeśli bez Jarosława Kaczyńskiego „wszystko się rozpadnie”, to ile warta jest stworzona przez niego konstrukcja? Cytowani politycy chcą, jak przypuszczam, przekonać podejrzanego przywódcę o swojej bezwarunkowej lojalności. Ta cecha była decydującym kryterium ich doboru i głównym motorem ich karier. Swoimi diagnozami dają jednak dramatyczne świadectwo o samych sobie i o nim. © ©

GRZEGORZ
KUCHARCZYK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

Rotacyjne profesury?

Jakże trudno budować społeczeństwo obywatelskie! Ileż trudu i obywatelskiej czujności to wymaga! Zagrzewa do tego gazeta, której nigdy (za żadne skarby świata i inseraty rządowych agencji – co już wkrótce) nie było wszystko jedno. Teraz trzeba donosić o wszystkich przemianach ludzi ancien régime'u. Podobnie jak wcześniej trzeba było uprzejmie informować, które szkoły zadeklarowały korzystanie z wykłędgo przez miłośników wolności słowa podręcznika prof. Wojciecha Roszkowskiego. Jedną uchwałą sejmu unieważni się wszystko i nie będzie niczego („lex Kononowicz”), a to, co zostanie, będzie rotacyjne.

Uchwała unieważniająca wszystko („lex Kononowicz”) obejmie więc odjanopawłowanie wszystkiego – nie tylko przestrzeni publicznej, lecz także świata nauki, zwłaszcza filozofii i teologii

Uchwała parlamentu wprowadzi więc rotacyjne tytuły naukowe. Bo przecież nie może być tak, aby profesorowie bezkarnie głosili poglądy, które dla uszu zadeklarowanych obrońców tolerancji i wolności słowa są nieznośną obrazą i w związku z tym proszą się (bezkarni profesorowie) wprost, jeśli nie o unieważnienie, to przynajmniej o poddanie ich profesur rotacyjności. No bo przecież, jak podczas debaty na Uniwersytecie Warszawskim z niejakim bólem zauważył dr Kazimierz Wóycicki, „bardzo trudno ukarać” takich profesorów jak Ryszard Legutko i Andrzej Nowak. Z tym pierwszym sprawa łatwiejsza, wszak w Parla-

mentie Europejskim można łatwo by uzyskać uchylenie immunitetu za... np. sianie atmosfery nienawiści. Ale to ciągle za mało, bo przecież profesor naucza i może nauczać niesłusznie.

Profesorowie Nowak i Legutko – jak odkrył dr Wóycicki – przewinili krytykę oświecenia. „Bezczelnie kłamią”, krytykując je. „Nawołują do koncepcji państwa teokratycznego” i „twierdzą, że oświecenie jest czymś, co nie obowiązuje” – grzmi wykładowca z UW. Aż chciałoby się spytać: A jakie oświecenie ma zdaniem warszawskiego uczonego obowiązywać? Czy to, które głosiło, że Żydzi „zachowali zwyczaje, które są dokładnym przeciwieństwem wszystkich należytych obyczajów społecznych, i dlatego też czymś słusznym było, że traktowano ich jako ludzi przeciwnych wszystkim innym, którym służyli powodowani chciwością, nienawiścią i chciwością” (Wolter w „Eseju o obyczajach”)? Czy to, które twierdziło, że „bajką” jest biblijna relacja o pochodzeniu całego rodzaju ludzkiego od tych samych prarodzców, bo przecież nie można zrównywać czarnego z białym (Hume, Kant, Wolter)? A może to, które uczyniło z państwa koszarę dla armii (Fryderyk II w Prusach)?

Kto wie, może drżący na myśl o państwie teokratycznym warszawski uczonego broni dorobku oświeconego absolutysty, cesarza Józefa II, który regulował w swoim państwie wszystko, w tym liczbę świec na ołtarzach? A może niekryjący swych liberalnych przekonań dr Wóycicki podpisuje się pod znaną predylekcją oświeceniowych elit dla satrapów, piejących peany dla „Semiramidy Północy” (Diderot o carycy

Katarzynie II) i dla agresywnego władcy Prus Fryderyka II („To rzecz genialna!” – Wolter do Hohenzollerna o pierwszym rozbiórce Polski)?

Cóż tam bezkarni profesorowie! Krytykę pod adresem oświecenia ośmielił się wyrazić papież św. Jan Paweł II. I to nieraz! W encyklice „Centesimus annus” (1991 r.), analizując błąd antropologiczny, tkwiący u korzeni zła komunistycznej ideologii, wskazywał na jej ateizm, którego korzenie tkwią – jak pisał – „w oświeceniowym racjonalizmie”. A w opublikowanej pod koniec życia książce „Pamięć i tożsamość” (2005 r.) Jan Paweł II stwierdzał: „Odrzucenie Chrystusa, a w szczególności jego tajemnicy paschalnej – krzyża i zmartwychwstania – zarysowało się na horyzoncie myśli europejskiej na przełomie XVII i XVIII stulecia. Był to okres oświecenia [...]. Jakąkolwiek przybrało postać, oświecenie sprzeciwiało się temu, czym Europa stała się w wyniku ewangelizacji”.

Uchwała unieważniająca wszystko („lex Kononowicz”) obok rotacyjności obejmie więc koniecznie odjanopawłowanie wszystkiego – nie tylko przestrzeni publicznej, lecz także świata nauki, zwłaszcza zaś filozofii i teologii uprawianej wedle recepty podanej przez św. Jana Pawła II w „Fides et ratio” – z wykorzystaniem dwóch „skrzydeł”: wiary i rozumu. Oświeceniowcy i obrońcy oświecenia to pod tym względem kompletne nieloty. Jak trafnie zauważył kiedyś Chesterton: „Problem z ludźmi oświeconymi polega na tym, że uznają sami siebie za oświeconych w stopniu wystarczającym i nie chcą oświecić się bardziej”. ©

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Za wjazd samochodem spalinowym do Londynu wprowadzili myto w postaci 12,5 funtów – ponad 60 zł. To dla Brytoli mniej niż dla Polaka, bo Brytole zarabiają więcej, ale i tak żdzierstwo – wjazd do Londynu jest dla bogaczy, a reszta się nie liczy. Kraków postanowił nie bawić się w „opłaty za wjazd”, lecz wprowadził ZAKAZ wjazdu i KARE, czyli mandat w wysokości 500 zł.

Opłata to byłby jakiś wybór – stać mnie, płacę myto i jadę dalej autem, jak wolny człowiek. Mandat jest karą, a nie wyborem. Mandat dostajesz za złamanie prawa, a gdyby ktoś łamał prawo notorycznie i zbierał mandat za mandatem, to w końcu, jako wielokrotnie recydywista, trafi za kratki.

„W dniu, gdy te przepisy weszły w życie, do centrum Krakowa w ramach protestu wjechały tysiące samochodów. Ludzie jechali całymi rodzinami. Także policjanci (prywatnie, ale w mundurach) i urzędnicy magistratu – wszyscy równo. Przyjechali strażacy, lekarze w szpitalnych ciurkach. Profesorowie Uniwersytetu Jagiellońskiego ubrani w togi. Dla osób, których nie było stać na mandat, pojawiły się w sieci strony: przyslij mi swój mandat, a ja wysłę 500 zł. Władza miała w tym dniu do wystawienia tysiące mandatów, ale nie była w stanie tego zrobić... Zabrakło bloczków mandatowych, a komisariaty i Straż Miejska zawiadomiły Magistrat, że długopisy im się wypisały i trzeba zakupić nowe. Ostatecznie władza została ośmieszona i musiała ustąpić. Rada miasta zebrała



FOT. W. CEJROWSKI/LOJ/ARND BRONKHORST

się w trybie pilnym i zniósł przepis skierowany przeciw obywatelom”.

Powyższy cytat to fikcja literacka, marzenie. Przepis o mandatach w wysokości 500 zł za wjazd do Krakowa będzie obowiązywać od lipca 2024 r. i nikt nie zaprotestuje. Naród na razie przyjmuje kolejne ciosy w nery i w pysk, bez protestu. Naród nadal głosuje na władzę, która zachowuje się jak mąż, który bije żonę, a ta żona go kryje i usprawiedliwia.

Trzaskowski w Warszawie rzyga szambem z nienaprawionej rury, ale wciąż ma poparcie warszawskiego narodu. Morawiecki też ma poparcie swojej grupy wyborców, mimo że wprowadził coś takiego... cytuję z sieci:

„Mój nowy podatek od luksusu: 1152 PLN! Luksusem jest moje auto spalinowe! Dobrze, że nie mam już audi A4 z 1999 roku 1.9 TDI, bo bym zapłacił więcej niż jego aktualna wartość. Jak Wam się podoba nowy piękny świat?”.

Takiego kraju Państwo chcieli? Z karami za posiadanie samochodu i zakazami korzystania z samochodu? A może takiego: śląski marszałek rozdał kolejne trzy karetki na Ukrainę. Jakiś jego laufer opowiadał do kamer głupoty o tym, że „te karetki pójda na pierwszą linię frontu”, co jest BZDURĄ oczywistą, bo na pierwszą linię frontu nie da się podjechać cywilną karetką i dlatego armia ma karetki wojskowe, a nie cywilne. No to... dokąd poszły te karetki, które zabrano Polakom zamieszka-

łym na Śląsku, którzy za nie zapłacili w podatkach?

Takiego kraju Państwo chcieli? A może takiego: polskie dziecko – zabieg neurologiczny w trybie pilnym: czas oczekiwania półtora roku. Ukraińskie dziecko w trybie zwykłym – ten sam zabieg w ciągu czterech dni (źródło <https://twitter.com/Rose73389488/status/1719681746030010380>).

Jakiego KONKRETNIE kraju Państwo chcieli, głosując na tych wszystkich durniów i sprzedawczyków? Bo prawie każdy Polak na kogoś głosował – frekwencja była porażająco wysoka, osób niegłosujących niewiele, a każda lista partyjna, na którą głos oddano, proponuje nam kraj, którego NIE CHCEMY, ale... ktoś na nich głosował. Ja głosowałem tak samo jak za komuny: zniszczyłem kartę wyborczą i wrzuciłem zniszczoną do urny na oczach komisji.

Przypadek sprawił, że zaraz po wyborach poszedłem na balandę do mojej Księgowej, którą szanuję i kocham jak siostrę, i na tej balandzie (przypadek!!!) była pani z komisji wyborczej, która od razu rozpoznała mój głos. W poprzek tej ogromnej płachty papieru wyglądającej jak wielka szmata napisałem wielkimi literami: WSZYSCY WON. Nikt w komisji nie miał wątpliwości, kto to pisał. No... nikt poza Ukraińcami w polskiej komisji wyborczej, bo oni mnie znają mało.

Drogi Czytelniku, na kogo głosowałeś? Na którego z tej plejady durniów i sprzedawczyków?

Drogi Czytelniku, popatrz na obrazy Matejki lub inne portrety marszałków Sejmu Rzeczypospolitej (tej pierwszej) i postaw je sobie obok foto marszałka obecnego. Potem popatrz sobie na fotografie marszałków Sejmu drugiej Rzeczypospolitej. A teraz popatrz na fotografie marszałków po roku 1989. Czy takiego kraju chciałeś? Czy te gęby naprawdę godnie reprezentują Ciebie? I Twoje interesy obywatelskie? Czy takiego kraju chciałeś?

Wiemy z grubsza, czego nie chcemy. Trudniej zdefiniować, czego byśmy chcieli. Więc głosujemy „przeciw”, a nie „za”. Nikt nie proponuje odważnego programu ZA, bo wszyscy ci durnie i sprzedawczyki chcą się koniecznie załapać do koryta, więc nawołują nas do głosowania nie ZA swoim programem, ale PRZECIW programom wszystkich innych.

Konfederacja występowała z hasłem: MOŻEMY WSZYSTKO. Naprawdę możecie? Kto dał się nabrać, niech teraz wyegzekwuje od Konfederacji WSZYSTKO: dajcie nam polexit, premiera z Konfy, wymianę konstytucji, niskie podatki... i piwo darmo. Kto głosował na Tuska, niech teraz wyegzekwuje odblokowanie dotacji unijnych „pierwszego dnia po wyborach”.

Na pocieszenie:

Nie musimy nic robić. (Co jest doskonałe w sytuacji, gdy nic z tym zrobić nie możemy). Nie musimy nic robić, gdyż UE rypnie sama z siebie, podobnie jak rypnęły sam z siebie Związki Sowietki i system komunistyczny. Ale... zanim rypnie, będzie bolało. I koszt, który poniesiemy (BÓL), to będzie cena wysoka. Związek Sowietki rypnął sam, ale przedtem bardzo bolało... ©©

Uwaga: nowe ceny!

TYGODNIK LISIĘCIEGO
**DO
RZECZY**

PÓŁROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY”



~~492~~zł

W PREZENCIE

KSIĄŻKA

SŁAWOMIR KOPER:

„MISTRZOWIE POLSKIEGO
KABARETU”

ORAZ DOSTĘP DO E-WYDANIA

215,00zł

OSZCZĘDNOŚĆ 277zł

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania

| Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat

| W cenie dostęp do e-wydania, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:

WEJDŹ NA SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE

WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NUMER: 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**

W tytule przelewu prosimy o podanie danych adresowych oraz adresu e-mail

ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:

Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: **SUBSKRYPCJA.DORZECZY.PL**

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: prenumerata@mpg.pl TELEFON: 508 040 664, 539 953 631 (pon-pt od 10:00 do 16:00) INTERNET: subskrypcja.dorzeczy.pl

eprasa.pl 280906106d



250 DNI DO IGRZYSK! CZEKAMY NA OLIMPIJSKIE EMOCJE!



POLSKA
OLYMPIC RINGS



Sponsor
Strategiczny



Sponsor
Generalny



Sponsor



eprasa.pl 280906106d

#TEAMPOLSKA